



JÓZEF HEN  
Pingpongista

JÓZEF HEN Pingpongista

**Józef Hen**(ur. 1923 r. w Warszawie) - powieściopisarz, publicysta, dramaturg i scenarzysta. Tworzywem jego pierwszych książek stały się przeżycia wojenne: oblężenie Warszawy we wrześniu 1939 roku i późniejsza dramatyczna tułaczka w ZSRR. Tak powstały m.in. powieści *Kwiecień* (1961) i *Nikt nie wola* (napisana w roku 1957, wydana w 1990) oraz opowiadania z tomu *Bokser i śmierć* (1975). Publikował także powieści historyczne, takie jak *Crimen* (1975)

czy *Królewskie sny* (1989), książki wspomnieniowe, m.in. *Nowolipie* (1991), *Najpiękniejsze lata* (1996), oraz powieści współczesne, m.in. *Milcząca między nami* (1985) i *Odejście Afrodyty* (1995). Ma w dorobku książki eseistyczne, m.in. *Ja, Michał z Montaigne...* (1978)

i *Mój przyjaciel król. Opowieść o Stanisławie Augustcie* (2003) oraz trzy tomy dzienników *Nie boję się bezsennych nocy* (1987, 1992, 2001). Józef Hen jest autorem scenariuszy do filmów *Krzyż Walecznych* i *Prawo i pięść* oraz seriali *Zycie Kamila Kuranta* i *Królewskie sny*. Jego utwory tłumaczono na osiemnaście języków. W 2008 roku nakładem wydawnictwa W.A.B. ukazało się wznowienie głośnej biografii Tadeusza Boya-Żeleńskiego *Błazen - wielki mąż*, uznanej przez ZAIKS za najlepszą książkę 1998 roku i nominowanej do nagrody NIKE 1999.

# **JÓZEF HEN**

## **Pingpongista**

# 1

Już prawie zmierzchało, kiedy sędzia Mike Murphy (dawniej Michał Dembina) pojawił się, po krótkiej telefonicznej rozmowie, na plebani w Cheremcu. Przedtem, kiedy rozejrzał się po miasteczku, w którym, jak stwierdził, niewiele się zmieniło (przynajmniej na pierwszy rzut oka), zszedł ku rzece, brnąc po kolana w bujnej trawie. Trawa się urwie wraz ze stokiem - i ja, ukryty w sitowiu, będąc podpatrywał dziewczyny piorące w łukowisku Cheremu bieliznę. Spódnice miały podwinięte do kolan, woda pienia się od ługu oblewała im łydki, one były kijankami rozłożoną na deszczułkach bieliznę, słyszał to zaciekle postukiwanie, słyszał śmiechy dziewcząt, wiedziały, że są podpatrywane, odwracały się w stronę sitowia i wygrażały pięściami. A kiedy zbierały do kosza bieliznę i bose odchodziły, dzwoniąc śmiechem, woda w Cheremie znowu przelewała się czystym nurtem, tak czystym, że można było dostrzec piaszczyste dno i ławice umykających płotek. Cisza. Nie ma bicia kijanek, nie słychać dziewczęcego śmiechu. Woda zanieczyszczona, ciemna, dno zapewne muliste i nurt jakby spowolniony. Ile to lat temu opuściłem tę rzekę, wyrzekłem się jej? Pół wieku minęło? Więcej? Więcej. Nie ma już tych dziewczyn, są tylko w mojej pamięci, a jeśli któraś z nich jeszcze żyje, to i tak jest bardziej w mojej pamięci niż we własnej. Zapaliłbym. Ale nie pali już od lat - ilu? - chyba dwunastu - policzył zdziwiony.

Furtkę otworzyła mu kobiecina kulista, jak na księżą gospodynię przystało.

- Proszę za mną - mruknęła - psy uwiązane. Pan sędzia? To powiem panu, że proboszcz mówił, że pańska wizyta go cieszy. - Kiedy znaleźli się w sionce, uprzedziła: - Nie jest sam, ma gościa. Ale na pewno pana przyjmie.

Zapaliła światło i wtedy coś w wyglądzie przybysza ją uderzyło.

- Czy my się nie znamy? Pan mi kogoś... Coś w oczach. - Gość się uśmiechnął (naprawdę w oczach?) i wtedy ona wykrzyknęła: - Michaś! Michaś, dobrze mówię?

- Zgadza się.

- Jezus Maria, ty żyjesz! Nie pamiętasz mnie? No pewnie, że nie pamiętasz, to było trzydzieści kilo temu. Uczył mnie pan pływać! Podtrzymywał mnie w pasie, a palce to ci się ruszały, ja to lubiłam, nie powiem, taki ze mnie był gagatek. - Śmiech był w słowach, nie w głosie. - Michalina. Dziewczęta mnie drażniły, że jesteśmy jak para: Michaś i Michasia, pamięta pan?

- Pamiętam, a jakże, nietrudno było panią podtrzymywać, niewiele ta Michasia ważyła, a do tego, jak wiadomo, ciało kobiece zanurzone w wodzie...

- Ale na pewno nic takiego między nami nie zaszło, nic, nic - broniła się, wygrażając mu palcem jak te dziewczyny znad rzeki.

- Nie odżałuję tego - powiedział, skłaniając głowę.  
- Elegancki, jak zawsze. Wiesz, że byłeś elegancki? Za to cię panienki lubiły. Nigdy brzydkiego słowa pan Michał nie powiedział.

- Teraz mi się to zdarza. Ale tylko po angielsku i pod nosem.  
Gospodyni nie zareagowała. Uchyliła drzwi i przepuściła Mike'a.

Izba była obszerna - coś między stołowym a salonikiem, oświetlenie dyskretne, ktoś mógłby rzec: nastrojowe, a ktoś inny: oszczędne. Tamci dwaj zajmowali fotele za niewielkim, okrągłym stolikiem: ksiądz Ziemowit, starowina nie do poznania, tak mu się nos wyostrzył, zgarbaciał, policzki obwisły, pod oczyma worki, spod rzadkiej siwizny przebłyskuje obsypana plamami różowość, no i ta jego kruchość, niski wzrost, a przecież uchodził za postawnego. Mężczyzna silny, wysportowany - pamiętam, jak mówili, Ziemowit na księdza się nie nadaje, kobiety się za nim oglądają, a kiedy sunie konno, można rzec: Tom Mix; a teraz... Okej, Mike, musisz się do tych przemian przyzwyczaić, przestań się zdumiewać, ciesz się, kiedy kogoś odnajdziesz, ciesz się ostrożnie, oczywiście, bo nie wiadomo, kto to będzie. Gość księdza raczej w pobliżu sześćdziesiątki, młokos, brązowy garnitur z krawatem, niemodne okulary, rysy regularne (ale nie triumfuj, człowieku, pogadamy o nich za dziesięć lat!), wysokie czoło, nad nim odrzucone do tyłu miękkie, siwiejące włosy, chyba był szatynem, na kark opadają nieporządne loki, powinien odwiedzić fryzjera - domyślałam się, że nie bardzo mu się chce i dobrze go rozumiem. Ksiądz przedstawił ich sobie:

- Doktor Gustaw Wiernik. Sędzia, sędzia... - Jak ci na imię? (Mike, podpowiedział sędzia.) Mike Murphy. Dla mnie Michał. Albo Miszka, tak czasem zwracał się do niego ojciec, prawda, Miszka? Zapamiętałem tego chłopca, bo bezbożnik. Pan doktor przybył do nas kilka dni temu.

- Na uroczystości? - spytał Mike.

Doktor był zdziwiony.

- Jakie uroczystości?

Mike już chciał wyjaśnić, ale ksiądz go ubiegł

- najpierw odchrząknął i zaraz potem zaskrzypiał:

- Ach, nic, nic. To pana nie dotyczy.

- Gdzie się pan zatrzymał? - zaciekał się sędzia.

- Proszę sobie wyobrazić: we własnym domu.

- Doktor wyjaśnił: - Odziedziczyłem domek, o którym, prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia.

Wymienił adres, a Mike powiedział:

- Och, znam ten dom. Całkiem obszerny. Mieszkał w nim chłopiec, z którym byłem zaprzyjaźniony. Starszy ode mnie, powiedziałbym: mentor. Bywałem u niego często. Zapraszał mnie na ping-ponga.

- To zna pan ten dom lepiej niż ja - powiedział doktor Wiernik. - Nie mogę pana zaprosić na ping-ponga, nie ma już w tym domu stołu.

- Dziwiłbym się, gdyby był.
- Szkoda, że nie ma - powiedział pan doktor. - Wprawdzie nigdy nie byłem w tym dobry, ale sprawiłoby mi przyjemność, gdyby stół był.
- Pamiętam, że za domem był sad. Pani Ehrlichowa, matka tego kolegi, częstowała mnie pysznymi czereśniami.
- Nie ma żadnych czereśni. Żadnych drzew owocowych - informował doktor. - Wydaje się, że właściciel hodował w ogrodzie warzywa. Wszystko zarosło pokrzywami.
- Dużo się zmieniło - zgodził się Mike. - Byłem nad Cheremem, księżę Ziemowicie. Tam gdzie dziewczyny były kijankami bieliznę. Nie było dziewcząt, ulotniły się.
- Mają pralki - mruknął ksiądz.
- Rzeka zanieczyszczona.
- Koszty rozwoju - zauważył doktor Wiernik.
- Tutaj naprawdę nie wchodzi się drugi raz do tej samej rzeki. Bez metafory.
- W ogóle to jakieś dziwne miasteczko, panie sędzio, ten wasz Cheremiec. Jest w nim coś... Coś, co może niepokoić. Jakieś milczenie. Człowiek pyta, a w odpowiedzi słyszy... Właściwie co słyszy? Tylko niedopowiedzenia.
- Lepiej za dużo nie pytać - poradził Mike.
- Uśmiechnął się pan. Tu się jeszcze nikt do mnie nie uśmiechnął. No tak, pan nietutejszy.
- Może rozmawia pan z niewłaściwymi ludźmi. Moja amerykańska żona ma stale uśmiech na twarzy. Kiedy modli się - a jest pobożna - uśmiecha się do Pana Boga. Jestem pewny, że Pan Bóg odpowiada jej uśmiechem. Niech pan spróbuje porozmawiać z młodymi - na pewno będzie łatwiej o uśmiech.
- W sprawie tych pytań, panie sędzio - czy przemawia przez pana zawodowe doświadczenie?
- Z grubsza. Przysięgają mówić prawdę i tak dalej, ale w praktyce wolą uchylać się od odpowiedzi.
- Pan doktor Wiernik - ksiądz Ziemowit zmienił temat - ma pewien kłopot. Ten dom odziedziczył po stryju swojej zmarłej żony, świeć Panie nad jej duszą. Spadło to na niego niespodziewanie. Dom był jej, stryj w nim mieszkał za jej zgodą.
- Burmistrz był tak miły, że do mnie napisał: ma pan tu dom po żonie, proszę przyjechać, załatwimy to szybko, dom na pana czeka. Ale ona, moja żona, o tym domu nigdy się nie zająknęła. Nigdy też ani słowa nie powiedziała o jakimś Cheremcu. Nie wiedziałem, że takie miasteczko istnieje.

Mike:

- Przecież widział pan chyba jakąś metrykę...

- Naturalnie. Ale nie była wystawiona w Cheremcu. Gdzie indziej. Nieważne gdzie.

Ksiądz:

- Właśnie temu zawdzięczam wizytę pana doktora. Chciał sprawdzić, czy jest jakiś ślad u mnie.

- Jest? - spytał Mike.

- Jest. Chrzcilem ją i zapisałem. Jadwiga.

- Jadwiga Snopek - uzupełnił doktor Wiernik. - Ojciec Jan Snopek.

Wszystko się zgadza. Tylko nie miejsce urodzenia.

- Czyli tamta metryka, ta, którą pan widział, była fałszywa?

- Fałszywa - potwierdził pan Wiernik. Poderwał się z fotela. Teraz mówił, chodząc, czasem gestykując nerwowo. - Dlaczego? Mówiła, że jest sierotą! Że wychowała się u sióstr nazaretanek. Zadzwoiłem do klasztoru, zawiadomiłem o jej śmierci, podziękowałem za naukę, internat, za hojność - siostry, mówię, zaopiekowały się ubogą dziewczyną, umożliwiły wykształcenie sierocie - nie była uboga, usłyszałem, nie była sierotą, wszystko miałyśmy należycie opłacone. Już to mnie zdziwiło. Kto płacił? Jak to? Pan nie wie? Ojciec. Nigdy nie mówiła mi o ojcu. Sierota. Pogrobowiec. Jak ja, nawiasem mówiąc. Matki też rzekomo nie pamiętała. Może i nie pamiętała. Już nie wiem, co jest prawdą, a co kłamstwem.

Mike ośmielił się zapytać:

- Czy spostrzegł pan w małżonce jakieś skłonności?...

- Doktor Wiernik raptownie przystanął.

- Ma pan na myśli mitomanię? Nie, nie. Na nic takiego nigdy się nie zносиło. Cudowna, prawdomówna, czuła osobowość. Nawet kiedy dopadła ją nieuleczalna choroba. Ona zawsze... - Przetarł chusteczką oczy. - Przepraszam. Dwa lata minęły, a ja wciąż nie potrafię się otrząsnąć. - Opadł na fotel, jakby siły zeń uszły. - Nie rozumiem, co się stało. Kiedy kobieta kłamie...

Ksiądz podsunął mu filiżankę z wystygłą herbatą. Doktor przez chwilę pił, potem powiedział, najwyraźniej siląc się na spokojny ton:

- Kiedy kobieta kłamie, to zwykle chodzi o mężczyznę.

Ksiądz i Mike milczeli.

- O romans - mówił dalej pan Wiernik. - Coś, co chciała pokryć zapomnieniem. Zmianą osobowości. Ale to może trwało, wciąż trwało - bo czasem były jakieś wyjazdy, z których nie chciała się tłumaczyć. Oszukiwała mnie, a mówiła: musisz mi ufać.

I ja ufałem. Bo wydawała mi się - wiem, że to głupie, kiedy mężczyzna tak mówi o żonie - wydawała mi się nieskazitelna. Kryształowa.

- Może była nieskazitelna i kryształowa - powiedział Mike i wcale nie po to, żeby pocieszyć tamtego.

- Tak pan sądzi?

- Żaden romans nie wymaga fałszywej metryki. Mogło chodzić o coś

innego.

- Ale o co?

- Nie wiem - odpowiedział Mike. I pomyślał: nie powiem ci. - Na pewno rzecz się po pewnym czasie wyjaśni.

Ksiądz przytakiwał:

- Niech pan słucha sędziego, panie doktorze, to człowiek, który z niejednego pieca...

- Każdy zjadł swoje. - Doktor Wiernik dźwignął się z fotela. - Nie będę księdzu czasu zabierał. Panowie mają na pewno wiele do powspominania.

Obiecał się odezwać. Miło było pana poznać. I mnie pana. Wszystko się wyjaśni, ale na jego miejscu nie śpieszyłbym się z tym. Przy drzwiach doktor Wiernik zatrzymał się.

- A wie pan, ten stryj mojej Wisienki to był niezły bibliofil. Niech pan mnie odwiedzi, może coś pana zainteresuje. Stołu nie mam, ale obaj wyrosliśmy już z tego uganiania się za piłeczką. Jest za to sporo świetnych starych książek. Tuwim, Conrad, Boy,

Galsworthy. Rosyjska klasyka w oryginale, w starej pisowni. Erudyta. Mike zaśmiał się.

- Och, chyba nie. - Zastrzegł się: - O ile go pamiętam. To muszą być książki dawnego lokatora.

- Pańskiego kolegi?

- Jego ojca. Pan Ehrlich był felczerem. Pamiętam, że czytał zachłannie. I chętnie wciskał ludziom książki - mnie też. Dzięki niemu i ja coś przeczytałem.

Doktor Wiernik stał u drzwi, kiwając w zamyśleniu głową. Dopiero po chwili wykrztusił: „No to do widzenia”, i wyszedł. Ksiądz Ziemowit zadzwonił na gospodynię.

- Michasiu, córciu, poczęstujemy pana sędziego kolacją. Pochwal się. Ona, Miszka, świetnie gotuje, tylko co mi z tego, kiedy ja już nie mogę jeść. Żywię się głównie kaszą manną. Ale pić - pić to mogę. - Ksiądz nalał z karafki do kieliszków ciemnej nalewki. - Smorodinówka - obwieścił i mrugnął porozumiewawczo.

Przez chwilę smakowali cierpkość i zapach nalewki. Ksiądz spytał:

- Domyślam się, że przyjechałeś na uroczystości?

- Podjąłem się nawet pomóc w ich organizowaniu. Chcę namówić cheremczan, żeby się stawili.

- Nie wiem, czy ci się uda.

- Jeśli ksiądz pomoże...

Ksiądz siorbnął trochę nalewki. Spytał:

- Dlaczego ci tak zależy?

- Bo obiecałem.

- Temu chłopcu, z którym grywałeś w ping-ponga?



- Tak, Żydzie Ehrlichowi. Pamięta go ksiądz?
- Był dobry?
- Dużo lepszy ode mnie. Ale ostatni raz to ja wygrałem.

(Wyciągnąłem go ze stodoły, w której miano ich spalić, nie chciał iść - krzyczał, że matka - mama, mama! - matka została, puść mnie! Ciągnąłem go ze sobą, jakaś nadludzka siła wstąpiła we mnie - uciekaj, uciekaj! ratuj się! Wpadliśmy w żyto, przedzieramy się, kaleczymy sobie twarze - i nagle wrzask: Stój, stój do cholery! Ty, Michał, stój! Padnij! Waldek Butrym, ten bandzior, ten... Stoi nad nami ze strzelbą. Padnij - wrzeszczy - słyszeliście! Padamy. A on: Ty czego z tym Żydkiem? Panie Butrym, to przecież Zyga Ehrlich, pan go zna, syn felczera. Znam, no to co, Polska dla Polaków! I do Zygi: Gdzie twoje pejsy, Zelik? Nie mam pejsów - na to Zyga dziwnie spokojnie - nigdy ich nie miałem. Co ty, w Boga nie wierzysz? Żyto tratujecie! A ty, Michaś, czego go za sobą ciągniesz? Po co ci on? Staram się i ja udawać spokój: - Bo wygrałem z nim w ping-ponga. - Wygrałeś, to dobra nasza! - I obiecałem mu rewanż.

- Wygrałeś, to jesteś lepszy i skończona sprawa. - Nie, panie Butrym, on jest lepszy. On jest najlepszy. Najlepszy w Polsce! - On? - Tak, on. - Zobaczymy. Waldek strzelił dwukrotnie. Przyjrzał się martwemu Żydzie. - Fertig - powiedział. - Teraz ty jesteś najlepszy.)

- Obiecałem mu rewanż - powiedział Mike. Ksiądz pokiwał głową na znak, że rozumie.

- Przyjechałeś tu, żeby nas sądzić?

- Jestem na emeryturze. - Nie była to całkowita prawda, Mike nie śpieszył się do bezczynności.

- Niech ksiądz się pomodli, żeby nie było ulewy.

Ksiądz uśmiechnął się.

- Prognozy zapowiadają upał. Powietrze suche

- jak wtedy, kiedy stodoła się paliła. Ten Butrym, najstarszy z braci - ilu ich było? (czterech, odpowiedział Mike) - tak, czterech - ten, który zabił twój przyjaciel, Waldek, on czasem przynosił na plebanię upolowane pokryjomu kaczki. - Ksiądz przyglądał się kieliszkowi z nalewką. - A ja brałem.

- Z westchnieniem: - Brałem. - Znów chwila milczenia. - Z tym charakterem. Myślę... że to właśnie jest najtrudniejsze... Coś zwalczyć w sobie.

- Ksiądz próbował?

- Daj spokój z tym księdzem. Jaki tam ze mnie ksiądz! Uczynisz mi łaskę, mówiąc do mnie po imieniu. Ziemowit, Ziemek... - Stuknęli się z udaną ceremonialnością kieliszkami. - Niech ci się powiedzie.

Ta nalewka to robota Michasi. Wysłuchaj jej, jeśli zechce ci się otworzyć. Ma sporo do powiedzenia. Ale mów o sobie. Ukończyłeś prawo?

- W Columbia University. Przyznano mi stypendium - niech ksiądz się nie śmieje - sportowe.

- Za ping-ponga?

- Śmieszne, prawda? Zrobił się modny, kiedy Chińczycy wystąpili z inicjatywą tak zwanej dyplomacji pingpongowej.

- Coś takiego było - przypomniał sobie ksiądz Ziemowit.

- Sądziłem w Brooklynie. - Mike wyliczał, zaginając kolejne palce, aż wreszcie dał spokój, bo ich nie starczyło. - Narkomani, dilerzy, prostytutki, drobne kradzieże, naciągacze, kleptomanki, obsesyjni erotomani, nerwowcy, nadpobudliwi maniacy, dobrotliwi paranoicy, bójki małżeńskie, hetero i homoseksuści, rozwścieczeni rozwodnicy. Sekciarze, rasiści i antyrasiści jednakowo opętani, feministki i mężczyźni szowiniści, ekolodzy za i przeciw, despotyczni wegetarianie i fruktojadzy, przeciwnicy aborcji i wyznawcy prawa kobiety do swojego brzucha. Ludzie, którzy opętani są manią naprawiania świata, czyli w zasadzie dobrzy, ale groźni przez to, że znają niezawodną receptę, tylko oni ją znają, z patologicznym brakiem tolerancji dla poglądów odmiennych. Nieszczęsne ofiary własnych słabości.

- Dawałeś sobie radę?

- Staralem się ich rozumieć. Łatwo jest zaklasyfikować: ćpuny, świry, szajbusy. Ale ja zaobserwowałem, że w dzisiejszym świecie nikt nie jest pokorny. W każdym się kłębi coś, co nas zaskakuje. - Jakby sobie coś przypomniał. - Bardzo często orzeczeniem była kuratela. Nadzór psychiatryczny. To był nasz unik, mój i orzekających kolegów. - Mike próbował się uśmiechnąć. - Czasem całkiem dobrze się bawię. Ja robię uniki może częściej niż inni. Popijałem kawę z prokuratorem, a on do mnie: „Mike, twój świadek cię oszukuje, to notoryczny oszust”. Wiesz, co odpowiedziałem? „Wolę swoją sytuację niż jego. Wolę być oszukiwanym niż oszukującym”. Zarzucają mi, że jestem nazbyt pobłażliwy. Ale czy mogę być inny? Pomyśl: po tym, czego świadkiem byłem tutaj?

Chwila ciszy. Ksiądz:

- Rozumiem. Ale ten twój Murphy - dlaczego tak? Dembina to całkiem dźwięczne nazwisko, do wymówienia w każdym języku.

- Bo widzisz, tam, w Brooklynie, wśród tej sędowniczej klienteli, natrafiłem na zatręśnienie Polaków. Wolałem, żeby nie mieli pokusy odwoływania się do mojej polskości.

- Ożeniłeś się.

- Ożeniłem, rozwiodłem i znowu się ożeniłem. Ja mam dwóch prawie dorosłych synów z pierwszego małżeństwa, a ona dwie córeczki z poprzedniego. Jest adwokatem. Poznaliśmy się podczas rozprawy.

- Czemu jej z sobą nie przywiozłeś?

- Ziemku, Betsy jest czarnoskóra.

Mike'owi wydawało się, że nic nie musi dodawać. Ksiądz jednak był

innego zdania.

- Szkoda, że nie przyjechała - byłaby tu atrakcją.
- Tego właśnie chciałem jej oszczędzić.
- Może i racja - powiedział ksiądz. - Może i racja - powtórzył. -

A tam, u siebie, miewasz z nią problemy?

- Problemy są zawsze. Kiedy mieliśmy się pobrać, burmistrz poprosił mnie do siebie. „Mike - powiedział - nie podobają mi się twoje projekty małżeńskie. Jest problem”. „Doprawdy, sir, nie przyszło mi na myśl, że możesz coś mieć przeciw czarnej kobiecie”. Prawie się zachnął: „Nie o to idzie! Jesteś sędzią, a ona obrońcą. O to idzie! Może nastąpić niepożądane zderzenie”. Ja na to: „Bez obaw, sir. Wiem, że nie wolno mi rozstrzygać spraw, w których ona będzie obrońcą”. „Okej, Mike - on na to. - Tej rozmowy nie było”.

- Jaka ona jest, ta twoja... Betsy, tak?
- Jaka jest? Nic osobliwego. Kobieta. Jak inne. Tylko inaczej

ubarwiona.

- Naprawdę jak inne? Niczym się nie różni? - dopytywał się ksiądz.
- Czasami... Czasami wydaje mi się, że jest w niej coś innego.

Zachowała jakąś egzotykę. Jej irytacje, smutki, wybuchowa radość - może świadomie daje upust swojej inności, odgrywa ją. Dla mnie.

(Kłopoty, tak. Na przykład Tony, mój starszy syn. Przyszedł kiedyś do mnie i mówi: „Tato - zawsze mówi po polsku «tato», reszta już leci po angielsku

- tato, to mi ciąży, mam wrażenie, że nie jestem w porządku wobec Betsy, nie umiem być naprawdę serdeczny, nie czuję bliskości”. Poklepałem go po plecach jak rodowity Angielczyk. „Chłopie, powiedziałem, z macochą zawsze trudno o bliskość

- kolor skóry nie ma tu nic do rzeczy”. Pomyślałem i dodałem: „Gdyby była z Cheremca, kłopot miałbyś na pewno większy”. Zdziwił się: „Dlaczego tak sądzisz?” „Po prostu. Bez powodu”. „Żeby mnie pocieszyć? - domyślił się. - Dziękuję, udało ci się”.)

- Popatrz, co mi każą przeczytać w kościele.
- Ksiądz przesunął do Mike'a zadrukowaną kartkę. - Faks od biskupa.
- Co tam jest?
- Że Żydzi. Żydzi to, Żydzi tamto. Zawsze chciwi, chodzi im tylko

o to, żeby od cheremczan wyłudzić pieniądze. Miliardy dolarów. Za co? Za zbrodnię dokonaną przez Niemców! Szkalują Polaków. Przypomina, że Żydzi wsparli komunę. Krzywdy polskie za Sowietów.

- Odczytasz to?!
- Jeszcze nie wiem. Jego tu nie było - ja byłem.

Potem, z naciskiem:

- Byłem. Widziałem. Pamiętam.

Powtórzył:

- Widziałem. I nie wiem, co mi bardziej ciąży: bestialstwo i okrucieństwo jednych czy otępienie drugich.
- Księżę - powiedział Mike - bestialstwo jest zaraźliwe. Więźniowie w obozach koncentracyjnych zarażali się bestialstwem od esesmanów. Przychodzi mi na myśl, teraz, przy tobie, że może to wina pałki - kiedy coś takiego ściskasz w dłoni, może kusi, żeby użyć.
- A dobroć? - zastanawiał się ksiądz Ziemowit. - Co powiesz, panie sędzio, o dobroci? Czy ona też może być zaraźliwa?
- Ach, Ziemek, wbrew teoriom o dobrym dzikusie...
- ...i o grzechu pierworodnym... - wtrącił ksiądz.
- ... i o grzechu pierworodnym - dzieci rodzą się neutralne światopoglądowo. I jeśli chodzi o ich narodowość, w kołysce są zdecydowanie kosmopolityczne. A dobroć? Dobroci trzeba się nauczyć. Nabierając doświadczeń. Muszą zrozumieć, że dobroć jest bardziej higieniczna niż złość. Owszem, można się nią zarazić, ale to trudniejsze. Trudniej się ta słabość w naszym organizmie przyjmuje.
- Za dużo mamy przeciwnia! - powiedział ksiądz Ziemowit. - Pycha, próżność i tak dalej. Siedem co najmniej.
- Jak już się pojawi, to trzeba na nią chuchać, na tę dobroć. Skądkolwiek się wzięła. Nawet jeśli bodźcem jest próżność. Albo nieczyste sumienie. Nie szkodzi. Niech się święci wszelka dobroć!
- To brzmi jak slogan na transparencie.
- Ziemek, ja nie mam nieskazitelnie czystego sumienia - wyznał nieoczekiwanie Mike.

- Niby dlaczego?

- Uciekłem. Pozwoliłem mu zastrzelić Zygę.

- Nic nie mogłeś zrobić.

- Mogłem. Rzucić się na niego i krzyknąć, żeby zastrzelił i mnie.

- Michasiu, nie jesteś sam, ten kraj jest pełen Lordów Jimów.

Odprowadziwszy Mike'a do drzwi, ksiądz powiedział:

- Oni tu księdza nie szanują. Ksiądz to dla nich nie sługa Boży, ale urzędnik kościelny. Szanowali księdza Żydzi, do śmieszności: dla nich ksiądz to była osoba duchowna. - Trzymając wychudłą dłoń na kłamce, mówił: - Przed samymi wydarzeniami Szłomke uszył mi dwie sutanny. Oddał mi pakunek, zanim podreptał z innymi do stodoły. Później mi wielebny zapłacił, później - coś takiego mówił. Nie przeżył. Ani nikt z jego rodziny. Nie było komu zapłacić.

**2**

Księża gospodyni czekała na niego w sieni.

- Smakowały panu Michasiowi kołduny? - dopytywała się. -

A barszcz małorosyjski? Ekstra, prawda? Uwinełam się, żeby zdążyć coś

przygotować. Pan Michaś zajdzie do mnie na chwilkę, można prosić?

Wąskimi drewnianymi schodami na górę, na ciemne poddasze, gdzie belkowanie sufitu pokryte brązową farbą, łóżko przysłonięte przetartą kolorową kapą, na ścianach makatki, w kącie Ostrobramska, podświetlona chybotającym płomykiem ogarka.

- Moje królestwo - powiedziała kobieta, podając mu papierową paczuszkę. - Makowiec. Jak o północy nie będzie pan Michaś mógł spać, to jak znalazł. Ja się zawsze o północy budzę i wtedy... ale po co to gadanie? Szkoda języka. Tylko niech pan Michaś nie myśli, że ja się w nim podkochiwałam. Ręce miał dobre, nie powiem. - Kobieta zaśmiała się - Ale podkochiwałam się w tym drugim, tym starszym - jak on miał na imię?

- Zyga.

- Zygmus! Tak, Zygmus. Miał takie fajne czarne kędziory, tuż przy skórze, jak karakuł. Sweter jeden pamiętam, biały w czarne kwiaty, gruby, golf. I te jego wargi, takie pełne, odwinęte, oczu od nich nie mogłam oderwać - głupie dziewczynisko, no nie? Zabili go.

- Waldek Butrym go zabił. Przy mnie.

- Wiem. Wszystko wiem. Wszystko - powtarzała kobieta. Mike'owi wydawało się, że z trudem łapie oddech. - Ale pan Michaś to nie wszystko wie.

- Błagałem Waldka: zostaw go, muszę z nim zagrać, obiecałem mu rewanż. Nie pomogło.

- Co by z takim zbirzem pomogło? Chciał zabić, to zabił. To taka rodzina, same zbiry - dla nich zdmuchnąć człowieka to jak dla innego... - Urwała, szukała słowa, nie chciała widać posłużyć się czymś wytartym: zabić muchę, zabić ćmę, tak przypuszczał sędzia. Usłyszał: - A ja przecież za jednego z nich za męża poszłam.

Co ona wygaduje... Mike, trzymaj się, masz spokojnie wysłuchać stron, żadnych emocji, nic osobistego - choćby wszystko się w tobie gotowało. Kobieta mówiła:

- Czterech ich było drągali, tych Butrymów, a najgorszy piąty, ojciec, Konstanty, Kostek, tak go nazywali, wąsaty, szlachciurę odgrywał, on synami dyrygował, on ich na rozbój posyłał. Za Polski był radnym, bo oni tu mieli większość, ta ich partia, Narodowy Hufiec i coś tam jeszcze...

- Patriotyczny - przypomniał Mike.

- Patriotyczny, a jakże, nie było większych patriotów. - Gospodyni zacharowała śmiechem. - Kostek był tu ich przewodniczącym. Pogrom tuż przed wojną zrobili, przewracali trochę żydowskich straganów - handel dla katolików! - sami też, zdaje się, od straganiarzy oberwali. Jak w trzydziestym dziewiątym przyszli Sowieci, to pan przewodniczący Butrym od razu do nich przystał, razem z żydokomuną listy burżujów układał do wywózki, pana Ehrlicha to on wpisał na listę - za syjonizm. I rabina wywieźli, a w

synagodze, co dwieście lat stała, komuna zrobiła magazyn. A jak w dwa lata później mieli przyjść Niemcy, to on, tata Butrym, o bramę powitalną się postarał, napis z kwiatów: SERDECZNIE WITAMY. *Willkom-men*. Narodowo. No i od razu dla sąsiadów wymyślili to, co wymyślili, i stało się to, co się stało. Byłeś tu, widziałeś.

- I co z tego? Myślisz, że rozumiałem to, co teraz? Nie, tak nie jest. Kiedy przystawiają ci lufę do łba, nie rozmyśla się nad sensem... Jest w człowieku tylko krzyk, drżenie nerwów, jest „nie chcę umierać!” Tylko to. Dopiero później, w ciszy, w spokoju, ogarnia cię refleksja. Zadajesz sobie pytanie: dlaczego? Przypomniałem sobie, jak się znęcali

- nad ludźmi, których przecież znali, jak urządzali sobie zabawę. Ten rehot.

- Chryste, niech pan Michaś przestanie!

- Bo poczuli władzę. Nagle to na nich spadło. Mogę wszystko! Mogę to i tamto. A tamten musi. Bo ja każę! Ja! Ja!

Szepnęła:

- Tak to pewnie jest. Złe serce, ale i głupota.

- A Michasia za Butryma się jednak machnęła.

- Za najmłodszego. - To miało usprawiedliwiać jej postępek. - Czas mi było za mąż iść, ulżyć mamie, wdowie z kilkoma córkami, i tak sobie myślałam: ten Józek miał szesnaście lat, jak to się działo, nie więcej, poszedł za braćmi, myślałam, nie chciał być gorszy, z głupoty poszedł, z próżności, może nie ma w sobie zła, może przy mnie się naprostuje. A jeszcze Eulalia, moja siostra, chyba ją pamiętasz, w jamie pod chlewikiem ukrywała małą Żydóweczkę, nie tylko ją, może kiedyś panu Michasiowi opowiem, bałyśmy się, że coś zwąchają, a jak ja wyszłam za Józka Butryma, to już jakby poza podejrzeniami, w rozbójniczą rodzinę weszłam. - Smutny chichot. - Słucha pan Michaś? Bo może pan czegoś nie rozumie?

Rozumiem, pomyślał Mike. Ja tak, ale Betsy

- ona by jednak nie zrozumiała. I moja asystentka także nie.

- Mów - ponaglił. - A dzieci? Były dzieci?

- Troje. Płodna byłam, czemu nie. Najpierw dwóch chłopców, dwa blondasy, potem ona, Haneczka, ciemnowłosa, całkiem od nich różna.

Powinnam była z dziećmi wyjechać. Uciec. To przecież nie mogło tak trwać. Musi za to odpłata nadejść. Nie pomyślałam. Bo jak? Zimą dzieci bawiły się śniegiem, bardzo to były śnieżne zimy. Lepiły bałwany, ślizgały się.

A nadeszła wiosna, to na rynku biały bez zakwitał. Potem jaśmin. Wieczorem od maciejki aż nozdrza zatykało. Jak gdyby nigdy nic. Jakby Bóg o wszystkim zapomniał. I dopiero kiedy chłopcy mi potonęli...

- Boże, o czym ty mówisz!

- O tym, że potonęli. Obaj. W stawie. Bawili się, wciągnęło ich. I ja, jakeśmy ich chowali, już wiedziałam: to kara boża. A pan Michaś

dlaczego się nie odezwie? Dlaczego - nic, ani słowa?

Mike poczuł się bezradny: chłopcy potonęli, on ma coś powiedzieć. Ale co?

- Co chcesz usłyszeć? - spytał.
- Że to okropne...
- Okropne.
- Pan Michaś to tak jakoś...
- Nauczyłem się słuchać. Nie mówić.

Znowu milczenie. On:

- Michasiu, nie możesz wiedzieć, co się w czyjejś duszy dzieje.

Słowa... Słowa często zasłaniają prawdę.

Są daniną, pomyślał. Ale ludzie potrzebują tej daniny. Nie umiem tego dać.

Michasia, nie od razu pogodzona z jego wywodem, podjęła opowieść:

- Ludzie też tak mówili: to przez ich ojca. Bóg mnie karze za jego zbrodnie. Ale dlaczego topi chłopaczków? Dlaczego nie jego? Powiadają: niezbadane są ścieżki... Jedno wiedziałam: taka zbrodnia nie może zostać bez kary. Córeczka wciąż jeszcze żyła, muszę ją ratować od niego. Uciec, póki coś z mojej smukłości zostało. Opuściłam go, gonił mnie i byłoby całkiem źle, ale przygarnął mnie ksiądz Ziemek. I córeczką się zaopiekował.

- Nie bałaś się o los córki?
- Mniej. - Wahała się, zanim wyznała: - Nie była od niego.

Pomyślałam, wtedy po raz pierwszy: jak to dobrze, że nie od niego - nie będzie kary boskiej. Haneczkę, wie Michaś, ciągnęło do skrzypiec, mój Józwa nawet wykrzykiwał: „Żydowski instrument! Coś z nią nie w porządku!”

Posłaliśmy ją do Białegostoku, do pani profesorki na naukę, ksiądz Ziemek wszystko opłacił.

- I co? Artystka?
- Za mało ćwiczyła. Jest księgową w supermarkecie. Czasem nawet gra w orkiestrze, w zastępstwie. Za mąż poszła za kierowcę, towar wozi, życie jest, ale... Lekarz mówił, że bardzo wrażliwa. Trzeba z nią ostrożnie. Pan Michaś, a czy nie powinno się takich bandytów śmiercią karać? Czy tylko Bogu zemstę zostawić - jak to napisano - a ludzie to co, nie? Pan Michaś też pewnie z tych, co przeciw karze śmierci?

- Jako sędzia mam przestrzegać prawa. To wszystko.

- Ale w głowie swoje własne prawo Michaś ma. Każdy ma.

- Michasiu, jak długo trwa kara śmierci? To mgnienie tylko. Kara życia jest długotrwała. Cały czas ze sobą. Skazanie na życie - jest w tej karze okrucieństwo.

Księża gospodyni się przeżegnała.

- Co też pan Michaś mówi! Ale może i tak. Może, może... Sporo chermczan opuściło miasteczko, mówili, że obawiają się kary bożej.

- I że twoje dzieci zginęły za grzech ojca. Więc wiedzieli, że stało się zło.

- Jak tu nie wiedzieć. A Michaś dlaczego stąd uciekł?

- Tak samo.

- Że zło?

Mike milczał.

- Sam? Bez matki?

- Mówiła: ja poczekam, ojciec wróci, zobaczysz. Był w oflagu. Nie wrócił. Pewnie zaczął nowe życie.

- A Michaś jak się wydostał?

- Wtedy nie było trudno. Z pingpongistami do Niemiec, do sowieckiej strefy. Przeszedłem z raketką do zachodniego Berlina, w kieszeni miałem piłeczki, zgłosiłem się do Amerykanów, jednemu z nich, którego rodzice byli z Polski, nazwa Cheremiec coś mówiła. Pokiwał głową i załatwił. A mama wciąż czekała. Sprowadziłem ją, jak stanąłem na nogi. Nie chciała jednak przy nas być. Nie chciała być babcią. Zamieszkała w Brooklynie u przyjaciółki, koleżanki z gimnazjum. W szkole razem muzykowały. Mama na flecie, Pesia na skrzypcach. Wspominały koleżanki z orkiestry - te, co wyjechały, i te, co spłonęły. Miała już paszport, bilety, kiedy wybuchł pożar i spłonął nasz dom. Mówiono, że zapłaciła komuś, żeby podpalił.

- I nie ma Michaś domu!

- Nie mam. I nie trzeba.

- A tu powiadają - mówiła Michalina nieśmiało, jakby się wstydziła - że te dusze żydowskie, że niechrzczone to gdzieś się między nami błakają. Jedna baba mi się skarżyła, że wypijają jej mleko. Wchodzą, powiadają, w koty. Jak pan Michaś trochę pobędzie, to zauważy, jak mało tu kotów.

- Wybijają je?

- Jest taki wariat, co na nie poluje. Drugi z Butrymów, Każko.

Całkiem mu odbiło.

- A policja?

- Co policja? Nikt nie wniósł skargi. Uduszono kota, owa, wielkie mi rzeczy. A jednej duszy grzesznej mniej. Odprawdzą pana, te bandziory są niebezpieczne, mogą nie odpuścić. Niech się pan trzyma poręczy. Makowiec! - zakrzyknęła w popłochu.

Trzeszczącymi schodkami w dół. Pisk jak duszonego kota. W tym domu unosi się zapach drewna, może i pleśni - to nawet przyjemne, jak się pomiesza ze smorodiniówką, czosnkiem z kołdunów, barszczem małosyjskim. Kuchnia polska ze smakołykami Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

- Mój Józwa - powiedziała księża gospodyni, kiedy wyszli na dwór, w czerń nocy, pod obsypane gwiazdami niebo i natarczywie świecący



księżyc w pełni - on to się zapiał. Pił z braćmi od chłopaka. Wtedy tam, przy stodole, też był pijany. To dlatego właśnie myślałam: głupie chłopaczysko, bracia do złego prowadzili - teraz, przy mnie, będzie inaczej. Nie było. Chłał bimber, no i potem - wątroba, trzustka, ołów w nogach - nic to picie z sumieniem wspólnego nie miało. Po wojnie, przy socjalistach, był jakiś proces, Kostek dostał osiem lat, za podżeganie dostał, tylko to mu udowodnili, przesiedział cztery - amnestia, Stalin umarł. Chyba i do partii pozwolili mu się zapisać, poszkodowany, a jakże, stalinizm go więził, na zebraniach głos zabierał, to wiem na pewno, moralności uczył, żeby lepiej pracować, plan wykonać, dla dobra ludu. Znowu się śmiejesz... On umarł we własnym łóżku.

- A ten trzeci? Ten starszy od twojego Józka? - spytał Mike.

- Ten trzeci... no jak mu było? O matko, nie pamiętam imienia.

Z nim było tak. Pobili się bracia w gospodzie. Poszło o jakieś futra czy zegarki. A może o to, kto lepszy, nie wiem, zabili go, Żydów nie było, to zabili brata.

- A sąd?

- Uznał, że nieszczęśliwy wypadek. Uwierzył świadkom.

Mike:

- Pobicie ze skutkiem śmiertelnym.

Gospodyni westchnęła:

- Mówiono, że sędzia ich się przestraszył. To oni tu rządzą. Zawsze.

Zaprowadziła go do pomnika, który oświeciła latarką. Pojawiły się litery.

TU SPOCZYWAJĄ PROCHY 250 ŻYDÓW ZAMORDOWANYCH PRZEZ FASZYSTÓW W LIPCU 1941 ROKU. CZEŚĆ ICH PAMIĘCI.

- Mają to zmienić - powiedziała księża gospodyni. - Usuną słowo faszyci. Bo nie tamci to zrobili, ale sąsiedzi.

- Faszyci - upierał się Mike. - Narodowy Hufiec to zawsze byli faszyci.

- Ale nie niemieccy!

Mike szepnął:

- Ja nie rozróżniam.

I wtedy rozdarł ciemność ostro świszczący krzyk:

- Co wy tu? Znowu przeciw Polsce?

Wyrósł przed nimi przysadzisty obdartus, gruby zarost chyba miał żółtawy, płaski nos pokaleczony.

- Jaśko, nie wrzeszcz - upomniała go kobieta.

- To nasz gość, pan sędzia z Ameryki.

Jaśko nieoczekiwanie zachichotał:

- Po pieniądze? Ja nie dam! Kobieta szepnęła:

- To nasz nosiwoda bez wody, idiota, stuknięty, ale nieszkodliwy.

Jaśko, tańcząc w miejscu, wykrzykiwał:

- Nie dam! Żydy po nasze pieniądze przyjeżdżają, ale ja nie dam. Wie

pan, ile chcą zedrzeć? Sześćdziesiąt pięć miliardów! Sześćdziesiąt pięć miliardów!

- Kto ci to, Jaśku, nagadał? O tych miliardach?
- spytała kobieta, dając znak sędziemu: posłuchaj.
- A kto miał nagadać? Ja sam wiem! Jaśko ma głowę i wie! Im nie o stodołę chodzi, ale o geszeft! Nasze pieniądze! I wie pan co? Nasze cierpienie chcą nam wykraść! Nasze zasługi! I jeszcze ich przeproszać? Za co? Prezydent przeprosi, a potem Jaśko będzie musiał ostatni grosz oddać! Pan prezydent też ich! Patrz pan: moje portki! A oni mówią: nasze, oddaj! Wiatrówkę ściągną, wszystko! I buty. Buty też. Oddaj! - (Buty van Gogha, skojarzyło się

Mike'owi. Buty Charliego.) - Jaśko nie odda! Jaśko wie, jak sobie z nimi poradzić!

- Jaśku, daj panu spokój! Pora spać.

Mike wyjął z kieszeni monetę. Jaśko zerknął:

- Dla mnie?

- Dla pana. Tylko pytanie. Odpowie pan?

- Jaśko na wszystko odpowie. Jaśko wie!

- To proszę powiedzieć, jakiej narodowości był Pan Jezus?

- Jak to jakiej? Wiadomo. Polak.

- A Matka Boska?

- Królowa Korony Polskiej. Jaśko wie. W porządku?

- Proszę. - Mike podał nosiwodzie bez wody monetę. To nic, że idiota.

On wie swoje. I wykrzykuje to.

Nosiwoda ze sprytnym, wszechwiedzącym uśmiechem przyglądał się monecie.

- Żydowska. Żydowska moneta dobra, oho, podziękował szanownemu panu. Rano naniosę wody.

- Dziękuję, nie trzeba, mieszkam w gospodzie. Dobranoc.

Nosiwoda zniknął, jakby nagle się pod ziemię zapadł.

- Upiór - powiedział Mike. - Nie spodziewałem się powrotu upiórów.

Wracają - przeszłość staje się teraźniejszością. Obiecałem Żydze rewanż. Może zapomniałbym o tym, tyle lat minęło - gdyby nie upiory. Nie pozwalają zapomnieć.

Michasia podprowadziła go w poblize baru. Świecił neon Cheremianka. Czerwona kursywa. Mike'owi wydawało się, że ktoś podąża ich śladem. Kiedy się odwrócił, wydało mu się, że cień chowa się za pień drzewa.

- Niech się Michasiowi dobrze śpi - odezwała się kobieta.

- I tobie, Michasiu.

- Pewnie tak będzie. Wygadałam się za ostatnie trzydzieści lat. -

Wspięła się na palce i pocałowała Mike'a w policzek. - Ulżyło mi.

Ledwie doktor Wiernik wrócił do domu, który właśnie odziedziczył, kiedy pojawił się ten chłopiec. Doktor zdążył się umyć, zapalić gaz pod czajnikiem, zacząć przygotowania do kolacji. Jest woda, jest butla z gazem, światło, działa telefon - doktor pomyślał z wdzięcznością o burmistrzu, który to wszystko opłacił, wszystkiego dopilnował, o wszystkim pomyślał, nawet o sprzątacze, żeby odkurzyła książki; wręczając mu klucze, powiedział: „Niech pan doktor nie dziękuje, wszystko z pana ściągniemy, nie ma nic darmo”. I uśmiech. Nadzwyczajny facet, ten burmistrz, pozazdrościć. Sięgnął po książkę: Gogol, *Szyniel*, wydanie z 1903 roku, to lubię, pomyślał doktor Wiernik, nałogowy czytacz, zupełnie jakbym wyrósł w dziewiętnastym wieku, jakbym był stamtąd. Najchętniej czytałby przy lampce naftowej. W ciszy. Odcięty od swojego komputera, telefonu, od natręctwa dzisiejszych zgrzytliwości i od zielonych ludzików.

Więc ten chłopiec. Pojawił się na progu, jasnowłosy, krótko ostrzyżony, z grzywką, chyba dziesięciolatek, w długich odprasowanych spodniach (myśmy nosili krótkie), w białej koszuli, z niebieską muszką pod szyją. Kolorowo i uroczyście. W ręku dźwigał jakiś album. Powiedział „dobry wieczór”, spytał czy można - ależ proszę, co cię sprowadza?

- Album - usłyszał doktor.

- Ten album?

- Tak, on jest stąd.

- Stąd - powtórzył za chłopcem pan Wiernik. - Ciekawe.

- Ja go zabrałem i teraz zwracam.

- To ładnie - pochwalił doktor. Zdaje się, że dla chłopca to jest ważna sprawa, coś uroczystego. Stąd ten strój. Doktor poczuł skrępowanie. Nie wiedział, jaki ton przybrać. We Wrocławiu, w urzędzie, na którego czele stał, nie brakło dziwacznych interesantów, ale dzieciaki go nie odwiedzały, z dziećmiakami nie da się zastosować biurokratycznych kruczków. Spytał: - Może siądziesz? Chcesz herbaty?

- Nie, dziękuję.

- Ja się napiję, pozwolisz. - Chłopiec kiwnął głową: pozwala. - Masz chyba jakieś imię?

- Zbigniew Kajetan - przedstawił się chłopiec.

- Piękne imiona.

- Wołają mnie Kajtuś.

- Ja też mogę?

- Jak pan chce.

Doktor Wiernik usiadł obok chłopca.

- Kajtusi, co jeszcze stąd wzięłeś?

- Nic, tylko to... - Wyznał: - Lubię obrazki. - Otworzył album. - Widzi pan? Rodzinne zdjęcia.

- Bardzo stare.

- Aż zżółkły. Pokazałem tacie. Mój tato jest księgowym w szkole. O, widzi pan tego chłopca? Taki czarniawy kędzior. Chyba w moim wieku. Dziwne ma spodnie.

- Pumpy. Przed wojną chłopcy takie nosili.

- A pan?

- Urodziłem się podczas wojny.

- Czyli nie miał pan takich spodni?

- Nie.

- Mówię do taty: popatrz, jakie on ma smutne oczy. Wcale nie smutne - mówi tata - tylko ciemne. A nie, bo smutne! Jakby ciebie tak fotografowali i kazali patrzeć w aparat, bez mrugania, to też by wyszło, że masz smutne. A nie, bo ja mam wesołe! Inne - na to tata - po prostu inne. Spytałem tatę: a gdzie on teraz jest? Nie ma go. Umarł? No! Dlaczego umarł? Chorował? A co ty - mówi tata - policjant jesteś, że tak przepytujesz? Szkoda - powiedziałem - że nie żyje, moglibyśmy się pobawić. Wie pan, co tata na to? No, mówi, on by teraz był już starcem. Gdyby przeżył, powiedział, ale nie przeżył. Nie przeżył czego? - pytam. A tato: tak w ogóle, nie zawracaj sobie tym głowy. I jeszcze: skąd to masz? Mówię skąd. A tato: to musi być album tych - no tych, co tu kiedyś mieszkali...

- Ehrlichów - podpowiedział doktor.

- Aha, właśnie ich. Tak tata powiedział. No, mówi, idź, zwróć panu doktorowi album, on tam teraz mieszka, nic nie ma prawa zaginąć. Mama na początku się zdenerwowała: co ty, mówi, dziecko posyłasz, jeszcze się czegoś nasłucha, sam idź. Nie, ojciec na to, wziął, to ma iść i zwrócić, tylko go ubierz przyzwoicie. Czego miałbym się nasłuchać, może pan wie?

- Tu u mnie niczego.

- Nie wie pan?

- Nie wiem.

- Jak się dowiem, to panu powiem.

- Dziękuję, nie jestem ciekaw. Jak chcesz, to ja ci ten album podaruję.

- Lepiej nie. Tata nakrzyczy, dlaczego wziąłem.

- To zajdź do mnie jeszcze. Popatrzymy sobie razem.

Kajtuś nie zdążył podziękować, a tu nagle otwierają się drzwi i to tak, jakby ktoś je wyłamał. Na progu stał zwalisty mężczyzna, siwe obwisłe wąsy, na głowie znoszony kapelusz, skórzana kurtka przewiązana grubym sznurem. Spytał, spoglądając spode łba:

- Pan Wiernik? - Głos huczący, chrapliwy.

- Do usług. Czemu zawdzięczam?

Mężczyzna nie odpowiedział. Ściągnął sznur

i wywijając nim przed oczyma doktora, warknął:

- A gdzie kot?

- Jaki kot? - zdziwił się pan Wiernik.

- Kot, który tu był! Pan Snopek trzymał kota. Gdzie on? Tylko niech pan nie ukrywa, bo gorzej będzie.

- Proszę mi nie grozić - wzburzył się Wiernik.

- Pytam, gdzie jest kot?! Ostatni raz po dobremu!

- Ostatni raz odpowiadam: nie ma tu żadnego kota.

Przybysz spytał, tym razem spokojniej:

- I nie było?

- Nie było.

- Ale był! Pamiętam, że był! Już go namierzyłem, ale mi się wymknął.

Wtedy odezwał się Kajtuś:

- Musiał się wynieść, panie Butrym. Co tu miał robić sam?

- Kota obowiązek - upierał się mężczyzna - przy domu być.

- Ale jak tak przy domu? - tłumaczył chłopiec. - Bez mleka, bez wody?

Poszukał sobie innego domu.

- Gdzie? Wiesz? Gadaj!

Kajtuś otarł pot z czoła.

- Nie wiem. Skąd bym miał wiedzieć?

Mężczyzna owinął się na powrót sznurem.

- Znajdę go - zapowiedział, zawiązując na brzuchu pętlę,

i zabrzmiało to jak pogróżka. - Nie odpuszczę!

Jak wszedł bez przywitania, tak i wyszedł bez pożegnania. Tylko drzwi trzasnęły. Kajtuś chwilę nasłuchiwał.

- Poszedł - powiedział wreszcie. - Uff, ale szajbus.

- Pan Butrym, jeśli dobrze usłyszałem.

- Każko Butrym. Świr. Dusi koty.

- Co on ma do kotów? Przeszkadzają mu? Dlaczego?

- Bo w kotach miały się schronić żydowskie dusze. Niechrzczone, nie mogą trafić do nieba.

Doktor Wiernik przez chwilę milczał. Potem spytał niepewnie:

- Na przykład tych Ehrlichów?

- Na przykład ich.

- A ty w to wierzysz?

- Ja? Skąd! Czy ja głupi jestem?

- Nie, nie jesteś głupi. A był tu naprawdę kot?

- Powiedzieć panu prawdę? Był. Śliczniutki, biały w czarne plamki.

Nikt nie wie, jak go wołano.

- I ty wiesz, gdzie on jest?

Kajtuś powiedział szptem:

- Pani Maryjka go wzięła.

- Nauczycielka? Ta, co uczy historii?

- Ona. Powiedziała, że go ukryje. Nie pozwoli mu zrobić krzywdy. Ale niech pan nikomu nie powtarza. - Znowu szptem: - To konspiracja. Nie zdradzi

pan?

- Możesz na mnie liczyć - obiecał doktor Wiernik i dał Kajtusiowi śliwkę w czekoladzie, na pożegnanie.

Po wyjściu chłopca doktor Wiernik nie ruszył się z krzesła. Siedział nieruchomo przy stole, przed sobą miał album, którego nie chciało mu się otworzyć. A powinienem przejrzeć, pomyślał, wpatrzeć się w ich twarze, należy im się to ode mnie. Ta kapa na tapczanie - ciekawe, czy pamięta ich czasy. Nie, chyba nie, tkanina z tutejszych krosien. Ale szafa, ciężka, rzeźbiona - na pewno ich. Jacyś Ehrlichowie. Co się z nimi stało? I co ja tu robię?

Z odrętwienia wyrwał go ostry dzwonek telefonu. Wzdrygnął się. Po słuchawkę sięgnął bez pośpiechu - znowu jakiś dusiciel kotów - ale usłyszał głos córki i rozjaśnił się.

- Tato, jak ci tam? - pytała Krysia.

- Nie najgorzej - odpowiedział. - Mamy umeblowany dom, kupa miejsca, na dużą rodzinę.

- Ja nie przyjadę, dobrze wiesz - przypomniała córka.

- Wiem.

- Zawarłeś jakieś znajomości?

- Tak, trochę, zaprzyjaźniłem się z pewnym chłopaczkiem, Kajtuś ma na imię. Odwiedził mnie też pewien drab, dusiciel kotów.

- Chyba żartujesz.

- Nie żartuję. Powinni go leczyć.

- Ja nie przyjadę - powtórzyła córka, tym razem porywiście.

- Wiem, mówiłaś.

- Nie żądasz chyba ode mnie?

- Nie żądam. Wyfrunęłaś z gniazda i lataasz, gdzie chcesz.

- Mama mi tak radziła.

- Twoja mama... - zaczął ojciec i urwał.

- O co chodzi? Co chciałeś powiedzieć?

- Ona nas oszukiwała! - wybuchnął.

- Mama?

- Tak, twoja mama! Moja Wisienka! Czy nie mówiła, że jest sierotą? Kłamała. Miała fałszywą metrykę. Rozmawiałem z księdzem, który ją tu chrzczył. Miała ojca, który opłacał za nią gimnazjum, internat, wszystko. To po nim dziedziczymy ten domek.

- Ja nic nie dziedziczę! - zakrzyknęła córka.

- Ty wciąż swoje. A nie robi to na tobie wrażenia? Że mama nas oszukiwała?

Bez odpowiedzi.

- Dlaczego milczysz?

- Bo mnie nie oszukiwała.

- Wiedziałaś!
- Tak, tatusiu. Powiedziała mi.
- Że jest z Cheremca?
- Tak.
- I o swoim ojcu?
- Też.
- Ale, na litość boską, dlaczego to robiła? Krysiu, czekaj, powiedz: nie kryje się za tym jakiś mężczyzna?

- Nie, żaden mężczyzna. - Przysięgłby, że córka się zaśmiała. - Ach, tato, jak mogłeś tak pomyśleć?

Mruknął:

- Zawsze można. Więc co? Co to było?
- Tatusiu, mama w pewnych sprawach była bardzo zasadnicza.
- W jakich sprawach?
- Tak w ogóle. - Wyczuł w tym unik. Córka dodała: - Pamiętaj

przecież.

- Niełatwy charakter, to prawda.
- Mówiłeś czasem: kryształowa kobieta, zbyt kryształowa jak na moje

potrzeby.

- Ja tak mówiłem? Nigdy nie pamiętam swoich bon motów.

Dowiem się, pomyślał, nie chodzi o mężczyznę, wierzę - więc o co? Wydawało mu się, że jest blisko jakiegoś tropu. Na razie lepiej nie rozpytywać. Usłyszał pełen troski głos córki:

- Martwi mnie, że jesteś samotny, tatusiu.
- Niezupełnie. Poznałem pewnego interesującego pana, mister

Murphy, był sędzią w Brooklynie. W dzieciństwie grywał w tym domu, w tym, który jest nasz, w ping-ponga. Obiecał mnie odwiedzić.

- To się cieszę.
- I jest pewna pani Maryjka. Nauczycielka historii, blondynka,

autentyczna, wspominałem ci o niej.

- Ładna?
- Ujdzie.
- Oho - na to córka.
- Żadne oho. Zdaje się, że ona szuka męża.
- Ożeń się, tatusiu.
- Zwariowałaś.
- Ożeń się. Serio. Mama życzyła sobie, żebyś się ożenił.
- Wymyślasz.

- Nie, przysięgam. Tak mówiła. Że potrzebna jakaś pani, która by ci była bliska. Zajęła się tobą. I żebyś ja dopilnowała.

Ojciec z trudem wstrzymywał łzy.

- Krysiu, po twojej mamie?... Jakaś bliska? Twoja mama... - Nie

wytrzymał, zaniósł się szlochem.

- Tatusiu? - zaniepokoiła się córka.
- Już dobrze - uspokoił ją. - Już wszystko w porządku.

#### 4

Bar był już nieczynny. Tylko w kącie restauracyjki, za kwadratowym stolikiem, siedziała przy filiżance herbaty samotna kobieta. Włosy koloru kasztanu, krótko ostrzyżone, z grzywką. Beżowy żakiet, z wykładanym białym kołnierzem bluzki. Przyzwoicie. Nie wiadomo, co tu robi. Pewnie w związku z uroczystościami. Mike odebrał od właścicielki klucz, trójka, pokój na piętrze. Z głośnika sączyła się dyskretna muzyka, coś latynoskiego. Mike zerknął w stronę stolika, miał wrażenie, że kobieta odwzajemniła się nieznacznym uśmiechem.

- Trafi pan? - spytała pani za ladą. Zapamiętał, że używała jakiegoś trudnego imienia, zaraz, chyba Filomena, ale po co się męczę, ma na piersi tabliczkę z napisem FILOMENA. Wysoka, obnażone mięsiste ramiona, okrągła twarz, wokół niej spływające aż na plecy czarne, błyszczące włosy, duże, ciemne oczy, mocno podbarwione, z uszu zwisają koła kolczyków, spoza koronkowej bluzki, też czarnej, podnoszą się w oddechu obfite piersi. Stylizuje się na Carmen, czy może na Meksykankę. Trochę zbyt

mocno jej się przyglądam. Powiedział, jakby mogła odgadnąć jego myśli:

- Przepraszam.

- Ależ za co, panie sędzio? Coś jeszcze? - ośmieliła go, zauważywszy wahanie Mike'a.

- Tak, pewien drobiazg. Tylko proszę mi nie wmawiać, że mam bzika. Wydawało mi się, że ktoś mnie śledzi.

- Spodziewa się pan czegoś takiego?

- Nie wykluczam. Ten człowiek szedł za mną dość uporczywie. Ale może nie za mną? Może chciał sobie wypić?

Pani Filomena zerknęła za okno.

- Jest. Nie wiem, czy pana śledził, ale on tam wciąż jest. To jeden z Butrymów, syn tego najstarszego.

- Też nie najmłodszy.

- On tu do nas nie zachodzi.

- Czy tak samo groźny jak jego ojciec?

- Panie sędzio, proszę mnie zwolnić od odpowiedzi. Ja tu prowadzę bar, tylko to, i nie jest mi lekko. Zrobić panu kolację? Może być jajecznicą.

- Och, nie, dziękuję, podejmował mnie ksiądz.

- No to jestem o pana spokojna. Kołduny po litewsku i ruskie pierogi. Zgadłam?

- Mniej więcej.

- No i jaki ja mogę mieć dochód, jak ksiądz odbija mi klientelę. -  
Podawała mu butelkę wody mineralnej. - Niech pan to weźmie ze sobą. Pomaga



w trawieniu.

- Okej.
- Śniadanie tutaj, do dziewiątej. Obudzić pana?
- Nie, dziękuję.

Kobieta przy stoliku uniosła oczy i obdarzyła go uśmiechem. Tym razem na pewno. Właścicielka spytała:

- Nie czuje się pan tu samotny? Mike wskazał na okno:
- Jak pani widzi, nie cierpię na brak towarzystwa.
- Nie to miałam na myśli.
- Trochę samotności mi się przyda. - Dodał:
- Tam, u siebie, czasem tego właśnie mi brak.
- Bo może pan by chciał miłszego towarzystwa?
- spytała i spojrzała z ukosa, z figlarnym uśmieszkiem.

Meksykanka. Dużo gładkiego ciała. Ciekawe, jak ona się do tego bierze.

- Dziękuję - odpowiedział.
- Ta pani przy herbatce - dostrzegł ją pan?
- Trudno nie dostrzec.
- Ona chętnie pana odwiedzi.
- Jest pani pewna?
- Jak to się mówi: handluje miłością. Handluje miłością - powtórzył

w myśli. Spodobało mu się to określenie.

- Potrafi być miła - zachwalała pani Filomena.
- Wierzę.

Jutro zaczną się zjeżdżać na uroczystości i ona może nie mieć dla pana czasu.

- Czyli to gościnne występy? - upewnił się sędzia.
- Tak, niech pan skorzysta.
- Zastanowię się. - Wypadło sucho, trudno, musi zrozumieć, że go to

nie interesuje.

Nie miał okazji się zastanowić. Mył ręce, kiedy rozległo się pukanie, uchyliły się drzwi i w szczelinie ukazała się okrągła kobieca główka z grzywką na czole.

- Można? - Głos dźwięczny, piersiowy.
- Proszę. - Powiesił nad umywalką ręcznik i wskazał krzesło.

Ona wciąż stała. Ale na twarzy uśmieszek, w oczach coś iskrzącego, no i wokół ust miłe dołeczki. Teraz widział, że spódnica do kolan, nic wyzywającego. Linia bioder wydatna. Kobieta bez kamuflażu, do zapłodnienia. Beżowe czółenka na szpilkach. Mike zerknął za okno:

- On tam wciąż tkwi.
- Kto?
- Jakiś osobnik, który mnie śledzi.
- Po co?

- Nie wiem. Może mu się nie podoba mój przyjazd.

Teraz ona spogląda za okno.

- To tutejszy. Ogrodnik z niezłą kasą.

- Z Butrymów.

- Następne pokolenie. - Ze śmiechem. - Nie ma przy sobie siekiery.

Ale ma pistolet. - Zbliżyła się do okna. - Odchodzi. Wystraszyłam go. -

Uśmiech. - Mamy go z głowy.

- Przyznam się - powiedział Mike, przypatrując jej się bez skrępowania - że coś w pani jest, co mnie zaskakuje.

Roześmiała się i teraz tego iskrzenia było więcej. W kącikach oczu zarysowały się wesołe zmarszczki.

- Nie wyglądam? - To był ten powód do śmiechu.

- Nie wygląda pani.

- Bo przeczytał się pan prostackich książek. - Wciąż stała. - Że jak handluje miłością, to wredna, ordynarna kurwa.

- Albo umierająca na gruźlicę Dama Kameliowa.

- Niemodne - powiedziała. - Jestem Malina. Proszę się nie przedstawiać, panie sędzio. Wiem o panu dużo.

- Całkiem niepotrzebnie.

- Niepotrzebnie - zgodziła się. - Klient powinien być anonimowy.

Robimy coś? - spytała.

- A nie możemy porozmawiać?

- Możemy. Ale to kosztuje.

- Ile?

- Trzy stówy za godzinę.

- Rozmowa?

- Tak samo. - Wciąż stała. Najwidoczniej była gotowa odejść. - Liczy się mój czas.

- Drogo. Słyszałem, że jest dużo taniej.

- Opłaci się tylko to, co drogie - powiedziała i w jej oczach znowu zabłysnął uśmiech.

Mike położył na stole trzy banknoty.

- Godzina - przypomniała Malina, chowając pieniądze do beżowej torebki.

Teraz dopiero usiadła. Założywszy nogę na nogę, odsłoniła różowe kolano i kawałek uda. Trzydziestka, na pewno, a przecież te demonstrowane kawałki ciała sugerują dziewczęcość - i ona o tym wie. Diablica.

- Poczęstuje pan czymś?

- Whisky?

Lodu nie było. Nie szkodzi, ona woli czystą. Coś trzeba sączyć, żeby ta godzina jakoś upłynęła. Podniosła szklanę.

- Za pańską sprawę, panie sędzio. - Nadpiła. - Co by pan chciał wiedzieć?

- Nie jestem tu służbowo. Zresztą, pani i tak nie mogłaby mi pomóc, za młoda pani jest.

- Ja jednak coś niecoś o tych rzeczach wiem. Sporo się nasłuchałam. Najpierw mój dziadek. Właściwie milczący. Milczenie czasem dużo mówi, zgodzi się pan ze mną? Siadał czasem na ławce, zamykał oczy - i spod powiek łzy. Dziadku, pytam, nad czym płaczesz? A on: Jest nad czym płakać, jest. Tylko tyle mówił, nic więcej. Powtarzał swoje: Jest czego płakać, jest.

- To skąd pani wie?

- Bo panowie tutaj, jak sobie popijają, to stają się gadatliwi. I lubią się pochwalić.

Mike zwilżył wargi w alkoholu. Malina zawołała:

- Oszukuje pan!

- Piłem na plebanii. Moje możliwości, pani Malino, są ograniczone.

Pochwalić czym? - wrócił raptownie do tematu.

- Swoimi wyczynami. Jacy to z nich bohaterowie!

- Coś z partyzantką? - dopytywał się Mike, raczej zaczepnie, bo dobrze wiedział, że nie o partyzantkę idzie.

- Jaką znowu partyzantką. Jak Żydów zabijali. Padały imiona - Szmul taki, Maks taki, rzadko jakiś Jojne, był, pamiętam, Szlomke krawiec. Ty, stary, jak go trzasnąłem... jak go rąbnąłem - stary, ale wrzeszczał! Aż mózg prysnął. I jeszcze co który nagrał. To ich młodość, panie sędzio. Szkoda - mówi taki jeden do mnie - że ciebie przy mnie nie było, obsypałbym futrami, pierścionki z brylantem - ech, kobito, gdzieś ty wtedy była?

- I oni tu do pani przychodzą? Waldek Butrym?

- On rzadziej, przecież to starzec, ale jeszcze niedawno czasem przychodził.

- I pani z nim?...

- Panie sędzio, to mój zawód.

Mike zamilkł. Ona też się nie odzywała. Wysączyła whisky do końca i podsunęła Mike'owi szklankę.

- Można jeszcze? Odrobinę.

- Pije pani? Dużo?

- Nie z każdym.

- A z Butrymem?

Powiedziała, jakby zastanawiając się nad czymś:

- Podobno lekarze przeprowadzający sekcje zwłok dla policji popadają w alkoholizm. - Nadpiła trochę. - Mnie to nie grozi. Pyta pan o Butryma. Wołałam nie mieć z nim do czynienia. Ale musiałam, trudno - tylko kazałam mu płacić podwójnie. Mówię mu: Mordowałeś, stary, rabowałeś, ręce masz we krwi - płac za dwóch.

- A on płacił?
- Płacił. Jeszcze się chwalił: stać mnie, może nie?!
- A inni się nie chwalą?
- Jacy inni?
- Ci, co ratowali. Albo choćby współczuli. Nie chwalą się: pani

Malino, ja to trzech Żydów uratowałem, niech skonam.

- Ma pan sędzia wyobraźnię.
- Nie było takich?
- Pewnie byli, co można wiedzieć. Ale tacy do mnie nie przychodzą.

A jak już, to zawsze milczą. Najwyżej sobie samotnie popłaczą.

- Boją się morderców?
- Komentarz należy do pana - powiedziała zimno.

Unik jest potwierdzeniem, pomyślał sędzia, i wrócił do przerwane go wątku:

- A co babcia na ten płacz dziadka?
- Złościło ją to, chociaż powtarzała: ma dobre serce twój dziadek, oj,

jakie dobre, za dobre, pan Jezus mu to wynagrodzi. Ona bezgrzeszna, zawsze krzywdzona. Babciu - mówię - przecież ta szafa jest pożydowska, i ten świecznik, i maszyna do szycia. Przecież to grzech. Babcia warczała: jaki grzech, córusiu, wrogom Pana Jezusa zabrać to nie grzech. Co tam ja? Walczakowa (czy jakaś inna), ta dopiero tego dobra nabrała! I dalej mi opowiadać, jacy ci Żydzi grzeszni byli, sami na siebie swój los ściągnęli, bo powiedziano: krew jego na ich dzieci i na dzieci ich dzieci, a my katolicki naród, po bożemu żyjemy, nic na sumieniu nie mamy, zapytaj księdza, jak mnie nie wierzysz. I dalej w tym duchu. Że mnie w cnotcie wychowują i pan Jezus na to wejrzy, wynagrodzi rodzinę, że taką cnotliwą panienkę, to znaczy mnie, do świata szykują. - Znowu to iskrzenie w oczach kobiety, a wokół nich roztańczone zmarszczeczki. - No to postanowiłam się zabawić, przyprzeć babcię do ściany. Babciu - mówię - a miałam wszystkiego szesnaście lat - babciu, posłuchaj, muszę ci coś wyznać, ja mam kochanka. Najpierw udała, że nie słyszy, no to powtórzyłam: kochanka mam, babciu, starszego pana, nie powiem ci kto. Kochanka - mruczała - co cię napadło, pożar w majtkach? No, bywa - leć do księdza i błagaj o rozgrzeszenie. Kiedy ja jestem w ciąży - mówię. W ciąży?! - wrzeszczy. I trzask mnie w policzek. Nie bij, mówię, to nic nie zmieni. Nachyliła się i do ucha: musisz usunąć. Babciu, przecież to grzech! Nie ucz mnie, co grzech, co nie grzech. Panna z bękartem w szlacheckiej rodzinie! Szeptwała pośpiesznie: leć do starej Tytusowej, ona ci usunie. Podeszła do szafy i wyjęła spomiędzy prześcieradeł dwie stówy, to znaczy, były to chyba jakieś miliony. Cicho sza - szepnęła. Ja biorę te ówczesne miliony i mówię: babciu, tralala, nie ma żadnej ciąży. To coś ty?! - wzburzyła się. A bo ja chciałam, żeby babcia przestała pieprzyć o grzesznych i bezgrzesznych. Oddaj forszę! - wrzeszczy. Mowy nie ma - ja na to - ta lekcja

jest warta tych papierków. Przepędziła mnie z domu.

- I co?
- Miałam te papierki. Zamieszkałam u przyjaciółki.
- I co?
- Proszę mnie więcej nie rozpytywać, nie powiem. Whisky. *Thanks.*

A pan sędzia jakie sprawy miał?

Mike przytoczył kilka spraw. Malina prychnęła lekceważąco.

- Drobiazg.

Mike bronił się:

- Drobne sprawy są najtrudniejsze. Jak w rozwodzie: obie strony przedstawiają racje, które mogą się wydać niepodważalne. Zderzenie dwóch obsesji.

- Jak w jednej sztuce Pirandella - powiedziała, potakując.
- Zna pani Pirandella?
- Jak sobie popiję, to znam wszystko. - Dodała: - Z recenzji. -

Spytała: - Nie podobam się panu, Mike?

- Podobasz się.

- To się cieszę. - Zerknęła na zegarek. - Godzina upłynęła. - Położyła mu ciepłą dłoń na udzie, leciutko grając palcami. - Jeszcze kwadrans. Gratis.

- Dziękuję, to wielkoduszne.

Wciąż te rozigrane ciepłe palce na udzie. I zwycięski okrzyk:

- Przecież chcesz!
- I co z tego? Nie sztuka być cnotliwym, kiedy się nie ma ochoty.
- Ćwiczy pan charakter? - Przeszła znowu na pan.
- Mam wyćwiczony.
- Zdaje się, że ufa pan sobie.
- Zdążyłem się do siebie przyzwyczaić.
- To za to jeszcze jeden kwadrans gratis.
- Nieźle mi się tu powodzi.

Pochwaliła: „To było urocze”, i właśnie w tym momencie zagrała komórka.

- Haj, Betsy - zaczął rozmowę sędzia. - Dzięki, że się odezwałaś.
- Jak ci się wiedzie, kochanie? - spytała żona. Chyba nigdy nie mówiła aż tak śpiewnie.

Malina odezwała się:

- *Attention. I speak English.*

Mike podziękował skinieniem głowy.

- Są kłopoty? - spytała żona.
- A jak sobie wyobrażasz? Jestem na nie przygotowany.
- Nic cię nie zaskakuje?
- Tego nie powiem.
- Och, Mike, mam straszny problem. Bronię chłopca, który jest

oskarżony o rozprowadzanie heroiny.

- Nic nowego. Ktoś go przyduśił szantażem?
- Tak, diler. Wystarczyłoby zmusić dilerka do złożenia zeznań. Pod przysięgą.

- Zrób to.
- Pójdzie na rok za kratki.
- W czym rzecz?
- Matka mojego klienta protestuje. Diler to brat oskarżonego.
- O, do diabła. Ale trudno: sprawiedliwość - matka musi się z tym pogodzić.

- Kiedy oni umrą z głodu. Tam jest duża czarna rodzina i ten diler ją utrzymuje. Wszystko na jego głowie. Oskarżony woli sam posiedzieć.

- Wiesz co, Betsy? Cieszę się, że nie muszę tego rozstrzygać.
- Ale ja muszę bronić.
- Musisz. Bronić i przegrać.
- Nie lubię przegrywać... Mike, a ogóle to jak ci tam? Jakie

wrażenia?

- Różnie. Chwilami ciężko. Morze podłości jest niezmierzone.
- Nie mów mi o podłości! - zakrzyknęła żona. - Nie chcę o tym słyszeć. Mów o dobru.

- Żona - poinformował Malinę Mike.

Betsy zaniepokoiła się.

- Ktoś tam jest?
- Gospodyni.

Malina uklękła przed sędzią i zaczęła go rozpinać.

- Ładna? - spytała Betsy.
- Nie wiem, co odpowiedzieć. Pani mówi po angielsku.

Już go wydobyła, igra na nim ciepłymi, delikatnymi palcami.

- To powiedz, że ładna - usłyszał.
- Ładna. - Po chwili, spoglądając w dół na rozbawioną Malinę: -

Kiedy ona jest naprawdę ładna.

- Mike, biorę samolot i skopię jej tyłek. Mokre, ssące wargi, śliski ruchliwy język.

- Powiedziano - mówi Mike, starając się o równy oddech - powiedziano: zemstę pozostaw Bogu.

- To nie dotyczy zazdrosnej kobiety.
- *Oh, my God* - westchnął Mike i spojrział w dół: przymknięte oczy, twarz napięta. Diablica.

- Mike?
- O co chodzi?
- Źle się czujesz?
- Tak, trochę. - Wczepia się palcami we włosy kobiety, szarpie je,

cichy skowyt: nie szarp tak.

- Trochę. - Jeszcze raz spazmatyczne: - Trochę...
- Spokojniej: - Trochę...

Diablica podnosi powieki, zieleń oczu zwycięsko roziskrzona. Mike słyszy:

- Dbaj o siebie, kochanie. *Honey. Darling. I miss you.*
- Dbam - odpowiada Mike.
- Skończyć tę rozmowę?
- Chyba tak. Nie, czekaj. Pozdrów pastora. I dzieciaki. Tak, już.

Wyłączył telefon. Malina, wciąż klęcząc, doprowadzała go do porządku. Kiedy wstała, spojrzała na niego z uśmiechem. Miał ochotę ją skłąć, ale uśmiech był zniewalający. Cmoknęła go w policzek.

- Pięknie się uśmiechasz - powiedział.
- No, nareszcie.
- Niewinnie, słodko.
- Bo ja jestem niewinna.
- I słodka?
- Z tym już gorzej. Jestem gorzko-kwaśna i zła.
- Aha. To takie oszustwo?
- Normalne - jak to u kobiet.
- Dlaczegoś to zrobiła?
- A źle było?
- Umawialiśmy się inaczej. Dlaczegoś to zrobiłaś?
- Bo zapłaciłeś. Nie lubię brać pieniędzy za darmo.
- Kobiety właśnie to lubią. Niczym się nie odpłacać.
- Doświadczenie sędziowskie?
- Można tak powiedzieć.
- Ja nie. Ja pracuję uczciwie.
- Łobuz z ciebie - powiedział.
- Łobuz - potwierdziła z uśmiechem.
- I drań.
- I drań. A poza tym... podobasz mi się. Mnie się też coś należy.
- Nie wierzę ci - powiedział Mike. - Widuję siebie w lustrze.
- Bez znaczenia. - Zaśmiała się. - Jesteś w porządku. Sprawdzone.

Wiem, że ci to dobrze zrobiło. Przyznaj się. Czujesz się lepiej?

- No, lepiej.
- A widzisz!
- „Wiem, co to być ptakiem...”
- I chętnie byś sobie pogadał, gapiąc się w sufit. O byle czym!
- O byle czym - potwierdził.
- Nie jesteś pustelnikiem, panie sędzio, nie nadajesz się. Mike?
- Tak?

- Dorzucisz coś?

- Dwie stowy.

Chuchnęła na nie i schowała - tym razem nie do torebki, ale ostentacyjnie, z uśmiechem, za stanik. Rozgrywa, pomyślał, i wtedy usłyszał:

- Mike, *honey*, czuję się zaszczycona. Ta twoja żona... Możesz coś powiedzieć?

- Czarnoskóra. Córka pastora. I sama sektantka. Boleje nad moim sceptycyzmem. Ona wierzy w zbawienie poprzez dobre uczynki.

- Och, czuję, że jestem gotowa zapisać się do jej sekty. Dobre uczynki to ja. Masz jeszcze wyrzuty sumienia?

- Nie, przeszło mi. Ale nie chciałem tego. I myślę, że po części dlatego, że Murzynka. Jakby krzywda kobiety stawała się przez to wyrazistsza. Biały mąż zdradza czarną żonę. Przychodzi mi na myśl - teraz, kiedy z tobą rozmawiam - że związałem się z nią - oczywiście zafascynowany jej kobiecością, osobowością, wstaw tu, co sobie życzysz - ale nie, nie była to fascynacja taka czysta, powiedziałbym: goła (Malina roześmiała się), nie, było w tym coś jeszcze: ja się chyba chciałem poprzez nią bardziej zamerykanizować. Wyjść z europejskiej przeszłości - nie osiągnąłbym tego, gdybym się związał z jakąś Irlandką, powiedzmy - bo to właśnie Betsy, ze swoim murzyńskim spirytualizmem była naprawdę miejscowa, o lata świetlne od mojego Cheremca.

Myślał głośno:

- Czasem mi się wydaje, że ona wciąż ma w pamięci ich niewolnictwo. I że oni wszyscy to mają. Niektórzy nie przestają o tym myśleć, zwłaszcza ci, co osiągnęli sukces. Szczególny rodzaj satysfakcji. Jest w tym duma i złość, coś stale obecnego. I wstyd za przestępczą hołotę. Jakby to, że jest hołota, zwracało się przeciw wszystkim. Zresztą, może się mylę. Może wcale tak nie jest.

- Hołotę znajdziesz wszędzie.

Kiwnął głową. Ona powiedziała jeszcze:

- Nie mam zamiaru za nikogo się wstydzić. Ani za siebie - dodała, jakby w odpowiedzi na słowa, których się spodziewała. - Co ty na to?

- Wszystko jest okej.

- No to dogadaliśmy się. Mike, położysz się teraz i postarasz się zasnąć. A jutro uważaj na siebie, ten stary Butrym może na ciebie polować.

- Nie boję się go. Teraz naprawdę się nie boję.

Odprowadził ją do drzwi. Spytała:

- Pocałujesz mnie w policzek?

- W oba.

Objęła go i owiała gorącym oddechem ucho:

- Mike, przyznaj, że nie ma jak Polki.



- Oho, patriotka.
- No pewnie. Patriotka. Jeszcze jaka!

Śmiała się głośno, słyszał jej śmiech, kiedy była już za drzwiami - i nie wiadomo, czy nie śmieszyła ją ona sama. Nagle zawróciła.

- Zapomniałaś czegoś?
- Tak, drobiazg. Chciałam ci tylko powiedzieć, że nie jestem żadna Malina, to pseudonim zawodowy. Dla ciebie jestem Małgosia.
- Margerita. Jak Dama Kameliowa.
- Ale ja nie mam gruźlicy i nie jestem niczyją utrzymanką. Sama potrafię na siebie zapracować. *Bye-bye, darling.*

To powiedziawszy, cmoknęła Mike'a w policzek i ponownie zamknęła drzwi.

## 5

Ten człowiek zapukał zaraz po tym, jak Mike wrócił do pokoju po śniadaniu.

- Pan sędzia Murphy? - spytał.

Wymawiał raczej prawidłowo. Głos głęboki, wibrujący, z chrypką. Wzrost średni (znaków szczególnych brak). Rozpięta wiatrówka, spod której widać popielaty T-shirt. Bez nadruków. Mike odnotował to jako szczegół wart zapamiętania. Pociągła twarz, z pomarszczeniami obok ust, gładko wygolona. Gęste, siwiejące włosy opadają na czoło. Okulary trzymał przybysz w rękę, przecierał je papierową chusteczką, chyba odruchowo. Zniszczy soczewki. Mike gestem zaprosił go do środka.

- Skoro już pan tu zaszedł... Proszę. Zauważyłem, że pan się mną interesuje. Chciałbym wiedzieć, czemu to wyróżnienie zawdzięczam.

- Sprawdzam, czy nic panu nie grozi.

Aha, więc on na mnie nie poluje, na odwrót, pilnuje mnie.

- Myśli pan, że mogłoby mi coś grozić?
- Kto wie. Ja tak na wszelki wypadek.
- Pan jest - przepraszam, że pytam - ze służb?

Mężczyzna nawet się nie uśmiechnął.

- Nie, ja prywatnie. I zapewniam, że ze strony mojego starego nic panu nie grozi. Uprzedziłem go, że jeśli włos z głowy panu spadnie...

- Dziękuję. Ten pański stary?...
- Butrym. Waldemar Butrym. Może pan pamięta...
- Czy pamiętam... Ma chyba ze sto lat!
- Dochodzi do dziewięćdziesiątki. Chudziutki starowina. Chodzi

o lasce. Ale ma dubeltówkę, uprzedzam. Myśliwy, rozumie pan. I warczy, że wie, po co pan tu przyjechał.

- Po co?
- Dobrać się jemu do skóry.
- A pan jak myśli?

- Że idzie o uroczystości.
- Skóra pańskiego ojca przestała mnie interesować.
- Tak sobie myślałem.

Mike przypatrywał się przybyszowi.

- Syn Waldka, no proszę. Niepodobny.
- Mam nadzieję.

Teraz dopiero się uśmiechnął. Uścisnęli sobie dłonie. Mike wskazał krzesło.

- Nie wiem, czy zasłużyłem - powiedział syn Waldka. - Pańska dłoń... Kilkadziesiąt lat o tym marzyłem. Że pan przyjedzie i pozwoli mi uścisnąć swoją dłoń. Mam na imię Bolesław, ojciec dał mi takie ideologiczne imię, narodowopatriotyczne.

- Bolcio! - wykrzyknął sędzia. - Pamiętam. Pызaty byłeś! Różowiutki.
- To mi na szczęście przeszło. Ale nie lubię tego Bolcia, bo to się łączy pan wie z kim. Bol, można? Bol... to wystarczy. Więc pan pamięta...
- Te moje wspomnienia... Rozumie pan, że gdy idzie o pańskich bliskich...

- Nie musi się pan silić na delikatność - powiedział Butrym syn. - Widziałem dużo. Widziałem, jak ich zapędzano do stodoły. Widziałem, jak wepchnęli tam panią Ehrlichową. Miałem osiem lat. Stałem niedaleko i wszystko widziałem.

- Dziecko... - szepnął Mike.
- Widziałem, jak mój tata pobiegł za wami, kiedy uciekaliście w żyto, ty i ten twój przyjaciel, Zelik. Zyga... - poprawił się Bol.
- Widziałeś to...
- A wie pan, kto ojcu pokazał, dokąd pędzicie? Chce pan wiedzieć? Chce pan?!

Mike wykrztusił:

- Nie muszę.
- Ja. Ja pokazałem. Ja krzyknąłem: Tata, tam! Tam, popatrz! I wskazałem palcem. - Butrym młodszy wysunął wskazujący palec prawej dłoni. - Widzi pan? To ten palec. - Pokręcił z zadziwieniem głową. - Nie odpadł mi. Widzi pan? Wciąż go mam.

- Dziecko... - powiedział raz jeszcze Mike. Przez chwilę siedział z opuszczoną głową. Cicho:

- I pewnie byłeś bardzo z siebie dumny...
- Zaraz, niech sobie przypomnę. Tak, no pewnie, w coś pan utrafił, dumny, pyszny, brałem udział w takiej hecy, że nie daj Bóg. Wieczorem pochwaliłem się mamie. To ja krzyknąłem: tato, tam! - a tata pobiegł i strzelił. Mama nic nie powiedziała. Tylko wciąż wzdychała: Boże, Boże... Wieczorem, kiedy miałem iść spać, szepnęła: Módl się do Najświętszej Pani, może ci przebaczy. Potem słyszałem, jak ojciec, pewnie podniecony

swoimi wyczynami, próbował się do niej dobrać. Wrzasnęła: Nie dotykaj mnie! Cuchniesz! On: No to się umyję. Ona: Wiecznie będziesz cuchnąć! Zwariowała - mrucał i dał spokój. Nazajutrz wyniosła się z Balbinką do swojego ojca. Ja zostałem przy swoim, tak to uzgodnili. Ale już wiedziałem, że kiedyś mu ucieknę. Już wiedziałem swoje. Dzięki mamie.

Nie miałem takiej sprawy tam, u siebie - pomyślał sędzia i zaskoczyło go to „u siebie”. - Więc tu jestem tylko w gościnie... Jak pani Malina.

- Dziedziczę tego chłopca - mówi Butrym syn
- ale przecież nim nie jestem. Ktoś daleki, ktoś, kto mnie dziwi.

Odpowiadam za niego, wiem - buntuję się przeciw temu, ale trudno, to byłem ja, w jakiejś innej mojej rzeczywistości. Nikt go nie zna, tego głupiego chłopca tak jak ja i nikomu nie jest tak obcy. Czy pan to rozumie?

- Tak mi się wydaje - odpowiedział sędzia.

- Nie było to łatwe - mówił Bol Butrym - powiedzieć sobie: nie masz taty. - Sprawdził przejrzystość okularów i założył je. Jakoś go to zmienia, pomyślał sędzia, dziwna rzecz, odmładza go, a może przez to, co mówi, przez zbliżenie do dzieciństwa. - Tata. Co za słowo. Chadzaliśmy do lasu, a jak się zmęczyłem, to brał mnie na barana. Zbieraliśmy jagody. Wiedział, jaki grzyb dobry, ja to do dzisiaj wiem. Czytałem, że dzieci Himmlera też ojca kochały. Ja mu nie wybaczyłem, bo i sobie nie umiałem wybaczyć. Powiedziałem sobie wreszcie: twój ojciec jest degenerat, i ich ojciec był degenerat, jego bracia to degeneraci, jednego z nich oni sami zamordowali. Widzę, że pan kręci głową. Nie chce się pan pogodzić z tym, że mordują degeneraci.

- Bo znam też innych - powiedział sędzia.

- Ja nie. Tylko takich. Degeneraci, półidioci. Z zaciętą na mózgu. To przechodzi z ojca na syna, od dziadka...

- A ty? Też z nich, a inny.

Bol, porywcz:

- Dzięki mamie. Jej dobroczynne geny. I mam nadzieję, że przekazałem je dalej, że przeszły na moich synów. Ale niech pan nie myśli, że to się dzieje samo, bez wysiłku... Te złe geny trzeba w sobie zdusić i je wyrzucić. Mogłem być taki jak oni - gdyby ktoś mnie pchnął w tamtym kierunku. Gdybym się poddał. Wystarczyło pogodzić się z tym, że taki jest świat i że ja też potrafię się w nim znaleźć. Na szczęście, nie potrafiłem. Zabrakło koniecznej energii. Samo obrzydzenie by nie wystarczyło. Byłbym bestią - jak oni.

- Znam innych Butrymów - wtrącił Mike. - Także w Brooklynie. Są w porządku.

Bol jakby nie dosłyszał.

- Ciarki przechodzą, kiedy o tym pomyślę. Bo dziecko wie o sobie, że czasem kłamie, kłamać na przykład trzeba, żeby mama się o czymś nie dowiedziała; albo pan nauczyciel; ale dorośli to co innego, dorośli, myśli

dziecko, oni mówią prawdę. Dziecko im wierzy: Dorośli tłumaczą świat. Dlatego tak łatwo dziecko urobić, wmówić w nie te wszystkie idiotyzmy, wcisnąć mu ciemnotę, nienawiść, bzdury o piekle i raju, z aniołkami, z hurysami, pan wie. Prawdę trzeba odkryć samemu. To trudne, rzadko kto potrafi. Niektórzy są nieuleczalni: do końca życia ugrzęźli w tym, co wmówili im dorośli.

- Tak wygodniej - zauważył Mike.

- Na to wygląda - zgodził się Bol. - Bo żeby obalić kłamstwo w sobie, żeby zniszczyć stereotyp, który się przyswoiło, do którego się przyzwyczało, trzeba mieć nie byle jaką odwagę. Trzeba w sobie samym wywołać rewolucję. O Boże, zabieram panu czas... Ale tu nie bardzo mam z kim pogadać.

- Zdążę ze wszystkim - pocieszył gościa Mike.

- Chciałbym wstąpić do domu Ehrlichów, spotkać się z panem doktorem Wiernikiem, obiecałem mu.

- Rozgrzesza mnie to - powiedział Butrym młodszy, kiedy wyszli na rynek - że, mój Boże, tyle lat na pana czekałem. Mogę pana odprowadzić?

Naturalnie, będzie miło. Na pewno Bol ma jeszcze sporo do powiedzenia. Jestem Mike, Michaś, jeśli wolisz... Ranek, a już upalnie. Powietrze suche.

- Nie ugotujesz się w tej wiatrówce? - spytał Mike. W odpowiedzi tylko lekceważący uśmiech.

- Uciekłeś do dziadków?

- Do zawodówki w Białymstoku. Był internat, stołówka.

I biblioteka. Czytałem, chociaż koledzy się ze mnie podśmiewali. Nazywali mnie: „Ty, świętoszek”, bo czytałem Pismo Święte, Stary Testament też. Tam wszystko można było znaleźć. Cheremiec i Kainową zbrodnię, no, dużo. Ale czytałem też i inne książki. Bo mieliśmy zapalonego polonistę. Mówił: korzystajcie teraz, póki możecie, bo potem nic was to już nie będzie obchodzić i zostaniecie ciemniakami. Ale nie korzystali. Tylko ja. Potem wyspecjalizowałem się w ogrodnictwie. Ale nie o tym chciałem mówić.

O mamie. Bo ona tam, u dziadków, przechowywała małą Żydóweczkę. Trzy latka, chyba coś tak... Jej matka wepchnęła ją dziadkom: państwo

Dobrzyńscy, na litość boską, ratujcie mi dziecko. Dziadkowie wzięli ją do siebie, na strych, tam stała szafa... Nie, nie będę opowiadał, tysiące jest takich opowieści, tysiące szaf, pewnie już się pan tego nasłuchał. Rutka. Niedobry wygląd miała, duże, smoliste oczy, gęste, czarne włosy. Trzeba było uważać, żeby Balbinka się nie wygadała, z głupoty, nie ze złości, bo one się ze sobą zaprzyjaźniły. Ale i przed moim ojcem trzeba było się strzec. Bo czasem ich nachodził. Kiedy ty, głupia, wrócisz do domu? Musiałabym dopiero zgłupieć - odpowiadała. A czy ty nie wiesz, że żony miejsce jest przy mężu, powiada Pismo Święte? Nie jestem twoją żoną! Wyklócał się, próbował się do niej dobierać, a wtedy ona: zabieraj te swoje krwawe łapska! A on jak wtedy:

wariatka, wariatka. A ona: Bóg mi moje wariactwo wybaczy. A on: czy wy przypadkiem jakichś Żydów nie chowacie?! Coś mi się widzi... Przysłać Niemca z psem? A przysyłaj sobie choć i samego diabła! Wojna się skończyła, Rutka wyszła z ukrycia, nie od razu, zdarzały się jeszcze samosady, skrytobójcze (pamiętam - wtrącił Mike), matka zaprowadziła dziewczynkę do księdza, ochrzcili ją (pamiętam - znowu wtrącił sędzia - przynosiła do nas biały ser od twoich dziadków), kozi - sprostował Bol - trzymali kozę, a z niej strasznie pobożna katoliczka się zrobiła, tupała nogami, kiedy mówiono do niej Rutka, Luśka jestem - krzyczała - Luśka, Lucyna. Minęło jeszcze sporo lat, ja po nieudanym pierwszym małżeństwie, krótkim, bez potomstwa, na szczęście, moja była wyniosła się do stolicy, zdaje się, że zeszła na złą drogę, nie wiem, przestała się odzywać, Bóg z nią, a ja się pokłoniłem dziadkom, ożeniłem się z Rutką, to znaczy z Luśką. Znalazła się, rzec można, pod moją opieką. I tak to trwa.

Bol na chwilę zamilkł. Mike spytał:

- Szczęśliwie?

- Dwóch synów. Starszy, Adam, wysoki chuderlak, informatyk. Może go poznasz, bo on się szykuje do uroczystości. Ten drugi, Hubert, też. Czy szczęśliwie? Michał, ona jest taka głupia, że wytrzymać trudno. Każde jej odezwanie złości. Łóżko nie ratuje. Głupia kobieta to i w łóżku głupia. Nienawidzi swoich żydowskich korzeni. No, to można zrozumieć. Obsesja. Prawie antysemitka. Kiedy ja coś na ten temat mówię, wybucha: Nie mam z tym nic wspólnego! Nie chcę o tym słyszeć! O mnie, że jestem trzaśnięty. Ona normalna, a ja trzaśnięty. Wolę tę swoją trzaśniętość. Czasem myślę o rozwodzie. Była tu taka jedna urzędniczka w magistracie, miła, dobrze ułożona. No, coś między nami zaszło. Ale ona chciała, żebym odszedł od Rutki. - Załamał ręce. - Nie mogę. Nie wiem, czy to rozumiesz: nie mogę. Bo wtedy synowie będą z matką Żydówką. I ona - co z tego, że chrzczona - samotna Żydówka. Cała rodzina wymordowana. Podjąłem się przecież opieki. Tak to widzę. Nie mogę - powtórzył i podał Mike'owi dłoń. - Zabrałem ci czas, wybacz.

Doktor Wiernik chyba bardzo się z przybycia Mike'a ucieszył, bo wyciągnął obie ręce na powitanie.

- Jakże miło! Proszę, panie sędzio, proszę, niech się pan tu czuje jak u siebie. - Z uśmiechem: - Do czego ma pan prawo. - Postawił na stole butelkę wody mineralnej i szklanki. - Napije się pan? Dodać cytryny?

Mike ze szklanką w ręku rozglądał się po pokoju.

- Coś pan rozpoznaje? - dopytywał się doktor.

- Szafę z książkami. *Szyniel* - przeczytał po rosyjsku. - My wszyscy z *Płaszcz*a, zdaje się, że to powiedział Dostojewski.

- A my z czego jesteśmy? - zastanawiał się pan Wiernik. - Do czego możemy się odwołać? Do Elvise? Do Beatlesów?

- Nie czuję się upośledzony - sprzeciwił się Mike. - Mogę powiedzieć: jestem z Felliniego. *La strada* nie jest uboższa od Gogola. Mogę powiedzieć: Chaplin. - Wrócił do półki. - Grzbiety się postarzały. O, Tuwim, *Wiersze zebrane*. W Ameryce nie miałem z nimi kontaktu. Żaden pan Ehrlich mi ich nie wtykał. Pamiętam *Rzeź brzoź*. Tytuł brzmi nam metaforycznie, nie sądzi pan?

- Och, on o tym wtedy nie myślał, raczej o barwie słów, o brzmieniu. W pewnym wieku - mówił doktor Wiernik - każdy zapamiętany wiersz wydaje się zawierać jakieś przesłanie.

- Zajmuje się pan poezją? - spytał Mike.

- Z urzędu - odpowiedział doktor Wiernik. - Tam, u siebie, jestem w magistracie kierownikiem wydziału kultury.

- Ja straciłem kontakt z poezją. Ta ichnia, amerykańska, w ogóle mnie nie dotyczy. Zresztą, nie czuję potrzeby. Może to jakieś kalectwo.

- Ma pan swoje własne zderzenia z ludźmi. To chyba podniecające. Pozwolę sobie na złotą myśl: poezja często ukrywa się w prozie; w prozie pańskiego życia.

- Coś w tym jest, dobrze się pan domyśla. Czasem muszę tłumić wzruszenie. Żeby uciec od tego, wystarczy trochę muzyki. - Mike opowiadał z uśmiechem. - Poddaję się dyktatowi żony, słucham *negro spirituals*, doceniam, ale wolę, tak dla siebie, sentymentalne arie europejskie. Puccini. Bizet. - Wciąż trzymał tom *Wierszy zebranych* Tuwima. - Chyba mi mój kolega kiedyś go wypożyczył. A ja zwróciłem.

- Zwraca pan książki? To rzadki przymiot. - Doktor uśmiechnął się. Mike przekartkował książkę.

- Tu są jego podkreślenia - powiedział. - Prawie niewidoczne, ołówek się starł. Na pierwszej stronie podpis.

- Naprawdę?

- „Zygmunt Ehrlich”. Zamaszysty - zauważył sędzia. - Jak drajw z forhendu.

- Niech pan weźmie ode mnie ten tom. Sprawi mi pan przyjemność.

- Dziękuję. Mam nadzieję, że sprostam tej pamiętce. Zadowolony pan ze swojego urzędniczenia?

- Zdecydowanie. Coś można zrobić. Ale nie wiem, czy pod moją nieobecność mnie nie wywalili. To się zdarza, jak człowiek bierze urlop.

- Pod nieobecność? - zdziwił się sędzia z Brooklynu.

- Zdarza się - powtórzył doktor.

- Stół ustawialiśmy na strychu - wspominał Mike.

- Tam teraz wygląda inaczej. Pan Snopek zapełnił go jakimiś gratami.

- Podziwiam dziś pana Ehrlicha, że pozwalał nam tak stukać.

Ping-pong bywa głośny. Czasem nas to krępowało.

- Musiał pan Ehrlich mieć tolerancyjne usposobienie.

- O tak, niewątpliwie. Potem, kiedy go Sowieci wywieźli, nie musieliśmy się już krępować. Ale nie było nam od tego lżej. To biurko, z szufladkami, to na pewno jego.

- Simmler, po renowacji - wyjaśnił doktor Wiernik.

- Zna się pan na meblach?

- Z urzędu.

Jeszcze raz to samo wytłumaczenie.

- Ja nic a nic - powiedział Mike. - Moja żona nie zwraca uwagi na sprzęty. Szkoda, przecież to piękne! - Pogłaskał biurko. - Pamiętam, że zachwyciałem się mieszkaniem Ehrlichów. - Zerknął na sufit. - Był piękny żyrandol. Nie ten, na pewno - westchnął. - Dziwnie się czuję. Jakby duch pana Ehrlicha siedział w tym fotelu w kącie i uśmiechał się do mnie. Czasem on nam kibicował. A teraz nastawia ucha.

- Dobrze pana rozumiem - powiedział doktor Wiernik. - Nie bez powodu. Kiedyś, w Jeleniej Górze, gdzie mieszkaliśmy początkowo z Wisienką, moją żoną nieboszczką - to był duży ponemiecki apartament, po wojnie dostał się mojej mamie, a po niej mnie - odwiedziło nas dwoje Niemców. Chyba już w wieku emerytalnym. Rodzeństwo. Czy można? *Bitte*. Bo my w tym mieszkaniu spędziliśmy dzieciństwo. I chcielibyśmy się rozejrzeć. Rozmowa po angielsku, całkiem poprawna, może studiowali w Stanach. Ależ proszę, mówię, rozumiem państwa dobrze, mamy sąsiadów, którzy zostawili swoje mieszkania we Lwowie, proszę bardzo. On do niej: popatrz, ta szafa, mama składała w niej bieliznę, miała półki - można otworzyć? - ma półki - i stół ten sam, ale krzesła już nie, na pewno inne. Ale poza tym - mówią oni - dużo państwo zachowaliście. Są obrazy. Bo my śpieszyliśmy się - mówią - na obrazy trzeba było mieć zezwolenie, świadectwo własności i ocenę, że nie stanowią zabytku, rodzice machnęli ręką. Ach, to pięknie, że pański ojciec ich nie sprzedał, to dla nas kwestia sentymentu, pan to rozumie. Pański ojciec... Nie ojciec - przerwałem - matka! Matka to wszystko zachowała, ja ojca nie znałem, jestem pogrobowcem - mówiłem i mam nadzieję, że moja angielszczyzna do nich dotarła - ojciec został rozstrzelany, bez sądu. Spojrzeli po sobie: *Terrible. Schrecklich*. W sypialni wisiał portret pięknej damy, w owalnej ramie, pociemniały, z drugiej połowy dziewiętnastego wieku, coś w guście von Lenbacha, oni: to nasza prababka, von Gottschalk, Hildegarda czy coś podobnego. Jeśli państwo sobie życzą - mówię - możecie go sobie zabrać. Oni znowu spoglądają po sobie i zgodnie mówią: *Nein, nein*. Niech ten portret tu wisi, tu jest jego miejsce. Tylko... Tylko co? On mówi zakłopotany: obraz wisiał nieco dalej, bardziej na lewo, pół metra mniej więcej, tak że o świecie padało nań światło z okna. Będzie pan mógł przesunąć? (To już powiedział po niemiecku). *Ja, natürlich*, zrobię to. Oni czasem tu wpadną, może z dziećmi, żeby pokazać im swoje korzenie - miałby pan coś przeciwko temu? Kiedy państwo tylko zechcą, zaprosiłem ich,

i potem trochę ze sobą korespondowaliśmy, a potem Wisienka mnie opuściła i to się jakoś rozluźniło... Panie sędzio!

Aha, coś nowego.

- Słucham.
- Nie chciałbym panu zawracać głowy...
- Proszę się nie krępować.

- Rozmawiałem wczoraj z córką. Otóż... Ona wie o tej fałszywej metryce. Żona jej opowiedziała. Dlaczego? Dlaczego jej tak, a mnie nie? Jaka w tym jest tajemnica?

- Wykluczaliśmy romans - przypomniał Mike.

- Ale córce jednak powiedziała. Spisek kobiet przeciwko mnie. Czego nie chciała wyznać? Przed czym mnie chroniła?

Muszę mu powiedzieć, pomyślał sędzia. Lepiej, żeby dowiedział się ode mnie niż od jakiegoś Butryma.

- Panie doktorze, pańska żona, jeśli cokolwiek rozumiem, nie chroniła pana. Chroniła siebie.

- Pan sugeruje?... - zdumiał się doktor Wiernik.

- Nic nie sugeruję. Ja jestem przekonany. Sędzia, panie doktorze, musi mieć zdolności detektywa. To miasteczko, Cheremiec, z którego pochodzi pańska żona, jest obciążone straszliwą zbrodnią. Straszliwą i haniebną. Ta młoda dziewczyna, Wisienka, jak pan ją nazywa, wzdrygała się na myśl o tym, co tu się stało. Zerwała z miasteczkiem. Wszystkie więzy. Ale jak to w życiu bywa, nie do końca się udało.

- Czy chodzi o Żydów?

- Tak. Zbiorowy mord. Spłonęli w stodole.

- Państwo Ehrlichowie?

- Ona. Jego wywieźli Sowieci. Była i córka, Mirka, pamiętam ją, w stodole jej nie było.

- Przeżyła?

- Chyba nie. Nawet na pewno nie.

- A pański kolega pingpongista?

- Zastrzelony.

- Nie próbował go pan ratować?

- Próbowałem. Ale za słabo.

- Wie pan, kto go zabił?

- Wiem, zrobił to przy mnie. Ten osobnik żyje. Dochodzi do dziewięćdziesiątki, ale żyje.

- Przyjechał pan, żeby się zemścić?

- Nie. Przyjechałem, żeby uczcić zamordowanych.

- To mają być te uroczystości?

- Tak. I chciałbym, żeby ci, którzy brali udział w tym, co się stało, i ci, co przyglądali się obojętnie, i ci, którzy płakali, żeby przyszli



i wysłuchali modlitwy.

- Po co to panu? - spytał gniewnie doktor Wiernik. - To ma być akt przebaczenia?

- Kto mówi o przebaczeniu? - na to porywiście Mike. Przez chwilę przyznawał tamtemu rację. Po co mi to? Przebaczyć? Nie mam takich uprawnień. Nie chodzi o przebaczenie. - Chodzi o życie. - Myślał na głos. - Tak, o życie. O człowieczeństwo.

- Ale to miasto jest obciążone zbrodnią, sam pan tak powiedział.

- Panie doktorze, nie ma ziemi nieludzkiej, to nieprawda, każda jest ludzka.

- Czego pan tu szuka? Czego pan się spodziewa?

- Zwyczajności - odpowiedział Mike. I był zadowolony, że przyszło mu to do głowy.

- Zwyczajności - powtórzył za sędzią doktor. Siedział przy stole z opuszczoną głową. - Gdzieś już na to natrafiłem. - Nagle podniósł głowę. - Panie sędzio, czy ja jestem Żydem?

- Co też panu przychodzi do głowy?

- Bo może moja żona... Może dlatego przede mną to ukrywała?

- Mówiłem panu: chroniła siebie, to ona tych więzów nie chciała.

- Ale ja nie znam swojego ojca. Urodziła mnie mama podczas wojny.

Gustaw - co za imię! Jakbym był Szwedem. Albo Żydem. Co prawda Fredro, Mickiewicz... Mógłbym być dzieckiem Holokaustu. A moja mama - może to nie jest biologiczna matka? Podrzuciono jej niemowlę. I ona je pokochała.

- Nie ma podstaw, by tak myśleć.

- Ale ja czuję się jak Żyd. - Doktor Wiernik rozgląda się po mieszkaniu. - Jak ktoś, kto miał być zamordowany. Tutaj, w tym mieszkaniu, w którym, jak pan powiedział, siedzi w kącie felczer Ehrlich. Wie pan, moja matka była straszliwą patriotką. I tak mnie wychowała. Kościuszko, Piłsudski, *My Pierwsza Brygada*. Ale gdybym był Żydem, tutaj, w Cheremcu, nikt by mnie nie pytał, czy jestem polskim patriotą, popędziliby mnie do tej stodoły.

- Pana wtedy na świecie nie było.

- To nieważne - było czy nie było. Nieważne. Ważne, co człowiek odczuwa. Na pewno jestem Żydem. Ale dlaczego matka mi o tym nie powiedziała? Dlaczego żona to przede mną ukryła?

- Czy przeglądał pan papiery po matce?

- Tak. Bo co?

- Bo gdyby pan był dzieckiem Holokaustu, matka Polka dostawałaby pieniądze na żydowskie dziecko. Byłyby kwity z Jointu.

- Nie było żadnych kwitów.

- To niech się pan uspokoi: jest pan dzieckiem swojej matki.

Doktor Wiernik uśmiechnął się smutno:

- Prawie żałuję, że mam takie nieciekawe pochodzenie.
- Panie doktorze, ma pan zachowany numer tych panien nazaretanek?

Doktor sięgnął po elektroniczny notatnik.

- Powinien być - powiedział, szukając. - Jest. Po co to panu?
- Może mnie pan z nimi połączyć?

Doktor wystukał na klawiaturze komórki numer i przekazał telefon sędziemu. Odezwała się centralka. Dyrekcja gimnazjum.

- Chciałbym mówić z siostrą przełożoną - powiedział Mike.
- Z dyrektorką - sprostowano. - A kto chciałby mówić?
- Proszę powiedzieć, że sędzia Murphy z Nowego Jorku.

Chrobotanie i po chwili Mike usłyszał:

- Siostra Melchiora. Słucham pana.
- Czy pamięta siostra taką uczennicę Snopkową? Jadwiga Snopek.
- Kiedy to było?
- Ponad trzydzieści lat temu.
- Musiałabym zajrzeć do starych akt.

- Nie ma konieczności. Chciałem tylko zawiadomić, że pojutrze w miasteczku, w którym urodziła się wasza uczennica, w Cheremcu, odbędzie się podniosła uroczystość.

- Czy pan uważa, że nas to powinno interesować? Jakaś uroczystość?

- Ta uroczystość jest wyjątkowa. Więc może jednak. Nastąpi odsłonięcie pomnika ku czci zamordowanych sześćdziesiąt lat temu Żydów.

- Gdybyśmy miały brać udział we wszystkich tego rodzaju odsłonięciach... W całej Polsce są pomniki zbrodni niemieckich.

- Siostrze dyrektorko, nie chodzi o Niemców. Zamordowali ich sąsiedzi.

- Co pan powiedział?

- Sąsiedzi.

- I dlatego my?...

- Siostrze, odbędą się modły. Za dusze zamordowanych - i żeby Bóg wybaczył sąsiadom.

- Ale my nie mamy z tym nic wspólnego...

- Wiem. Ale to nie do końca prawda. Wszyscy coś mamy wspólnego...

- Nie przeczę.

- Będą media. Przemówi prezydent.

- I pan uważa, że my... Za dużo pan od nas wymaga. Nie mam takiego zalecenia.

- Siostrze, ja tylko informuję.

- Szczerze zobowiązana. Przepraszam bardzo, ale mam pilne zajęcia.

- Szczęść Boże w pracy - powiedział sędzia z Brooklynu.

- Szczęść Boże. Jak się nazywała ta nasza wychowanka?

- Snopek. Jadwiga Snopek.

- Sprawdzę.

Mike zwrócił doktorowi komórkę.

- No i co? - spytał doktor.

- Nie udało się.

- Tak myślałem.

- Wybieram się do szkoły. Pójdzie pan ze mną? Będzie mi rażniej.

- Jeśli pan na mnie liczy.... Ale pójdę, jest tam pewna nauczycielka, którą z przyjemnością ujrzę. Pani Maryjka. Zaopiekowała się kotem, na którego jakiś gość polował.

- To istotna wiadomość. Sędzia może wziąć to pod uwagę.

Wyszli z domu. Doktor Wiernik starannie zamykał drzwi. Mike zauważył:

- Wtedy nie było tu tylu zamków, na pewno, to pan Snopek musiał je dorobić. - Mike z trudem oddychał. - Powietrze suche. Może w szkole dadzą się napić. Dziś rozdanie matur.

- I w takim dniu pan chce ich zadreć swoimi sprawami?

- To są ich sprawy.

- Będą, jeśli uda się panu ich o tym przekonać.

- Spróbuję.

- Żeby młodzież stawiała się na uroczystości?

- I żeby przedtem uprzątnęła cmentarz. Papierki, puszkę po coli, butelki... To trzeba uprzątnąć.

- Panie sędzio...

- Mike, jeśli można.

- Mike, jeśli można - powtórzył doktor. - Po co ci to? Z poczucia winy?

- Są i inne powody.

- Na przykład?...

- Na przykład ten, że sędzia Murphy wciąż jeszcze czuje się Polakiem. Czasami. I wtedy bierze to na serio. Chciałbym, żeby twarz Polski wyglądała przyzwoicie. - Z uśmiechem: - Nawet gdyby ją trzeba było trochę uszminkować.

## 6

Wygląda tak, jak wyglądać powinna, pomyślał Mike, przypatrując się dyrektorze. Wzór dystynkcji i chłodnej uprzejmości, przynajmniej ona tak o sobie myśli. Czarna powłóczysta suknia z niebieskawym żabotem w dekolcie, biel pereł wokół szyi. Jestem elegancka. Jestem na miejscu. *Comme il faut*, chociaż tutaj nikt nie wie, co to znaczy, i mało kto docenia. Matury rozdane, gabinet pełen kwiatów, ciemnowłosa dziewczyna o uśmiechniętej buzi, sekretarka, upycha je do wazonów, na biurku, obok komputera z wysuniętą klawiaturą i nowoczesnej centrali telefonicznej,

kilka grubych albumów, zapewne z dedykacjami. Kochanej pani dyrektor wdzięczna (imię i nazwisko, czasem najpierw nazwisko, potem imię). Dla niego, sędziego z Brooklynu, jest zimne, wyniosłe „nie”. „Lady Niet”, chciało się powiedzieć Mike'owi, musiał zdusić uśmiezek.

- Myślę, że to by było bardzo ważne. - Usiłował ją przekonać: - Licealiści z Cheremca sprzątaję cmentarz żydowski. To zrobiłoby dobre wrażenie.

- Niekoniecznie - powiedziała dyrektorka.

- Udział w uroczystościach - telewizja, film - to by poszło w świat, zaprzeczyłoby tym sądom, które...

- Proszę się nie wysilać, wiem, co mam o tym myśleć. - Twardo: - Nie pozwolę angażować w to moich uczniów. Zakaz jest wyraźny.

Kobieta w czerwieni, siedząca w kącie gabinetu, poruszyła się. Pani Maryjka, domyślił się Mike, nauczycielka historii, doktor Gustaw opisał mu ją szczegółowo: te modne okulary na małym nosku, burza jasnych włosów, spiętych na czubku głowy. Jeszcze raz spróbował:

- Wydaje mi się, że popełnia pani błąd.

- Chyba nie ma pan zamiaru mnie pouczać?

- Tej młodzieży dobrze by to zrobiło.

- Pozwoli pan, ale ja chyba wiem, co by mojej młodzieży dobrze zrobiło. Jeśli pański pogląd jest inny - proszę bardzo, może pan przy nim pozostać.

Tolerancyjna. Pozwala innym różnić się w poglądach. Mike próbuje dodać pojednawczo:

- O poglądach moglibyśmy podyskutować.

- Moje poglądy są stabilne - powiedziała stanowczo dyrektorka. - Nie widzę potrzeby dyskusji.

Mike uklonił się.

- Przepraszam. Przykro mi. Do zobaczenia przy lepszej koniunkturze. Wyszedł. Pani Maryjka zerwała się z krzesła i pośpieszyła za nim.

- Panie sędzio! - próbowała go mitygować.

Nie zatrzymał się. Doktor Wiernik, który czekał na korytarzu, spytał:

- No i jak?

- Skąła - odpowiedział Mike. - Klęska totalna. Już druga dzisiaj.

Pani Maryjka próbowała tłumaczyć:

- Niech pan jej nie osądza, ona inaczej nie może.

- Boi się?

- No widzi pan, od razu pan się domyślił. Tak, boi się - że wyleci z pracy. Kurator jednoznacznie zakazał...

- Taki sukinsyn?

- On też jest zniewolony.

- Ładne słówko. Przez kogo zniewolony?

- Nieważne. Ważne, że on też ma się kogo bać.

Mike pomyślał o księdzu Ziemowicie: ten przynajmniej się buntuje. Chociaż można powiedzieć: rychło w czas. Za późno na bunt, kiedy wszystko już się stało.

- Mamo! - zawołała biegnąca korytarzem dziewczyna. Urocza była z tym zadyszaniem. Wczesne wydanie pani Maryjki, choć bez okularów; jedwabiste, luźno opadające jasne włosy kołysały się jak na reklamie „Jestem tego warta”. - Widziałaś Pawełka?

- Pawełka? Tego grubaska? Nie przypominam sobie.
- Nie odebrał świadectwa!
- Jesteś pewna?
- Sprawdzałam. Nie odebrał!
- Och, on jest taki... - Machnięcie ręką. - Pewnie zasnął.

Z gabinetu wyszła dyrektorka. Gdy przechodziła obok Mike'a, rzuciła, nie zatrzymując się:

- Panie sędzio, proszę na symboliczną lampkę wina. Wszystkich państwa zapraszam do sali gimnastycznej. - Odszedłszy parę kroków, odwróciła się i zdobyła się na uśmiech: - Będzie też skromny poczęstunek.

Do sali gimnastycznej dreptali bez pośpiechu. Kiedy szli obok otwartej świetlicy, uwagę Mike'a zwróciły dwa stoły pingpongowe. Sędzia przystanął i cała gromadka wraz z nim.

- Niespodzianka - powiedział rozradowany. - Wciąż mnie tu coś zaskakuje.

- Co jeszcze? - spytała nauczycielka.
- Na przykład komputer u pani dyrektor.
- Zwykła rzecz. Zafundował go nam fundusz PHARE. Salę gimnastyczną też.

- I stoły pingpongowe?  
- To już zasługa burmistrza.  
- Wyglądają pociągająco.  
- Chce pan spróbować? Dagmara! - zawołała pani na córkę. - Chodź tu, zagraj z panem sędzią.

Chyba się nie skompromituję. Śliczności dziewczyna, wygląda na stremowaną, zagryza wargi. Zaserwowała, Mike podkreślił piłkę, zatańczyła fałszem na jej raketce, uderzyła w siatkę.

- To sztuczka - poskarżyła się Dagmara.
- Sztuczka - przyznał Mike. Serw, odbicie, ścięcie - nie do obrony.

Znowu serw, odbicie, ścięcie. Oklaski. Mike odłożył raketkę. - Dziękuję, panienko - zwrócił się do Dagmary. - Przyszłość przed tobą.

- Nie zapomniałeś - zauważył doktor Wiernik.  
- Tego się nie zapomina. Ręka jest ułożona na zawsze. Czego brakuje, to szybkości reakcji. I tchu.

Przy winie burmistrz zwierzał się Mike'owi:

- Moja rola tu się kończy. Więcej mnie nie wybiorą. No i nie trzeba, wcale nie chcę. Dwadzieścia lat - to chyba wystarczy? Od pierwszej chwili mojego urzędowania właśnie tego chciałem: żeby Cheremiec umiał zachować się z klasą. Wieczorem zjedzie tu trochę policji z Łomży. Rozbiją w pobliżu pomnika namioty. W nocy zmieniamy napis. Ostatnie uderzenia młotków. Okryjemy pomnik biało-czerwonym płótnem. Pan prezydent odsłoni - a ja podziękuję i wyjadę. Zrobiłem swoje. Powiem panu coś, panie sędzio: antysemityzm to choroba trudna do wyleczenia. A wie pan dlaczego? Bo choremu sprawia przyjemność.

Pani Maryjka, już po trzecim kieliszku, spytała:

- Pan jest żonaty, panie sędzio?  
- Bardzo gruntownie.  
- Czyli się pan ze mną nie ożeni?  
- Wszystko przed nami. - Mike uklonił się.  
- Szkoda, wielka szkoda. Nadawałby się pan dla mnie. Taki stateczny,

spokojny.

- Pozory, droga pani.  
- Przydałby się mężczyzna w domu. Och, nie do tego, co pan myśli.  
- Do naprawy kontaktów elektrycznych?  
- Z tym sama sobie daję radę. Do pchania mojego fiacika, kiedy

wysiada akumulator. - Pani Ma-ryjka wypila i od razu sięgnęła po następny kielich. Zwróciła się do doktora: - To może pan?

- Mamo, upijesz się! - krzyknęła jedwabistowłosa córka.

- Dagmara roztacza nade mną opiekę. Nie ma chłopca w domu, to ona. Mamo, nie pij. Mamo, nie wygłupiaj się. Daga, słoneczko, może ja się chcę wygłupiać? Ostatni dzwonek na wygłupy - jutro będzie za późno.

- Mamo, boję się o Pawełka!

- Właśnie przeciera oczy i sięga po szczoteczkę do zębów. - Pani

Maryjka zwróciła się do doktora Wiernika: - Nie, pan Gustaw nie jest stateczny. Pan Guccio jest donżuan, przeniknęłam pana! - Pije. - Ale możemy poplirtować! Co pan na to?

- Boję się tego.

- Dlaczego? - zdumiewa się pani Maryjka.

Córka odbiera jej kieliszek.

- Więcej nie będziesz pić.

- Nie będę. - Wyjęła cienkiego papierosa z torebki i zwróciła się do córki: - Słoneczko, przypal mi go. - Potem, kiedy zaciągnęła się już dymem, poskarżyła się córce: - Słyszałaś, co mnie spotkało? Guccio nie chce ze mną flirtować. Może ma rację. Może... - Urwała. - Rozumiem Guccio dobrze.

- Chyba pani nie rozumie - powiedział pan Gustaw. - W ogóle to nie ta sprawa. Ja mam pewną okropną wadę.

- Jaką?

- Przywiązuję się.

Śmiech rozświetla panią Maryjkę. Okularki zachodzą mgłą.

- O, to rzeczywiście fatalnie. - Po chwili: - Zaryzykuję.

Mike też miał za sobą trzy kieliszki.

- Ludzie myślą... - Chciał powiedzieć coś szalenie mądrego, tak mu się wydawało, ale nagle uświadomił sobie, że zapomniał co. Trzeba jakoś wybrnąć. - Za pani powodzenie, pani Maryjko. Myślą... Aha, mam. Myślą, że pobierają się ze sobą, we dwoje, naprawdę zaś poślubiają teściów, szwagrów, przyjaciół, sąsiadów i nawet czworonogi. Poślubiasz wszystkie rodzinne pokraki, wszystkich głupców, którzy na niej, na twojej wybrance, nie robią wrażenia, wyrosła wśród nich - ale po co oni tobie?

- Doświadczony - powiedziała z przekąsem nauczycielka. - A pan kogo poślubił?

- Jej ojciec jest pastorem. Nie usiłuje mnie, na szczęście, nawracać. Gorzej, że ona ma liczne rodzeństwo.

- I jak dajesz sobie z tym radę? - spytał Gustaw.

- Ćwiczę charakter.

Nauczycielka poprosiła córkę:

- Dagmarko, przynieś mi wina.

- Mowy nie ma. - Dagmara podała mamie pierożka na plastikowym widelcu. - Lepiej coś zjedz. Z kapustą i grzybami. Mamo, niepokoi mnie Pawełek.

- Kto to jest Pawełek? - zainteresował się sędzia.

- Kolega z sąsiedztwa. Nie było go dzisiaj.

- Mama ma rację: zasnął.

Podeszła dyrektorka z kieliszkiem czerwonego wina. Zwróciła się do doktora Wiernika:

- Panie doktorze, może pan u nas popracuje? Potrzebny nam anglista.

- Dziękuję, czuję się wyróżniony, ale ja posadę mam.

- Tak, wiem, to coś nawet więcej niż posada, stanowisko, ale - dyrektorka szuka odpowiednich słów - przyzna pan, że bywa niepewne.

- Tym ciekawsze - powiedział pan Gustaw.

Pani Maryjka zapewniła:

- Pan Guccio da się namówić. - Hałaśliwie: - Biorę to na siebie!

- Mamo... - błagała córka. Zwróciła się do pani dyrektor: - Pawełek...

Nie ma go, nie przyszedł.

- Może miała przyjść matka?

- Matka jest w Anglii, na saksach. Zbiera truskawki.

- Trudno, nic na to nie poradzimy. - Do doktora Wiernika: - Niech pan to przemyśli, panie doktorze.

Odeszła. Dagmara, spoglądając za nią, wysunęła język:

- Sztynna zołza. - Przedrzeźniała dyrektorkę: - „Nic na to nie poradzimy”. Tam jest z nim tylko babcia, miła staruszka, ale... co tu gadać. Jutro, panie sędzio, będę sprzątać kirkut. Ja i Mariola.

- A zakaz?

- Kij jej w oko. Matury rozdane, nikt nie ma prawa mi niczego zakazywać.

Dziennikarka, pani Anna, ciemnowłosa, w okularach na okrągłej buzi, odezwała się:

- Twoim kolegom się to nie spodoba. Będą wyrzaskiwać.

- Wie pani co? Mogą mi naskoczyć.

- Pójdę z wami - zaoferował się doktor Wiernik.

- Super!

Doktor zwrócił się do dziennikarki, pani Anny:

- Bo wie pani redaktor, odziedziczyłem pożydowski dom. Czuję się z tym dziwnie. Dlaczego ja? Dlaczego żona ukryła, że jest z Cheremca i ma dom? Przez kwadrans miałem nadzieję, że jestem dzieckiem Holokaustu. Pan sędzia mi tę nadzieję odebrał. Trzeźwy i bezwzględny człowiek. Pójdzie pani z nami sprzątać cmentarz?

- O nie, to byłoby bez znaczenia. Nie my powinniśmy to robić.

- Jacy nie my? Dziennikarze?

- Żydzi. To oni, tutejsi, powinni to zrobić, coś zmanifestować. Ale ja?

- Nie sądziłem, że jest pani Żydówką.

Dziennikarka roześmiała się.

- Ja też nie. Byłam już mężatką, kiedy matka mi powiedziała o swoim pochodzeniu. Przez lata całe nie chciała się do tego przyznać.

- Był szok? - zainteresował się doktor. - Opór?

- Weszłam w to głęboko. Drugie życie. Nowa tożsamość. -

Z uśmiechem: - Przeszłam na judaizm. W piątki wieczorem błogosławię świece. W Chanukę palę kolorowe świece. Wie pan, co to jest Chanuka?

- Takie święto?

- Dla dzieci - zabrał głos Mike. - Pamiętam te świece u Ehrlichów.

Na Brooklynie też je widywałem.

- Wierzy pani? - zapytał doktor Wiernik.

- Wiara nie jest konieczna. Czy ktoś wierzy w choinkę i w sianko pod obrusem? Obrzęd jest ważny. Poczucie wspólnoty. - Po chwili, z namysłem: - Prawo do wspólnoty.

- Zgłaszam sprzeciw - odezwał się Mike, jakby brał udział w rozprawie.

- A to dlaczego? - obruszyła się pani Ania.

- Bo to zamaça pani spojrzenie na miasteczko. Spojrzenie staje się subiektywne. Jakby sama pani stała przed płonąca stodołą. Żąda pani



nieustającej skruchy. Od kogo, pani Aniu? Tego Cheremca już nie ma. Prawie nie ma. Jest już trzecie pokolenie.

- Zamordowani mają prawo do pamięci.
- Ależ zgoda. Po to tu jestem. Będzie pomnik ze stosownym napisem.

Będzie podniosła uroczystość.

- W pustce.
- W pustce. A może i nie. Będzie pani książka! Jak to napisał

Kochanowski: „i mauzolea, i egipskie groty” także ulegną zniszczeniu. Słowo jedynie się osto.

Pani Ania zaśmiała się, pogroziła Mike'owi palcem:

- Oj, panie sędzio, znowu sztuczka: to był wiersz ku czci pewnej damy, której imię poeta „rad mianuje”. Tutaj słyszy się inne słowa, twardsze. Mam panu przytoczyć, co tu ludzie mówią? O pomniku i o uroczystości?

- Wiem co. Nie jestem dzieckiem.

Do doktora Wiernika podszedł wysoki, szczupły mężczyzna w ciemnym garniturze, z przystrzyżoną szpakowatą bródką, z papierosem w ręku.

- Pan doktor Wiernik - chyba się nie mylę?
- To ja.

Mężczyzna wymamrotał nazwisko, a potem:

- Jestem w tej szkole księgowym.
- Ach, ojciec Kajtusia.
- No właśnie. Synek miał panu zwrócić album. Zrobił to?
- Zrobił. Uroczy chłopiec.
- On nic nie wie, panie doktorze.
- O czym?
- O tym, co się z tymi ludźmi z albumu stało. Czy mam mu

powiedzieć? Jak pan uważa?

- Nie musi się pan z tym śpieszyć.
- Ja też tak myślę, panie doktorze. Moja żona jest zdania, że Kajtuś mógłby wziąć udział w sprzątaniu cmentarza żydowskiego. Zastanawiamy się...

- Na pewno by to chętnie zrobił - powiedział doktor. - Ale po co go w to wciągać? Przyjdzie na to czas.

Księgowy wciąż stał z niezapalonym papierosem.

- Dobrze, że pan tak mówi, panie doktorze. Bardzo dobrze. Powtórzę żonie.

Dagmara zakrzyknęła:

- Mamo, pobiegnę do Pawełka!
- Skoro nie możesz bez niego wytrzymać...
- Przecież wiesz, o co chodzi!
- Wiem, słoneczko, wiem.

- A o co, jeśli wolno zapytać? - odezwał się Mike.
- O to, że on groził samobójstwem.
- O!
- Już raz się truł. Ale go odratowano.

Mike zaofiarował się:

- Pójdę z tobą, można?
- Super.

Sztywna Zołza zbliżała się z dużą kopertą.

- Daga, zanieś to Pawłkowi. Jego świadectwo maturalne, nie najgorsze - skomentowała dyrektorka.

Dziewczyna miała łzy w oczach. Szepnęła:

- Może być za późno.

Wyszli, a dziennikarka wybiegła za nimi na dwór i krzyknęła:

- Panie sędzio, chwileczkę! Będę łapać pana jutro w „Cheremiance”.

Zapraszam na kawę, pokażę panu coś specjalnego.

Mike starał się nadażyć za Dagmarą. Na chwilę przystanął, żeby złapać oddech. Czuł ucisk w klatce piersiowej.

- Dziewczyno, zapominasz, że jestem o pół stulecia starszy.

Ona była nieubłagana:

- A jeśli już za późno?
- Chwileczkę, stój, rozgryzę tylko tabletkę.

Dagmara czekała, przypatrując mu się z niepokojem. Mike dyszał, rozgniatając zębami tabletkę.

- Możemy iść - powiedział wreszcie.
- Na pewno? - spytała.
- Na pewno.

Szli teraz bez pośpiechu.

Mike spytał:

- Kompleks samobójczy?
- Nie wiem, czy akurat kompleks - odpowiedziała dziewczyna. -

Zniechęcenie. Koledzy się znęcają. Rechoczą z byle jakiego powodu. Coś im się udało: przekonać go, że nie nadaje się do życia.

- A według ciebie?

- Gdyby ktoś im dał po mordzie, żeby się uspokoili... On jest tylko fizycznie niezdarny. Nie umie trafić piłką do kosza. Pan chyba tego nie rozumie...

- Właśnie, że rozumiem. Miewałem takie przypadki. Prokurator oskarżał tego, który dał, jak ty mówisz, po mordzie. Nie było mi z tym łatwo...

Babcia Pawelka stała w drzwiach, zupełnie jakby ich oczekiwała.

- Żyje, żyje - tymi słowami ich przywitała. - Sznur się urwał. Nie wytrzymał ciężaru. Bóg ustrzegł.

Pawełek leżał na kozetce skulony jak toból i płakał. Dagmara potrząsnęła nim.

- Pawełku, Pawełku, słoneczko, odwróć się, popatrz na mnie! Przyniosłam w gości. - Podała chłopcu chusteczkę. - Wytrzyj oczy, słoneczko. Przyniosłam ci świadectwo. Masz pięć z polaka. Z historii też. - Pawełek wpatrywał się w nią, jakby nie rozumiał jej słów. - A to pan sędzia Murphy z Nowego Jorku, a naprawdę pan Michał... Michał jak?

- Dembina - podpowiedział Mike i stwierdził z zadowoleniem: to jej „słoneczko” jest od mamy.

Chłopiec znowu odwrócił się do ściany.

- Nic mi się nie udaje - słysząc było łamiący się głos. - Nawet skończyć ze sobą nie umiem.

- Pawełku - odezwał się Mike - ja przyleciałem tu zza Atlantyku. Na uroczystości. Wiesz jakie?

Milczenie. Ale łkanie chyba ustało, bo plecy chłopca znieruchomiały.

- Sześćdziesiąt lat temu zamordowano w twoim miasteczku kilkuset ludzi. Byli Żydami, o nic więcej nie szło. Słyszałeś coś o tym?

Zdaje się, że było kiwnięcie głową.

- Byli wśród zamordowanych i twoi rówieśnicy. Pewien mój przyjaciel, z którym grywałem w ping-ponga.

Mike usłyszał spod ściany:

- Pana przyjaciel?

- Tak, bliski przyjaciel. Usiłowałem go ocalić. Wyciągnąłem go ze stodoły. - Tamten milczy. Niedobrze. Mike, po chwili: - Nie udało się.

- Po co mi pan o tym mówi?

Ton raczej nieprzyjazny. Ale trzeba brnąć dalej.

- Bo wiem, jak ci ciężko. Wiem, koledzy się nad tobą znęcają, drwią, próbują sobie wyobrazić, co ta bezmyślna banda jeszcze robiła. Masz prawo do goryczy. Ale pomyśl o tamtych. Pomyśl o ich losie.

Pawełek znowu się odwrócił. Przetarł wierzchem dłoni oczy. Chyba chce go wysłuchać.

- Ci, którzy się nad nimi znęcali, to byli ich dawni koledzy. Nie wszyscy oczywiście, ale czy takie rzeczy robią wszyscy? Bili ich, a potem zapędzili do stodoły... Oblali benzyną i... Dobrze wiesz.

- Po co pan mi to opowiada? - Tym razem był to szept.

- Bo dużo by dali, żeby być na twoim miejscu.

Chłopiec milczał, Mike mówił:

- Chcieli żyć.

Pawełek szarpnął się:

- Skąd pan wie?! - Potem, spokojniej: - Może chcieli umrzeć? Może mieli wszystkiego dość?

- Znalezione przy ich popiołach klucze. Mieli nadzieję, że wrócą do

domu. Chcieli żyć.

Dagmara podała milczącemu Pawełkowi szklankę z wodą. Wypił kilka łyków i znowu zadał to samo pytanie:

- Dlaczego pan mi to mówi?
- Bo jesteś mi potrzebny.
- Ja?
- Tak, ty. Z powodu tych uroczystości. Mam kłopoty. Potrzebna mi

pomoc.

- Czym ja mogę pomóc?
- Potrzebny mi ktoś odważny.
- Nie jestem odważny.
- To się okaże.
- Mam skoczyć z mostu? Boję się wody.
- Ale teraz jest taka chwila, że trzeba zdobyć się na to, by skoczyć

z mostu. Nie bać się wody.

- Co nadzwyczajnego jest w tej chwili?
- Coś jest. Domyśl się!
- Ja wiem: pan mnie chce zawstydzić.
- Chcę, żebyś mógł sobie powiedzieć: wiem, co naprawdę jest ważne.

To nie znaczy, że ja lekceważę to, co ciebie spotyka.

- Czego pan chce?
- Żebyś nam pomógł. Pójdiesz jutro z Dagmarą posprzątać żydowski cmentarz. Pójdiesz z najpiękniejszą dziewczyną w Cheremcu...
- Spróbuj tylko zaprzeczyć! - zakrzyknęła ona.
- A oni? Przecież nikt z nich tego nie zrobi!
- Bo to tchórze.
- Co pan mówi!
- Wiem, co mówię.
- Będą wrzeszczeć! Będą się nabijać.
- Tchórze. Niech wrzeszczą. Barany. Nie mają odwagi wyłamać się ze

stada. A ty robisz swoje. Robisz to, co chcesz. Nie boisz się ich.

A pojutrze... Pojutrze, Pawełku, weźmiesz udział w uroczystościach.

W upamiętnieniu twoich zamordowanych rówieśników.

Pawełek ciężko oddychał.

- Rozumiem. Rozumiem. Pan chce, żebym ja... Rozumiem.

Wyzwanie.

- Stać cię na to. Zrobisz to?

Paweł kiwał głową.

- Pawełku, zastanów się jeszcze - powiedział Mike. - To poważna

decyzja. Uroczystości się skończą, prezydent wyjedzie, policja wróci do Łomży, ja do Ameryki, a ty zostaniesz. Z nimi.

- Zrobię - powiedział chłopiec.

- Super! - wybuchnęła jedwabistowłosa dziewczyna i pocałowała Pawełka w policzek. - Słoneczko, nie chce ci się jeść?

- Cholernie - przyznał się chłopiec.

- Babciu! - zawołała Dagmara i wpadła do kuchni. - Wnuczek umiera z głodu. - Babcia przeżegnała się i otarła fartuchem łzy, a dziewczyna wróciła do pokoju. Chłopiec dźwignął się z kozetki i usiadł przy stole. - Pawełku, słoneczko, jutro rano po ciebie wpadnę. Tylko bez żadnych głupot, bardzo cię proszę. Przygotuj grabie. Zrobimy tym draniom na złość. Fajnie, co?

Kiedy Dagmara i Mike wyszli, dziewczyna wykrzyknęła:

- Chyba się w panu zakocham!

- Uważaj, nie będziesz pierwsza - przestrzegł Mike.

- Wiem, niestety. - Ze śmiechem. - Ale może ostatnia. Ostatnia wielka miłość. Jak tytuł filmu.

- A ja się tak bałem... - wyznał Mike. - Cały czas się bałem.

- Pan się bał? Czego?

- Mówiłem do niego i drżałem ze strachu. A co, jeśli on powie: „A co mnie tamci obchodzą?” Albo: „No i dobrze, dostali za swoje”. Nic takiego nie powiedział.

- No pewnie, że nie. Pawełek? Nigdy w świecie!

- Dziewczyno, świat mi wypiękniał.

- Ja się chyba w panu naprawdę zakocham - powiedziała i znowu się roześmiała.

Na ścieżce czekał Bol Butrym, kilka kroków za nim stał, kołysząc się, chłopak z czarną, opadającą na czoło czupryną. Smoliste oczy, przypomniał sobie Mike. Anioł Stróż z synem. Bol spytał:

- Bez emocji?

- Emocje dopiero będą. Panna Dagmara z kilkorgiem przyjaciół wybiera się jutro rano sprzątać kirkut.

- Będę tam. - Tak jakby chciał powiedzieć: przypilnuję. - Zwrócił się do syna: - A ty?

Chłopiec podszedł bez pośpiechu. Jakby nie zauważył urody dziewczyny. Udaje, domyślił się Mike.

- Nie puszczę cię samego - powiedział do ojca.

- Może się pojawić bojówka.

- No to popatrzymy sobie w oczy. Nie pójdzie im z nami łatwo.

Hubert jest świetny w dżudo.

- Super - ucieszyła się dziewczyna.

- Mogę z tobą poćwiczyć - zaofiarował się smolistooki chłopiec.

- Dziękuję, przeszłam kurs.

- Ja uczyłem pewną Michasię pływać - wspomniał Mike.

- Inne czasy, panie sędzio. - Bol upomniał syna:

- Pamiętaj o szpadlach. Będzie czymś lać.
- To do jutra - powiedział Bol.
- Ruszymy o dziewiątej - uprzedziła dziewczyna.

A kiedy ojciec z synem odchodzili, a ten syn, ten smolistooki chłopiec wciąż się za siebie oglądał, jedwabistowłosa dziewczyna dała upust radości:

- Gromadka mi się powiększa! Dostanę order, panie sędzio, co?
- Tak, słoneczko.

Roześmiała się i w tej chwili zagrała komórka Mike'a.

- Michał? - usłyszał starczy głos. - Tu Ziemek. Już zapomniałeś?

Ksiądz Ziemowit. No widzisz. Wpadnij do mnie jutro koło południa. Będzie kobieta, która koniecznie chce się z tobą u mnie zobaczyć. Ilana, kiedyś Frajndla. Nic ci to nie mówi? Powiada, że cię zna z tamtych czasów. Przyjechała z Berlina. Ma duży kapelusz, diamenty i złote pierścionki. Może być męcząca...

Frajndla... Frajndla... Coś jakby... Nie pamiętam!

7

Wymknęli się do parku, pani Maryjka i Gustaw (zrobił nam się chyba już na tyle bliski, że tak możemy o nim odtąd mówić). Nadzoru córczego nie było i pani Maryjka mogła wyjąć z torby piersiówkę z podkradzionym w szkole winem.

- Tutaj, słoneczko, możemy sobie poplirtować, na ławeczce, w cieniu lipy rozłożystej, wszystko jak w poemacie. Proszę się nie obawiać, kochanie, nie porwę pana. - Pani Maryjka zdjęła nakrętkę i podała buteleczkę Gustawowi. - Pijemy z gwinta, panie dyrektorze. Bo jest pan Gucio chyba dyrektorem?

Gustaw odpił, nawet dosyć sporo, i wtedy dopiero odpowiedział:

- Jestem.

Potrząsnęła buteleczką.

- Reszta dla mnie! Za pańską imprezę.
- „Mamo, nie pij” - przypomniał Gustaw.

- Już po wszystkim. - Wrzuciła pustą piersiówkę do kosza. - Rany boskie, w głowie mi się kręci. Jest cudownie: lipa, ławeczka, interesujący pan i w głowie się kręci. Dyrektorem czego? - spytała.

- Wydziału kultury. Miejskiego - uściślił.
- Słyszałam. Nie nudzi to pana?
- Proszę sobie wyobrazić, że nie. Można coś zrobić, pomóc, wesprzeć.
- O, panie dyrektorze, karierowicz z pana.
- Jakoś nie. Nauczyłem się z pokorą wysłuchiwać ekspertów. Może to panią gorszy, ale zdarza mi się, że czasem robię coś pożytecznego, nikt tego nie zauważy, ale ja wiem. Można dopieścić sfrustrowanych artystów. Moi interesanci to często bardzo osobliwi ludzie. Oni zwierzają się, okropną mają

potrzebę zwierzeń, zwierzają się, a ja czasem zapamiętuję. Na przykład taka poetka z fryzurą afro (z pretensjami? - wtrąciła pani Maryjka), z pretensjami, tak mi się skarżyła: Po co pisać, po co wydawać, kiedy Słońce spala coraz więcej wodoru, za miliard lat woda z ziemi wyparuje?

Poprawilem ją: za sto milionów lat. Za sto milionów, więc tym bardziej!

Przecież to horror! Co zostanie z naszych poezji?

- To jakaś wybitna poetka? - próbowała domyślić się pani Maryjka.

- Grafomanka. Żaden wybitny poeta by czegoś takiego nie powiedział.

Przyjmie, tak jak Goethe, że każda poezja jest poezją okolicznościową.

- Jak dla mnie, to pan za dużo wie. Musi pan?

- Trochę wiem. Z urzędu.

- O, jaki skromny.

- Grafoman, pani Maryjko, zgodziłby się na jakieś nowe mordercze powstanie, szubienice, rozstrzeliwanie, żeby on mógł pisać wiersze patriotyczne i być za wieszczą.

- Żartuje pan.

- Nie za bardzo.

- Wierzę panu, bo ja, jako prosta belferzyca, też miewam z tym patriotyzmem kłopot.

- Nie musi pani improwizować. Ma pani patriotyczny podręcznik.

- Muszę zadawać od do. I sławić wszystkie powstania, wszystkie upokarzające klęski jako triumfy, kamienie na szaniec i tak dalej. Czego ja, u diabła, uczyć? Jaki świat buduję?

- Staram się za panią nadażyć.

- Powiem panu coś. Mieliśmy tu polonistkę, teraz już na emeryturze, pani Klaudia, i ona mi kiedyś opowiedziała o sobie w powstaniu, tym z czterdziestego czwartego, żeby nie pomylić powstań. Miała siedemnaście lat i los chciał, że już kilkutygodniowego niemowlaka. Chodzę, mówi, z tym dzieckiem, bez mleka, bez wody, bez pieluch, strzelają, granaty wybuchają, gruzy się walą, kurz, myślę tylko o tym, jak ono przeżyje, a im, do cholery, zachciało się powstania!

- Przeżyło? To dziecko?

- Tak, dziewczynka.

- Ulżyło mi.

- A panu dyrektorowi nie chce się czasem uciec z biurka i rzucać granatami?

- To się pani z czegoś zwierzę. Miałem pewne hobby, póki żyła żona, bo ona mi w tym kibicowała. Taka ucieczka od obowiązków. To była demografia. Prawdziwa pasja. Prawie ćwierć wieku przesyłałem opracowania do ONZ. Oni tam brali je poważnie, studiowali, wyciągali wnioski, odpowiadali.

- Imponuje mi pan.

- Ani jedna prognoza nigdy się nie sprawdziła.

Zaśmiała się.

- Słoneczko, pan naprawdę ma do siebie dystans.

- Uczę się od innych. Kiedyś zadzwoniłem do nawiedzonego malarza, żeby przyszedł na małe przyjęcie. Będą ciekawi ludzie, sprawi to panu przyjemność. Ten malarz - zdaje się, buddysta - odpowiedział mi: Nie, panie dyrektorze, nie przyjdę; życie od narodzin do śmierci to indywidualna przygoda; mglisty początek, bezwzględny koniec; przygoda - jeszcze dodał - czasem pełna treści (w jego przypadku tak było), malownicza, twórcza. Nie mogę marnować życia na przyjemności.

- Całe wino poszło. Szkoda, przydałoby się. -Z pretensją: - Panie dyrektorze, tak się nie uwodzi kobiety.

- Dostaję naganę?

- Ale bez wypowiedzenia.

- Kiedy ja się z tym malarzem zgadzam. Przypomina mi się, co kiedyś powiedział Talleyrand po wyjściu z opery: „Życie byłoby całkiem znośne, gdyby nie przyjemności”.

- Ten pański Talleyrand - to też z urzędu?

- Nie, dla przyjemności.

- Nie zgadzam się z nim. Nie zgadzam się z panem. Ani tym bardziej z tym malarzem buddystą. Chyba go pan wymyślił. Bo ja... Wie pan co? Ja chętnie bym sobie potańczyła. Lubię chwilę bieżącą, taką, która upaja. Wirowanie w rytmie walca. Jest pan muzykalny?

- Z urzędu - powiedział Gustaw i zaśmiał się.

- Wystarczyłoby - na to ona. - Trzymałby mnie pan w ramionach, a ja patrzyłabym panu uwodzicielsko w oczy. - Chwila oddechu. - Marzenie ściętej głowy. Jakie tam wirowanie. Mam cholernie ciężki zad. Co robić? Natura. Z naturą nie będę walczyć.

Dźwignęła się z ławki, próbowała zatoczyć piruet. Zachwiała się.

- Kręci mi się w głowie. - Zabrzmiało żałośnie. -A pan nic, ani słowa o tym zadku. Ja prowokuję, a on nic. Guciu, słoneczko, powiedz coś: nie za duży?

- Jest pani bardzo ponętna.

Siadła i powiedziała naburmuszona:

- Dzięki za dobre słowo. To dodam, że wszystko we mnie jest autentyczne. - Dotknęła swoich piersi. - One też.

- Zachęcające.

- Nawet szczęki sztucznej nie mam. Wiem, oczywiście, wszystko przede mną. A pan? Nie ma pan ochoty się otworzyć?

- Chyba dosyć się otworzyłem.

- Proszę opowiedzieć coś o swoim małżeństwie. O żonie.

Miej się na baczności. Ona chce się wedrzeć w twoje sny,



w pieśczone przez ciebie obrazy.

- Co opowiedzieć? - spytał.
- Jak wam się układało.
- Dobrze. Wyjątkowo dobrze.
- Ale podobno pana okłamywała.
- To zupełnie inna sprawa.
- A w łóżku? - spytała. Proszę: - No, niech pan powie. Jak było?
- Dobrze.
- Była perwersyjna?

Za dużo chce wiedzieć. Wisienka, jej nagość, jej oddech, jej szepty - nie, nie powiem, to moje, tylko moje.

- Tyle, co inne kobiety - powiedział.
- Pan uważa, że kobiety są perwersyjne?
- Są. Bardziej od mężczyzn. A pani jak uważa?
- Są.

Milczenie. Za dużo sobie powiedzieliśmy. Ona, prawie ochryłym głosem:

- Mogę zadać trudne pytanie?
- W ramach perwersji?
- Coś takiego. Szkoda, że wino się skończyło.
- Odwagi.
- Zapłaciłby mi pan za pójście z panem do łóżka?

Co odpowiedzieć?

- Naturalnie.
- A ile?
- Ile pani sobie zażyczy.
- Chcę wiedzieć, ile jestem warta.

Droczy się, czy pod spodem coś jest?

- No ile?

Jest tylko jedna odpowiedź:

- Nieskończoność.
- Brawo, z Gucia jest prawdziwy dżentelmen.
- Ale to nie rozwiązało sprawy.
- I bardzo dobrze. Nie trzeba konkretów.
- Konkrety też są względne. Wszystko zależy od konta w banku

mężczyzny.

- I kobiety. Co dla jednej byłoby oznaką uwielbienia, drugą mogłoby obrazić.

- Czy to nie jest paradoks - zauważył - że właśnie wartości wymierne są względne?

- A pan uważa, że istnieją jakieś wartości bezwzględne? - Znowu spochmurniała i głos jej ochrypl: - Zdaje się, że ja byłam do niczego. Noga.

I nic dziwnego. Ślub był ze wszystkimi szykanami, jak Bóg przykazał, z nocą poślubną, a ja szłam do sypialni jak na ścięcie. Był taki film *Uciekająca panna młoda* - widział pan? Dobrze ją rozumiem. Nagle dotarło do mnie, że ten mężczyzna nic mnie nie obchodzi, jest mi obcy, jego ciało tym bardziej. Po co mi on? I to na całe życie? Potem przyzwyczaiłam się. Dwoje dzieci, bo jest też syn. W Szwecji. Ale to nie ja uciekłam od niego. On uciekł ode mnie. Pewnie dlatego.

- Myślę, że się pani myli. Przyczyna mogła być inna. Albo nawet żadna. Jest czas zejścia się i czas rozejścia. Od Bardotki też mężczyźni odchodzili.

- Nie wiem, czy to pocieszające. - Posmutniała i na chwilę zamilkła. Przydałby się jej łyk wina. Mówiła dalej: - Czas mdlejących anielic minął. Anielic pobladłych, z migrenami i interesującymi spazmami. Reklamy telewizyjne zdepoetyzowały nawet te najpiękniejsze. Kobiety cierpią w nich na wzdęcia, zaparcia, biegunkę, moczą się, krwawią, mają upławy, cellulit, grzybicę, łupież, nieświeży oddech. Jak tu tracić głowę dla takiej?

- Och, jestem pewny, że to wszystko nie zapobiega wybuchowi miłości ani nie wyklucza idealizacji.

- Nie potrzeba mi idealizacji. Boję się jej. Guciu, proszę o tym pamiętać i nie wynosić mnie na piedestał. Kobieta realna nie ma szans dorównać idealnemu obrazowi, który wytworzy sobie zakochany mężczyzna.

- Tak było zawsze. Nic tu nie zmienia wiedza o biegunkach i zaparciach.

- Dlatego oni od niej uciekali. To rozkapryszone stworzenie było bez szans.

Pewnie myśli o Bardotce - o tym, że mężczyźni ją zostawiali, a ona nie od razu mogła się z tym pogodzić.

On:

- Piękna kobieta rzadko może dorównać swojej urodzie.

- Kto to panu podpowiedział?

Gustaw uśmiechnął się.

- Rzeczywiście, chyba skądś ściągnąłem. Mam taką książkę współczesnego polskiego autora - notatki, refleksje - podczytuję sobie w bezsenne noce.

- I potem odgrywam mędrca. Guciu, słoneczko, dlaczego mnie pan nie całuje?

- Krążą tu pani uczniowie.

Rozejrzała się.

- Za każdym drzewem szpieg. Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby pani wychowawczyni się całowała na ławeczce. Albo gdyby zobaczyli ją w łóżku, jak się... ale by uciecha była, co?

- Chciałaby pani być podpatrzona?

- Wiernik, siadaj i zachowuj się! Zapamiętam to sobie... A pamięta pan, co powiedział sędzia Murphy? Zapraszam pana do moich rodziców. Jeśli przez to pan przebrnie, jeśli pan nie ucieknie - To jestem gotów?

- Tak, próba. Ogniowa.

Ale czego? - zastanawiał się. Przecież się nie oświadczyłem.

Pani Maryjka miała klucz do mieszkania rodziców. Tak na wszelki wypadek, wyjaśniła, gdyby potrzebna im była pomoc. Gustaw zauważył na drzwiach tabliczkę: ALDONA i ALEKSY MASZKIEWICZOWIE. Stara pani, wysoka, szczupła, we fioletowym szlafroku w duże kwiaty, włosy ufarbowane na kolor miedzi, kręcone, zakrzyknęła:

- Maryjka, bój się Boga! Kompromitujesz mnie! - Podała suchą, kościstą dłoń Gustawowi. - Witam pana. I uciekam. Pan wybaczy - szlafrok - nie spodziewałam się pana. Już się przebieram!

- Szlafrok piękny - zdobył się na komplement Gustaw.

- Obłudny donżuan - szepnęła pani Maryjka, kiedy matka zniknęła w łazience.

Z sąsiedniego pokoju wyszedł pochylony starzec, z piękną, przygladzoną brylantyną siwizną, z przedziałkiem z boku. Uśmiechnął się i wyjął z kieszonki kamizelki okulary, przyjrzał się Gustawowi i jeszcze raz przyjaźnie się uśmiechnął.

- Cieszę się, że pan dał się namówić. Maryjka opowiadała nam o panu, usta jej się nie zamykały.

- Zalewa - powiedziała dość głośno córka. I do ojca: - Kiedy opowiadałam? Jakoś sobie nie przypominam.

Jej ojciec założył aparat słuchowy do prawego ucha.

- Teraz, córuchno, możemy się sprzeczać.

- Ojciec był adwokatem i lubi spór.

- Ach, Boże, co ty wiesz o swoim ojcu? Lubię ugodę. Byłem mistrzem ugody.

- Ale najpierw musi być spór. Mamo! - zawołała pani Maryjka. - Poczęstuj nas kolacją! Umieramy z głodu. Do wina dano nam tylko słone paluszki i po pierożku na twarz.

- Czym ja was poczęstuję? - rozpacziała mama. Wyszła z łazienki w popielatej sukni z falbankami.

- Nic w domu nie mam.

- Spektakl się zaczyna - szepnęła córka do gościa. - Niech się pan trzyma. - Zajrzała do lodówki.

- Mamo, są dwa kotlety.

- Naprawdę? - Stara pani była bardzo zdziwiona. - To weźcie sobie po pół kotleta.

- W puszcze jest fasolka po bretońsku!

- Co ty powiesz! Zupełnie zapomniałam... Widzi pan, co się dzieje na

starość?

- I truskawki.

- O, truskawki. Zawieruszyły się widać. Zostaw trochę dla ojca. Alik, będziesz jadł truskawki? Bo jeśli nie chcesz, to nie musisz. Będzie na jutro...

- Będę jadł - powiedział stary pan. Może na złość.

Pani Maryjka krzątała się przy stole.

- Panie doktorze, proszę. Wina?

Matka wtrącała:

- Skąd ci wezmę?...

- Ale jest czysta wódka. Po kropelce. Tato?

Ojciec pokręcił głową, jest po kolacji, siądzie sobie w fotelu - w moim wieku, powiedział, a głos miał wciąż głęboki, przyjemny baryton, w moim wieku fotel, wygodny, dobrze dopasowany, to najlepsze miejsce.

Pani Aldona uznała, że jej kieliszek zimnej wódki nie zaszkodzi.

- Doniu - poprosił ojciec - nastaw magnetofon. Nie umiem się z tym obchodzić - tłumaczył gościowi - wszelka technika to dla mnie abrakadabra.

Stary szpulowy magnetofon, nikt dziś już takiego nie używa. Dziwne, że pan Aleksy nie umiał sobie z tym poradzić. Jakaś alergja na najprostszą elektronikę. Ktoś śpiewał tęsknym barytonem: „*Po dikim stiepiam Zabajkalia, gdzie zołoto rojut w górach...*”

- Zna pan to? - spytał pan Aleksy.

- Słyszałem.

- A wie pan, kto śpiewa?

- Nie zgadnę. Chyba nie Wertyński?...

- Ja.

Przez chwilę wsłuchiwali się wszyscy w pieśń o ciężkiej doli włóczęgi. Nagle zgrzyty, chrobot, głos zaskrzypiał...

- Doniu, wyłącz to. Taśma zdarta.

- Pięknie pan śpiewa - pochwalił Gustaw.

- To mi czasem pomagało żyć. Na zesłaniu, nad Ałdanem, tam byliśmy z Aldoną, przychodził do naszej chatynki komendant posiołka, stawiał butelkę samogonu i żądał: *Alosza, zapiewaj*. No i śpiewaliśmy we dwóch, bywało, jeszcze ktoś się przyłączył, wszystkie te *Brodiagi, Stieńkę Razina, Wołga, Wołga, mat' rodnaja* i *Moj kastior w tumanie swietit* ...

- Alik, przestań - zniecierpliwiła się pani Aldona. - Zamęczysz pana.

- Och, nie - zaprotestował Gustaw - ja dużo tych pieśni znam.

- Z urzędu - syknęła Maryjka. Żmija.

- A wie pan, że ten komendant sam był więźniem? - powiedział pan Aleksy. - Dziwne, prawda? Myśmy się nie dziwili. Miał wyrok, mogli go rozstrzelać, ale upiekło mu się, upomniała się o niego struktura tych zesłań, potrzebny nam komendant, swój człowiek, bo on był kiedyś w wywiadzie, takie dziwne rzeczy czasem się tam zdarzały. Powtórzę: dziwne dla nas, ale nie

dla nich. A pamiętasz, Doniu, co on opowiadał o swojej wpadce?

Nie pamiętała.

- Był za granicą, w Czechach, zdaje się, udawał Niemca, miał wszystkie potrzebne papiery, nawet że przeszedł przez Dachau. Nie wiem, czy dlatego, że powzięli podejrzenie, czy stało się to przypadkiem, ale ci wojskowi czescy, wśród których przebywał, ustawili płytę z tym *Brodiagą: Po dikim stiepiam Zabajkalia...* Astachow nie wytrzymał, oczy zaszyły łzami, wyszedł do przedpokoju, nucił tę melodię, jakby go ktoś do tego zmuszał. Aresztowali go i w końcu wydalili do Sojuza. A tam - no, wiadomo, szpieg, który pękł, naraził siatkę, zrobiło się niebezpiecznie. Mówił przy tym samogonie: Teraz mi dobrze, teraz mogę duszę napoić śpiewem, ile zapragnie, i nikt nie może mi nic zrobić: wyrok już mam.

Stara pani uznała, że kolej na nią:

- A czy pan wie, w jaki sposób mój Alik znalazł się na Syberii?

Opowiedzieć?

- Opowiadaj sobie. Tylko nie zalewaj.

- Teraz mówi „opowiadaj sobie”. Ale wtedy...

Mąż przypomniał:

- Postanowiła zgarnąć ruble na handlu zegarkami. Żadna sztuka: zegarki, czasy, szły jak woda. Ale ona była pewna, że ma głowę do interesów.

- Może nie? Całkiem nieźle mi to szło. Wyprawiałam się przez zieloną granicę do Warszawy. Ostatni raz w styczniu czterdziestego roku. Mróz jak jasna cholera. Chyba minus trzydzieści. Capnęli mnie w łapach. Cały towar zabrali, z pięćdziesiąt sztuk.

- Same roskopfy - powiedział pogardliwie mąż.

- A nie, były i ankry, na siedemnastu kamieniach. Pozwolili mi się spakować i do wywózki. Eszelon stał kilka dni na boczniczy w Białymstoku. I wtedy pojawił się on.

Pan Aleksy:

- No widzi pan? Zgłupiałem.

- Był zakochany. Łaził do mnie do domu, przynosił chleb...

- I marmoladę. Czasem cukierki - uzupełnił mąż.

- Cukierki, herbatę. Piliśmy herbatę.

- Całowaliśmy się - przypomniał.

- Pewnie tak. Przystojny, miły, nie powiem. Ale co do innych spraw - to ja nie. Nie i nie.

- Słyszał pan? - zwróciła się Maryjka do Gustawa. - Nie i nie.

- On mnie tam odszukał, na tej boczniczy. Zwrócił się do komendanta eszelonu. Ja chcę z nią na zesłanie, ja nie mogę bez niej żyć.

- Tak powiedział?

- Słowo w słowo.

- Po rosyjsku?

- Jakoś mu dał do zrozumienia. I wie pan, co komendant na to? *Pożałujsta, grażdanin*. Proszę bardzo. Miał ze sobą tylko mały woreczek na rzeczy.

- Walizkę - sprostował mąż.  
- Woreczek - upierała się pani Aldona. - Parę koszul i skarpetki.  
- Walizkę. Futro i zapasowe buty. Walonki.  
- Ile tygodni jechaliśmy? Na pewno ponad miesiąc. W pociągu wzięliśmy ślub.

Mąż powiedział z westchnieniem:

- Jesteś największą pomyłką mojego życia.  
Żona chyba nie dosłyszała. A może udawała.  
- To chuchro - powiedziała - rąbało lasy.  
- Jakoś to było. Komendant nas odwiedzał, żeby ze mną śpiewać.  
- Przychodził, żeby pogapić się na mnie. Dla kogo przynosił herbatę z kaptiorki? Dla ciebie czy dla mnie? I czasnek. Uratował nam zęby!  
- Nie domyślał się, jakie jady kryją się za twoimi ślicznymi ząbkami.

Ona wzburzyła się:

- Co ty wygadujesz! Słyszał pan? Jady. Jady i ja!... Uratowałam ci życie.  
- Ty?  
- Ja i Stalin. Gdyby nie wywózka, wiesz, co by się stało? Wiesz, co by zrobili z tobą Niemcy, kiedy tu przyszli? Wiesz?  
- Nic by nie zrobili. Polowali na Żydów.  
- Butrymy by cię wykończyły. Ten ich Narodowy Hufiec - tłumaczyła Gustawowi. - On przed wojną bronił w sądzie żydowskich straganiarzy, Butrymy robiły pogromy, a on występował w imieniu poszkodowanych Żydów.

- Obowiązek adwokata.  
- Gadanie. Nie każdy pan mecenas się do tego poczuwał. A on na dodatek bronił też komunistów.  
- A potem rąbał lasy - przypomniała córka.  
- No, rąbałem. I co z tego?  
- Nostalgia - powiedziała stara pani. - Czy pan wie, że on wspomina tajgę z sentymentem? Czy pan może to zrozumieć?  
- Można zrozumieć. Był młody i zakochany.  
Pan Aleksy, siedząc w fotelu, przymknął oczy.  
Zdaje się, że wybąkał:

- Zostawmy to.  
- Czy pan wie, że on mnie nigdy nie zdradził?  
„Największa pomyłka mojego życia”.

Pani Aldona ciągnęła z frywolnym uśmiechem, który miał przekazać jej przewagę:

- Już już coś się miało zdarzyć i jak się o tym dowiedziałam, mówiłam: Alik, po co masz na mieście płacić za coś, co w domu masz za darmo?

Stary adwokat się nie odezwał. Wydawało się, że zasypia. Za to pani Aldona była coraz bardziej rześka.

- Podobno odziedziczył pan domek po Snopkach...

- Tak się jakoś złożyło - Gustaw tłumaczył się, jakby popełnił nietakt. - Moja żona Wisienka była Snopkówna...

Maryjka:

- Pan Gustaw dowiedział się o tym domku niedawno.

On sam nie ukrywał zakłopotania.

- Doprawdy, nie wiem, co z tym zrobić.

- Jak to co? - Pani Aldona aż się zatrzęsała. - Wziąć i koniec. *Dajut - bieri, bjut - biegi*. To był kiedyś dom Ehrlichów, tak? Ten pan Ehrlich też był w Jakucji, ale widywaliśmy się rzadko. Nieźle mu się chyba powodziło, był felczerem, a felczer zawsze potrzebny.

- A tutaj mu wymordowano rodzinę.

- Tak, wymordowano. Żonę - w tej stodole. I ten chłopak, wspaniały, przystojny jak marzenie, jeden z najlepszych pingpongistów w Polsce. Była jeszcze córka, nie wiem, co się z nią stało, ale pewno też. On tam pojęcia nie miał, że nie ma już rodziny. Wracaliśmy do domu razem. Maryjka, kiedy to było?

- W czterdziestym szóstym - powiedziała córka. - Wracaliście w kwietniu.

- W kwietniu. Wszystko kwitło. Władze przydzieliły mojemu panu mecenasowi mieszkanie. W Cheremcu było o to nietrudno. Ehrlich w swoim zastał Snopków.

- Mamo... - upomniała córka.

- Odstąpili mu pokój, na razie. Potem dostaniesz resztę. Jedź do Białegostoku, poradzili, załatw sobie w województwie.

- Mamo! - zakrzyknęła Maryjka.

- A co? Nie tak było? Wyciągnęli pana Ehrlicha z pociągu i zabili.

- Mamo, mammo - po co ty o tym?...  
Stara pani nie wydawała się poruszona.

- Przecież to wiadomo. Wszyscy wiedzą. Banda zabiła, ale to on Ehrlicha nadał... Snopek.

Milczenie. Pan Aleksy w fotelu uniósł powieki, spojrzął i znowu je opuścił. Pani Aldona mamrotała stropiona:

- Panie doktorze, czy ja?... Przepraszam, ale tu wszyscy wiedzą. Nie dałoby się ukryć.

Maryjka w zapadającym zmierzchu odprowadzała Gustawa do domu. Szli w milczeniu, on płakał. Przed domem objęła go.

- Guciu, kochanie - mówiła, obcałowując zażawione policzki. -  
Słoneczko, zrozum, przecież to nie jej wina. Nie myśl tak. Twoja Wisienka od  
tego uciekła. Ona cię przed tym chroniła.

Usłyszeli wrzask:

- Sześćdziesiąt pięć miliardów! Wszystko im oddaj! Buty! Spodnie!  
Wiatrówkę!... Nie dam!

Gustaw otarł łzy i zawołał:

- Panie Jaśku! Tutaj, do mnie!

Nosiwoda bez wody przybliżył się, wciąż wykrzykując, chociaż im bliżej,  
tym słabiej.

- Cierpienia chcą nam wykraść! Zasługi! Za niemieckie pieniądze!

- Panie Jaśku, mam sprawę. Jaśko natychmiast przycichł.

- Słucham pana dyrektora.

Wie. Albo nie wie. Każdy może być dyrektorem. Gustaw dał mu mały  
banknot.

- Panie Jaśku, odprowadzi pan panią profesorkę do domu. Żeby nikt jej  
nie zaczepił.

- Niech tylko kto spróbuje... Maryjka ciężko westchnęła:

- Obrońca się znalazł... Guciu, będzie pan spał?

- Nie wiem, czy mi się uda. Zadzwońię do córki. Albo nie. Albo tak:  
zadzwońię i nic nie powiem.

- Chyba tak lepiej - przyznała. - Po co jej ta wiedza? Panie Guciu...

- Coś jeszcze? Zawahała się.

- Nie, nic. Na dzisiaj starczy. Dobranoc. Pocałowali się. Była już dość  
daleko, kiedy on zawołał:

- Pani Maryjko! Zatrzymała się.

- Pani Maryjko. Chciałem tylko powiedzieć, że pani ojciec bardzo mi  
się spodobał.

Uśmiechnęła się i nawet w ciemności można było dostrzec, jaki  
uroczy był to uśmiech.

## 8

W tym samym czasie, około dziewiątej rano, kiedy Bol Butrym  
z młodszym synem Hubertem, z jedwabistowłosą Dagmarą (na którą  
Hubert nie przestawał się gapić), z pucołowatą Mariolą i jeszcze dwiema  
koleżankami, które udało się zmobilizować, z Pawełkiem oczywiście, no i z  
doktorem Wier-nikiem, który stawiał się tak jak obiecywał, uprzętałi cmentarz  
żydowski (Mariola przyniosła kilka worków na śmieci), sprzątałi energicznie,  
z widoczną satysfakcją, w każdym razie dziewczęta robiły to ze śmiechem,  
zadowolone, że wyrządzają komuś psikusa, zastrachanej dyrektorce i nie  
tylko jej, kij im w oko, a może stąd ta rzeźkość, że poranek jeszcze świeży,  
powietrze nie tak suche i lekko się oddychało, więc w tym samym czasie  
stary Butrym, Waldek, kuśtykając, o lasce, dotarł do domu, w którym



mieszkał Bol, jego wyrodny, zdradziecki syn. Został tylko Adama, swojego było-nie-było wnuka, chudego i podługowatego jak tyczka, ten wnuk, w okularach, siedział przy komputerze, obok piętrzyły się kartki z nagryzłymi cyferkami i krzyżującymi się linijkami wykresów. Nie znał prawie tego młodego człowieka - wnuk, a jak obcy, psiakrew.

- Gdzie tata? - spytał gniewnie.
- Nie ma go - odpowiedział wnuk, nie odrywając oczu od komputera.
- Pytam, gdzie jest?
- A co to pana obchodzi? - burknął Adam, wciąż wpatrzony

w komputer.

- Nie pana, nie pana - wściekał się starzec. - Nie polazł czasem na ten pieprzony cmentarz? Cholera, co on sobie myśli? Co ludzie powiedzą? Jak ja, kurde, tego mazgaja wychowałem?

- Bardzo dobrze go pan wychował - powiedział Adam, nie przestając poruszać palcami na klawiaturze. - Wiele panu zawdzięcza.

- Jakie panu? Nie wiesz, kim jestem?
- Nie przypominam sobie pana - mówił zimno Adam.
- Jestem twoim dziadkiem.
- Jakaś pomyłka. Ja nie mam dziadka.
- Każdy ma dziadków. Nawet dwóch.
- Ja miałem tylko jednego. I ten dziadek dawno temu zmarł.
- Ja jestem tym drugim - tym, który żyje. Chodzę o lasce, starość, ale wciąż żyję. I jak będzie trzeba, to niejednemu, kurde, przyłożę.

Adam odwrócił się ku niemu.

- Pan nie żyje - powiedział. - Ja nie mam dziadka.
- Kurde - zaklął starzec.
- Co pan tak delikatnie? Nie zna pan współczesnej polszczyzny?
- Nie będę się przy wnuku wyrażał. Co tam robisz?
- Pracuję. Jestem informatykiem.
- Skąd ci się to wzięło?
- Ukończyłem dwuletni kurs.
- Kim jesteś, powiedziałaś? - Starzec przyłożył dłoń do ucha.
- Informatyk. Chyba pan zna to słowo?
- Znam, no pewnie. To znaczy jak? Informujesz? Donosisz?
- Pan udaje.
- Jaki pan? Dziadek, dziadek!
- Ja nie mam dziadka.
- A ten furt swoje. Co to za wyliczanki? Te tutaj? Jakieś żydowskie rachunki...

- Konstruuje odbiornik.
  - Tak z głowy? Nie lepiej kupić?
- Adam po raz pierwszy się uśmiechnął.

- Bo to będzie odbiornik specjalny. Żeby było można wyłowić z eteru różne stare głosy. One tylko pozornie uleciały. Naprawdę one gdzieś tu są, tu wokół nas.

- Jak stare? - zaciekał się Waldek.

- Na przykład te sprzed sześćdziesięciu lat. Wszystko da się złapać.

Krzyki, jęki, przekleństwa.

- Uda ci się?

- Co się ma nie udać. Już miałem pierwszy odbiór. Z zakłóceniami, ale to nic, wyczyści się.

- A obraz?

- Powoli. Na wszystko przyjdzie czas.

- Nie uda ci się!

- Zobaczymy. Na uroczystość będzie w sam raz. Niech pan przyjdzie. Usłyszysz pan siebie. Pan tam był, prawda?

- Ja? Ja wszystkich za mordę trzymałem. Urodziłem się do komenderowania. „Na moją komendę oddział!...” Szkoda, żeś mnie nie słyszał. Zrobiłbym w wojsku karierę, tylko te cholerne czasy. Taki był twój dziadek!

- To będzie pan mógł siebie usłyszeć. Wszystko, co pan wykrzykiwał i komenderował.

- Myślałem, że to przepadło.

- Nie przepadło. Wszystko trwa. Wszystko tam w górze zapisane. - Adam podał Butrymowi papierową chusteczkę. - Proszę!
  - Czego to? - obruszył się starzec.
  - Gil panu z nosa zwisa. Niech pan wytrze. - Starzec wycierał nos, warcząc „starość, cholera”, a Adam naskoczył na niego: - Nie boi się pan?
  - Ja bać się? Czego?
  - Kiedy to wszystko - wszystko, co tam się stało - pański własny głos poświadczy... Nie boi się pan?
  - Czego?! Czego, kurwa, mam się bać? Ja robiłem, co do mnie należało. Zresztą, był proces? Był! I co? Świadkowie zeznawali.
  - Co zeznawali?
  - Że Niemcy. Sami Żydzi zeznawali, że Niemcy to zrobili. Dwa lata mi dali - za rozbój, za te zapluskwione graty. Z zawieszeniem. Widzisz? Nasze na wierzchu!
  - Nie nasze - powiedział ostro Adam. - Pańskie! Nie moje!
- Chwilę odczekał i powiedział:
- Proszę wyjść. Przeszkadza mi pan.
- Dziennikarka, pani Ania, dopijała kawę, kiedy Mike się do niej zbliżył. Przywitali się, ona spytała, czy napije się kawy, Mike skinął głową, ona dała znak pani Filomenie, zapraszam, dodała, bez wyrzutów sumienia, panie sędzio, redakcja zwraca koszty.
- Wyeksploatuję pana - obiecała sobie dziennikarka.
- Mike powoli sączył kawę.
- Myślałem trochę o pani słowach, o tym, jak pani na mnie naskoczyła.
  - Nie naskoczyłam, ależ skąd.
  - Wie pani, moja polszczyzna uległa... powiedzmy, korozji. Nie zawsze potrafię wyrazić się precyzyjnie. Myślałem o tych wypowiedziach, które pani chciała przytoczyć.
  - A pan się wzbraniał słuchać.
  - Och, mam dosyć słuchania takich rzeczy. Moja Betsy, sektantka, wręcz wykrzykuje: Mów mi o dobru - ono też istnieje. Pani Aniu, ja nie jestem sektantem. Jak to powiedział doktor Wiernik? Trzeźwy i bezwzględny człowiek.
  - Żartował. - Pani Ania uśmiechała się, w ciemnych oczach za okularami zabłyśły światelka.
  - Mam nadzieję. Bo z tą bezwzględnością... Aha, o tych gadkach tutaj. Myślę, że zdarza im się mówić podłości właśnie dlatego, że nie mogą unieść ciężaru tej zbrodni.
  - Ależ nie! - zaprotestowała żywo. - Typowe *wishful thinking*. Pan by chciał, żeby tak było. Nic z tego: żadnych wyrzutów sumienia!
  - Czy pani wdarła się w ich sumienia? Zna pani ich sny? Znamy

tylko to, co widzimy i słyszymy. Mówią podłości, kłamią, bezczeszczą pamięć ofiar, bo wiedzą, dobrze wiedzą, że uczestniczyli w zbrodni. Dali upust okrucieństwu, chciwości. Puściły hamulce. Bo człowiek powinien mieć wmontowane jakieś hamulce. Ale coś się stało, że nie zadziałały. i oni o tym wiedzą. Także ci, którzy bezpośrednio nie brali w tym udziału, ale przyglądali się czy tylko odwrócili. Ta ich wiedza, pani Aniu, stanowi jednak jakąś wartość.

- Ja nie zauważyłam skłonności do skruchy.
- Żeby zrzucić taki ciężar, musieliby przekląć samych siebie.
- Nie zrobią tego - stwierdziła stanowczo dziennikarka.
- Ale oni wkrótce wymrą. A Cheremiec będzie trwał.

Dziennikarka wstała.

- Pokażę panu kogoś - może się panu przyda.

Wyjęła komórkę i zatelefonowała.

- Pan Stefan? Tu Ania. Można pana odwiedzić? Będę za kwadrans. -

Do Mike'a: - Proszę do mojego opelka.

W samochodzie, za kierownicą, pani Anna szybko informowała:

- Jest sam. Żona go opuściła, zmęczyła ją ciężka praca, przeniosła się na Dolny Śląsk. Troje dzieci wychował, dał im wykształcenie, nie chciały być w Cheremcu - bo i po co? Jaka przyszłość? Więc samotny. Czasem najmuje kobietę do roboty, zdarza się taka nieudacznica. Przypomina mi Gerwazego - taki suchy, żylasty, wysoki, tyle że nie ma za kogo i na kim się mścić. Chyba że na sobie.

Czekał na nich przed domem - taki, jakim go opisała dziennikarka, wysoki, żylasty, Gerwazy bez wąsów, ze szczeciną kilkudniowego szarego zarostu. Przedstawili się sobie, przeszli do sadu, pod gałęzie drzew owocowych. Może się państwo czegoś napiją? Kwasu chlebowego? Nie, dziękujemy, jesteśmy po, zresztą pan sędzia nie ma czasu.

- Panie Stefanie - zachęcała Ania - niech pan opowie panu sędziemu coś o swoim sadzie.

- Te wiśnie... widzi pan? - a tam dalej jabłonie, trochę kwiatu powymarzało, trochę się uratowało - to widzi pan, one rosły u Ehrlichów.

Mike przyglądał się czerwieni traktora stojącego między drzewami, obsiadły go z furkotem kury i dziobały, pewnie znalazły rozsypane ziarno.

- Przyjaźniłem się z Zygą Ehrlichem - odezwał się wreszcie. - Tym, którego Waldek zastrzelił.

- Wiem, wiem. A jaki on był, ten młody Ehrlich? Jego nie pamiętam.

- Nie od razu dodał: - Tylko jego siostrę, Mirkę.

- Skąd te drzewa tutaj?

- Wykopałem je w ich sadzie i przewiozłem do siebie.

- Snopek panu pozwolił?

- Jeszcze on tam nie rządził. Był taki okres, bezpieczny, można

powiedzieć, że drzewka by zdziczały. Ja je uratowałem.

- Skorzystał pan na tym.
- Drzewo ma prawo żyć. Po to jest.

To by było zbyt proste - powiedzieć: a człowiek nie ma prawa żyć?

Banał. Pan Stefan przyznał:

- Skorzystałem.
- A kota pan ma?
- Mam dwa koty. A dlaczego pan pyta?
- Chyba pan wie. Bo Każko Butrym...
- Tu on nie przyjdzie - powiedział ponuro sadownik.
- Skąd pan wie? To wariat.
- Wariat też wie, gdzie może oberwać.

Przeszli do mieszkania. Duży stół, krzesła. Pod ścianą znieruchomiały stojący zegar. Kwadrans po dziewiątej. Kiedy zmarł na tej godzinie? I dlaczego ten samotny mężczyzna go nie uruchamia?

Mike spytał, wskazując na zegar:

- Ich?
- Nie. Wolfowiczów. Przyszedłem do nich, powiedziałem, że trzeba iść, że Kostek kazał, wie pan który, ojciec Waldka, to on, Wolfowicz, do mnie: Bierz to, Stefan, bierz, wolę, żebyś wziął ty.

- Dlaczego wołał, żeby pan?

Mężczyzna rozłożył ręce.

- Nie wiem. Może czuł, że we mnie nie ma zadowolenia. Nie wiem - powtórzył. - Dał mi jeszcze zegarek na rękę: Bierz, po co kto inny ma brać?

- Gdzie ten zegarek?

- Dałem synowi.

- Na komunię?

- No...

- Wiedział, czyj zegarek?

- Nie, skąd. Może później się domyślił. - Zafrasowany. - Nie widziałem syna od dłuższego czasu. Może wrzucił go do rzeki.

- Złościłby się pan na niego?

- Za to? Nie. Chyba nie. Chociaż rzecz to rzecz. Trzeba szanować. Ale ja bym się dziś nie zdziwił.

- A wtedy?

- Przecież wziąłem ten zegarek.

- Powiedział pan Wolfowiczowi: dziękuję?

- Nie wiem. Chyba nie. Może wziąłem tak, jakby mi się należało. Za ciężką pracę. Bo to była ciężka robota. Jak kopanie rowu. Ten pan Wolfowicz - może to pana zaciekawi - jak wychodziliśmy z domu, to on coś mrucał pod nosem. Chyba po hebrajsku. To pytam: co pan tak mamrocze? A on: Księgę Hioba. - Sadownik kiwał w zamyśleniu głową, potem powiedział: - Dobrałem

się do tego po latach.

- Do Księgi Hioba?
- Tak, do tego. Mam Pismo Święte, mam, chociaż ewangelickie.
- I co pan wyczytał?
- Że to się kończy dobrze. Hiob założył nową rodzinę, znowu się

wzbogacił.

- A ten pański Hiob zginął w płomieniach - to pan chciał powiedzieć?

- Zginął w płomieniach - to właśnie chciałem powiedzieć.
- Niepotrzebnie porównywał się do Hioba?

Sadownik nie odpowiedział. Kiwał tylko po swojemu głową i Mike zaczął podejrzewać, że przyswoił sobie taki tik. Spytał:

- Był pan przy stodole? Jak się pan tam czuł?

Słysząc tykanie budzika. Sadownik podszedł do znieruchomiłego stojącego zegara. Wpatrując się w zamaryły cyferblat, wydusił z siebie:

- Okropnie.

Dzisiaj tak myśli - czy wtedy też?

- Myślał pan: co ja tu robię?
- Nie pamiętam. Chyba nic nie myślałem. W głowie pustka.

Pamiętam, że chciało mi się pić.

- To dlaczego mówi pan „okropnie”?
- Bo to też. Coś okropnego.

- Panie Stefanie - odezwała się dziennikarka - niech pan opowie o Mirce. Niech pan słucha, panie sędzio.

Gospodarz siadł przy stole, wsparł głowę dłońmi.

- Mirka... - zaczął. - Była starsza od pańskiego przyjaciela. Miała lat z dziewiętnaście. Nic, tylko za męża iść. Piękna dziewczyna. Nie było jej w domu, kiedy przyszli po Ehrlichową, ukryła się pod miasteczkiem. A pan wtedy wyprowadził swojego przyjaciela.

- Nie udało się - przypomniał Mike.

- Nie udało się. Waldek was gonił, wiem. Wracalem do domu polem, zmęczony, prawie słałem się na nogach, kiedy, patrząc, biegnie mi naprzeciw ta Mirka. Włosy zmierzwiłone, są w nich kłoski, oczy jak u szalonej. Ja krzyczę: dziewczyno, dokąd ty? schowaj się! A ona: ja chcę do mamy, do Zygmunta! Już po nich - mówię - możesz się uratować, wracaj skąd przysłaś! A ona buch na kolana. Panie Stefanku, niech mnie pan zastrzeli, błagam pana, ja chcę do mamy! Ja na to: coś ty, rozum straciłaś? Możesz żyć! Szkoda takiej fajnej dziewczyny!

- Pan powiedział to inaczej - stwierdził bez wahania Mike.

- No tak, powiedziałem inaczej, byłem prostytutką, chamowaty.

Przychodziło mi czasem na myśl, że gdybym powiedział delikatniej, mądrzej...

A ona: Stefan, błagam cię, zrób to dla mnie, ja chcę z mamą, przecież ja

i tak umrę, moja ostatnia prośba, to się liczy, masz przecież pistolet, strzelaj.

- Płakała?

- Chyba nie. Wyjąłem zza pasa pistolet i strzeliłem w samo serce. Żeby się nie męczyła. Odciągnąłem ją ze ścieżki na bok, ułożyłem w życie, nogi miała obnażone aż dotąd, to ściągnąłem jej za kolana suknię. W nocy podjechałem furmanką, rzuciłem na wóz, kobyła zachrapała - wie pan, koń, jak niezwyčajny, to nie lubi takiego ładunku. Zawiozłem ją na kirkut, wykopałem grób, pochowałem. Wszystko w tajemnicy.

- Dlaczego w tajemnicy?

- Nie pochwaliliby mnie za to.

- A księdzu pan się z tego spowiadał?

- Nie.

- Nie uważał pan tego zabójstwa za grzech?

- To był grzech. Mogłem nie zabić. - Po chwili. - Zabiliby ją tamci.

A ona chciała, żebym zabił ja. Nie mogłem odmówić. No powiedz pan: mogłem?

Ania powiedziała z gniewem:

- Mógł pan ratować.

- Ona chciała do matki. - Mówił wpatrzony w stół. - Często mam to przed oczyma: ona błaga - na kolanach - Stefan, moja ostatnia prośba. I ja strzelam. Nie odmówiłem. - Podniósł głowę. - A pan sędzia co o tym myśli?

Sędzia Murphy przybrał ton prawie urzędowy.

- Nie miałem takiej sprawy,

Na pożegnanie Mike zapytał:

- Pan wie, jaka jutro jest uroczystość?

Sadownik kiwnął głową.

- Wiem.

I to było wszystko. W samochodzie Mike zwrócił się do pani Ani:

- Wpisała go pani do księgi?

- Tak, zapisane.

- To dobrze. Świetny kawałek. Chętnie sobie poczytam.

- Dokąd pana zawieźć? - spytała Ania.

Mike spojrział na zegarek.

- Na plebanię. Mam tam spotkać jakąś Ilanę, dawniej Frajndlę. A wie pani, Pawełek, ten nieudany samobójca, miał trochę racji. Przekonywałem go, że nikt z nich tutaj nie chciał skończyć ze sobą. No i co, pani Aniu? To ja się myliłem.

9

- Miszka! - zawołała kobieta i rzuciła się ku niemu. Uścisnęła go kościstymi ramionami, odurzyła zapachem mocnych perfum i wielokrotnie obcałowała. Tak całowała mnie, na mokro, moja babcia, nie lubiłem tego ślinienia się. - Miszka, niech cię nie znam! - wykrzykiwała, trzęsąc

w podziwie głową udekorowaną granatowymi lokami. - To ty, w *samom diele*? A wiesz, że ja się w tobie podkochiwałam? Nie w tobie jednym, nie myśl sobie. Frajndla jestem; od Wajnsztajnow, potem byłam Franciszka, potem znowu Frajndla, a potem Ilana i przy Ilanie już zostałam, łatwe do wymówienia, dobre na wszystkie języki. Wajnsztajnow już nie ma, tylko ja, mieliśmy sklep żelazny, może pamiętasz, i wszyscy - jak ich nazwać? - wieśniacy, tak - wszyscy się u nas zaopatrywali, a jak nie mieli gotówki, to na kredyt, grabie, gwoździe, haki, siekiery, kilofy, czy ja wiem, co jeszcze. Zamki, kłódki, zasuw, zawiasy ze śrubkami. Trochę się na tym znałam, bo prowadziłam ojcu rachunki, wtedy się mówiło buchalteria. On był litwak - wiesz, co to litwak? - z Rosji, z przesiedlenia, a ja czytałam po polsku, *Hrabiego Monte Christo* czytałam i od tego pewnie wciąż byłam zakochana, nic, tylko romanse i westchnienia, i taka byłam nieszczęśliwa - ach, Boże mój kochany, jak mi było z tym dobrze. A ty nawet mnie nie pamiętasz, no tak, miałam trzynaście lat, nawet i to nie, kiedy to wszystko tutaj... *when it happened, you understand, I hope*. Niech ksiądz zaświadczy, ksiądz wie! W księdzu zresztą też się podkochiwałam - co to był za mężczyzna! - można *skazat'*, *mużczina* jak należy. Ale ksiądz! - *sztopodiela-jesz?* Powiedziałam „był”, bo tak wypada, a przecież jeszcze teraz mógłby zawrócić w głowie dziewczynie, szczególnie jakiejś zwariowanej Żydówce, *a my-szygene*, tylko skąd wziąć teraz zwariowane Żydówki, nie ma ich już, jestem tylko ja - ksiądz się śmieje, no i bardzo dobrze, o to mi chodziło. Miszka, niech cię nie znam, jakie ty masz piękne srebro we włosach - jak w reklamie dwa w jednym - byłeś szatyn, prawda? Odstąpiłbyś tej farby. A Michalina, gdzie Michasia? Ksiądz mi wybaczy, ona tu najważniejsza!... Gdyby nie ona...

- Nie myli mnie pani z moją siostrą? - spytała księża gospodyni, wtaczając się z półmiskiem, na którym pachniał ostro i kusząco śledź z cebulką. Miała być ryba po żydowsku, usprawiedliwiała się później gospodyni, ale najście Frajndli (Franciszki, Ilany) było tak nagłe, że nie zdążyła przygotować.

- Czy ja mogłabym panią Eulalię z kimkolwiek pomylić? - oburzyła się Frajndla. - Takiej drugiej osoby jak twoja siostra nie ma w całym wszechświecie, *in di gance welt*, czyli, jak mawiał mój ojciec litwak, *wo wsiej wsielennoj*. Ale to pani - przepraszam, ty - ty nas do niej poprowadziłaś, mnie i mamę, to twoja robota, Michasiu, i jeśli coś nie tak, to *pienij na siebia*.

Ksiądz nalewał zmrożoną wódkę do małych, rzeźbionych kieliszków.

- Pani wybaczy, Ilano. Ale skoro śledzik... Nie bardzo mi wolno, ale... taka okazja.

Ilana uniosła kieliszek, oglądając go pod światło.

- Piękna rzecz - zachwycała się. - Kryształ. Trochę się na tym znam, bo moi dziadkowie, ze strony matki, handlowali szkłem z dziada pradziada.

- Czeskie - poinformował jakby mimochodem ksiądz Ziemowit. -



Kupiliśmy je niedawno, prawda, Michasiu? W jeszcze państwowym sklepie. - Najwidoczniej czuł potrzebę podkreślenia tego. - To jak, Ilano? Za twoje przybycie. I za jutrzejszą uroczystość. Jak to mówią: oby nam-się. *Lechaim!* - *Lechaim!* - zabrzmiało chórem. Zrobiło się podniośle.

Po śledziu, indyku z borówkami, serniku z rodzynkami, po trzech kieliszkach wódki, Ilana, poproszona o to przez księdza Ziemowita, przesiadła się na fotel i sącząc hennessy (które sama na plebanię przywiozła), uznała, że może przemówić. Że to jej czas - i tylko jej.

- No to posłuchaj, Miszka, jak naprawdę było. Jeśli ksiądz chce się zdrzemnąć, to proszę bardzo, ksiądz to wszystko wie, może nie wszystko - bo kto wie wszystko? - może Najwyższy, jeśli chce mu się wiedzieć, przepraszam księdza za te słowa, będę hamować swój jęzor. - Dodała ze śmiechem: - Jeśli mi się uda. - Odstawiła pusty kieliszek. - Ja muszę mieć wolne ręce, jak mam coś opowiedzieć. Pamiętasz, Miszka, takie żydowskie powiedzenie: szkoda rąk do gadania? Nie, ty nie możesz tego znać, pan Ehrlich na pewno tak nie żartował. No to to było tak. Michasia zaprowadziła mnie do swojej starszej siostry, do pani Eulalii i mówi: przechowaj moją przyjaciółkę.

- Czekaj, to trochę nie tak - zainteresowała księża gospodyni. - Najpierw była u nas z tobą twoja mama. I mówi: pani Nowakowa kochana, ratujcie moją córeczkę, co ze mną będzie, to będzie, ale niech chociaż dziecko przeżyje - tak mówiła, pamiętam - przecież ono nie zdążyło pożyć. I wciska tacie jakieś pieniądze. Tata mówi: wezmę, bo może będzie trzeba coś kupić; moja mama: wstyd brać, tata: to nie dla nas, dla Eulalii, u nas nie przeżyje, i do mnie tata: leć z nią do swojej siostry, dwie gówniary przebiegną uliczką, wesolutkie, tak, Michasiu, udawajcie wesołość, może nikt nie zwróci uwagi. Tak było? - spytała księża gospodyni.

- *Genau* - powiedziała pani Ilana. - Wiesz, Miszka, jest taka opowieść, chyba w Talmudzie, jak mędrcy dyskutują, co w życiu człowieka jest najważniejsze. Jeden mówi: pieniądze, drugi: zdrowie, trzeci, wyobraź sobie: dobre serce, ale jeden powiedział: dobry sąsiad. *Szochen tow* - tak to brzmi po hebrajsku. Sąsiad! Niezłe, co? Nie każdemu z sąsiadem się udało, ale mnie tak - pan Antek i pani Eulalia, dobrzy sąsiedzi. Pani Eulalia, siostra Michasi, od kilku lat mężatka, znowu z brzuchem, miała już dwoje maleństw. Dobrze, mówi, zostaw ją. Ale potem do męża, pana Antka, sporo od niej starszego, tak: Antek, co zrobimy, przecież już jest ten Sowiet... Jaki Sowiet? - myślę i słyszę, jak pan Antek mówi: No to co; jest Sowiet, będzie i Frania. Z tym Ruskiem to było tak. Jest haratanina, Niemcy napierają, słyhać czołgi, a tu wbiega do obejścia taki Wańka - tak go od razu nazwali: Wańka, i już zostało - wchodzi spocony, rozchełstany, bez broni, widzi panią Eulalię i prosi: *mamasza*, pić, daj pić, *radi Boha*. Wypił chyba z pół wiadra wody, *spasibo*, chce odejść, a wtedy pan Antek: *ty kuda?* Przedrę się do swoich. Nigdzie się nie przedrzesz, już wszędzie są Niemcy. To co mam zrobić?

Przechowamy cię - mówi pan Antek - na razie się ukryjesz, a potem zobaczymy, może się coś odmieni. I zaczął pod chlewikiem kopać schowek z tunelem, żeby było wyjście na ogród, pod kopiec z kartoflami. Wańka mu w tym pomagał. Był

Sowiet, a teraz zwałiłam się ja. Nie ma co, trzeba poszerzać ten schowek. Pani Eulalia drapała się w głowę: Będą tam razem? A będą - odpowiada pan Antek. Chłop i baba? Jaka baba, on na to, przecież to dziecko. Dziecko dzieckiem - na to pani Eulalia - a co trzeba, to już ma; żeby tylko do grzechu nie doszło. Najważniejsze, żeby przeżyła - pamiętam jak dziś słowa pana Antka - bo jak zginie nieochrzczona, to będzie skazana na wieczne męki. Pani Eulalia do mnie, mrugając: słyszałaś? Kiwam głową: słyszałam. A pani Eulalia: niech mu będzie, najważniejsze, żebyśmy cię mogli przechować. Przyniosła mi duży kawał chleba i kwartę parzonego mleka - i dobrze, bo nie jadłam chyba od dwóch dni. A potem układaliśmy, jak to będzie wyglądać, kiedy na dwór, za potrzebą, odetchnąć powietrzem, poruszać nogami, jakie sygnały - żaden sztab tak drobiazgowo bitwy nie opracowuje jak ludzie, którzy mają kogoś przechować. Ale zaraz wszystko się skomplikowało.

- Dlaczego? - spytał Mike.
- Bo pojawił się ten Niemiec.
- Zdążyłaś się ukryć?
- On był ranny. Przywłókł się do zagrody i padł. Zemdlął.
- I co z nim zrobiliście?
- Pani Eulalia go opatrzyła. Rana w udo, groźna, dużo krwi stracił.

Pani Eulalia zrobiła jakieś bandażę - i do mnie: zajmij się nim. Ja Niemcem? Na to ona: Niemcem nie Niemcem, zająć się trzeba. Kilka dni leżał u nich w izbie na ławie ten Dieter - tak miał na imię - a ja musiałam mu opatrunki zmieniać. Jasnowłosey, niebieskooki, rasowy. Okaz. Wolałabym go udusić. To przez nich to wszystko, wszystkie nasze nieszczęścia, nasze trupy. Z tydzień chyba to trwało. No i ten wreszcie się dźwiga, kuśtyka, i mówi: *Auf Wiedersehen*, dżenkuje. A Antek: Dokąd ty? *Zuruck, Gruppen*. Jakie *Gruppen*? *Artillerie*. Coś ty? - na to pan Antek. - Oni dawno są za Zbruczem, Zbrucz, Ukraina, fersztanden? Ty jesteś dla nich de-zertir, fersztanden? Oni ciebie erszissen. Pokazał na palcach strzelanie. Pif-paf i kajn Dieter, tod, fersztanden?

Dieter milczał. Co miał z sobą robić? Jest wojna, *Krieg*, on jest żołnierzem, on musi, nie może się gdzieś tu kręcić na tyłach. A pan Antek: I po cholerę ci ten przeklęty *Krieg*? Po cholerę ci ten Hitler? Zostań tu, przechowamy cię. *Hier mit uns*. Przechowujemy Sowietów - mówi do pani Eulalii - to przechowamy i Niemca. Będzie miał Hitler jednego żołnierza mniej. Klepnął Dietera po ramieniu. *Mit uns*, tak? *Ja, ja* - na to Dieter. I obaj się zaśmiali, nie kłamię, niech jutrzejszego dnia nie doczekam, jeśli się nie zaśmiali. I o zmierzchu zaczęli znowu, pan Antek i Wańka, bo Dieter do

roboty jeszcze się nie nadawał, poszerzać schowek.

Mike roześmiał się:

- Jeśli teraz mi powiesz, żeście przygarnęli jeszcze Francuza i Anglika, to będę pewny, że zalewasz.

- Nie, na tym się skończyło. Sowiet, Niemiec i Żydówka. Zaraz o tym będzie, chwileczkę, nie łap

- to nie makaron. No tak, nie znasz tego powiedzenia (domyślam się, o co chodzi - wtrącił Mike), domyślasz się, dobrze. Bo któregoś dnia, kiedy ten tunel nie był jeszcze wykończony, pani Eulalia widzi, a tu zbliża się takim policyjnym krokiem Waldek ze strzelbą, buty z cholewami, pas z tą - no, jak to się nazywa, takie przez ramię - koalicyjka, my z Wańką do stodoły, pod siano, a Waldek wchodzi do sionki i wrzeszczy: Gdzie ten Sowiet? Jaki Sowiet? - dziwi się pani Eulalia. Był tu u was Sowiet, bolszewik, ludzie widzieli, jak wchodził - gdzie jest? Był i się zmył, poszedł sobie, na to pani Eulalia. Zobaczmy! I Waldek wdziera się do izby. A tam zza stołu dźwiga się Niemiec, jasnowłosy nordyk w mundurze artylerzysty, prostuje się i groźnie coś mówi. *Mensch, was machst Du hier?* Pan Antek drwi: masz pan, panie Butrym, swojego bolszewika - podoba się panu? Butrym błąd jak ściana bąka: przepraszam

- ty, Eulalia, jak po niemiecku przepraszam? - Nie wiem, powiedz pardon i zmykaj. Pardon! - mówi Waldek, prostuje się na baczność i salutuje. A nasz Niemiec pokazuje mu drzwi: *los, los*. To bydlę zrozumiało i wycofało się, cały czas salutując. A pan Antek wyszedł za nim i jeszcze mu przygadał: A na przyszłość, panie Butrym, jak się pan pojawi, to zanim zacznie się pan wydzierać, proszę łaskawie powiedzieć: Niech będzie pochwalony... Tak to nasz Niemiec naszego Sowietu uratował. No i mnie.

Ciasno nam było w tym schowku pod ziemią, za niski był, nie dało się stać, wstawiono dwa krzeselka i ławeczkę, na której kładliśmy się na zmianę, żeby rozprostować kości. Dieter i Wańka bardziej się męczyli, bo długie chłopcy, dla mnie ławeczka była w sam raz. I ja na niej najwięcej leżałam, bo nie wiem, co oni sobie wbili do głowy, ale zachowywali się jak rycerze wobec damy.

- Albo mężczyźni wobec smarkuli - wstawił sędzia.

- Tak myślisz? Może. Ja, kiedy Wańka leżał, to siedziałam na krzeselku obok Dietera, i wtedy kuliłam się w sobie, żeby, broń Boże, Niemiec mnie przypadkiem nie dotknął, wciąż sobie mówiłam: to Niemiec, przeklęty Niemiec, wróg, zbrodniarz, nie chcę odczuwać jego łokcia, nawet skarżyłam się pani Eulalii, że ciarki mnie przechodzą od takiego dotknięcia, a ona: ci... Franiu, ci... uspokój się, to nie na zawsze, przechowamy go, on nie strzela, nie zabija, potrzebuje naszej pomocy, ci... dziewczyno, to się powoli przyzwyczajałam, nie musiałam sobie perswadować, że nie wróg, że człowiek, towarzysz niedoli, to się działo bez jakichś rachunków, rozmyślań,

kiedyś tylko poczułam, że ten łokieć już mnie nie drażni, że to nawet całkiem przyjemne, kiedy go czuję, jakiś ciepły prąd, nawet dreszcz, przepraszam księdza, chyba się we mnie kobiecość budziła, przepraszam księdza, chociaż w takich warunkach to z tą naszą kobiecością różnie bywa, czasem się spóźnia, po dwóch latach zbliżyliśmy się do siebie, zostaliśmy parą, w tym schowku to nie było łatwe, ale nie o to chodziło, o bliskość, a to że niełatwe... - Machnęła lekceważąco ręką. - Jakoś dawaliśmy sobie radę, możecie mi wierzyć na słowo. Niemcy uciekają, Sowieci ich gonią, wychodzimy z naszego smrodu, ja panna jak się patrzy, chociaż przez te lata nic nie urosłam, siedzimy w izbie przy stole, narada - ale bez Wańki, on poszedł szukać swoich; czym się to dla niego skończyło, Bóg raczy wiedzieć, pół biedy, jeśli kompanią karną - no to, jak mówię, narada, a pan Antek: uciekajcie wojskową ciężarówką do Białegostoku, bo ci dranie z Narodowego Hufca wyłapują Żydów, Butrymy się srożą, kary na nich nie ma, jakby wszystko im było wolno, a ty co zrobisz z tym Niemcem, Sowieci go złapią i ześlą do łagru. Z jakim Niemcem? - ja na to. Dieter będzie za Żyda, umie już jidysz, bardzo mu to dobrze idzie, włosy mu trochę przyciemnimy, skoczmy na sowiecką ciężarówkę, dwoje uratowanych Żydów - i do Białegostoku. I zaraz potem dołączyła do nas pani Eulalia z mężem i trzema córkami, bo Butrymy i na nich polowały, bito ich, ograbiono, strach było zostać. Udało się, tam już działały jakieś komitety, zaopiekowano się i nimi i nami, pan Antek pracował w budowlance, a ja pod koniec roku wywozłam mojego Dietera do Rostoku, stamtąd do Lubeki, do Hamburga, on jeszcze wciąż przez pewien czas udawał uratowanego Żyda.

- I co się z nim w końcu stało? - spytał ksiądz Ziemowit. - Wiesz coś o nim?

- Wiem. - Ilana się uśmiechnęła. - Oj, jeszcze jak wiem. Jest dziadkiem moich wnucząt.

Księża gospodyni rozszlochała się.

- Franiu, Franiu - powtarzała przez łzy. - Pobraliście się, tak?

- A jak? Amerykański wojskowy rabin dał nam ślub. Dieter rozdeptał szklanę, aż zadzwoniło, zupełnie jakby się na kimś mścił. Nie wiem, czy to wszystko było zgodne z prawem, ten oficer też nie wiedział. Przedostaliśmy się do Palestyny - co to była za wyprawa! - i ja się zrobiłam Ilana. Ilana czy Frajndla, czy Franciszka - dla mnie to *ganc egal* - ja tak czy siak jestem Żydówka. Nie potrzebuję błogosławić świec, modlić się, pościć, ja pamiętam, że nikomu to nie pomogło, jestem Żydówka tu w środku, bo - jestem i już. Czy ktoś, przepraszam księdza, kto nie chodzi do kościoła i nie lata ze święconką, przestaje być Polakiem? Ta polskość w nim jest i on to czuje albo jej w nim nie ma i on jej nawet nie chce, nie lubi. Dlaczego z Żydem ma być inaczej? No pewnie, że jest trochę inaczej - wiadomo, naród wybrany, wybrany po to, żeby mu nie brakło curesów, to znaczy zmartwień - jest inaczej,

bo jak powiedział pewien mądrała Francuz, Żydem jest ten, kogo inni uważają za Żyda. Albo go rasiści Żydem mianują, bo im taki jest potrzebny. Ja uważam, że ten, kto Żyda nie idealizuje, nie musi być antysemitą. Goj jest daleki od antysemityzmu wtedy, kiedy zgadza się na to, że Żyd ma prawo robić takie same świństwa jak każdy inny Europejczyk. Miszka, co ty na to?

- Szkoda rąk do gadania - powiedział Mike i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Dla mnie moja osobowość to nie był problem, z Dieterem mogło być inaczej - nie wiem, on mi się nie zwierzał. Dieter nie zmienił imienia, ja byłam w kibucu, w ciąży, a on zgłosił się do armii izraelskiej, do Cahalu, tym razem wyszkolono go na czołgistę, koledzy jego jidysz nie rozumieli, ale po polsku, owszem, to jakoś z nimi szło, on tylko krępował się w łaźni - Miszka, ty domyślasz się, o co chodzi - brał udział w kampanii na Synaju, znowu go raniło i pewnie znowu nie zabrakło młodej pielęgniarki, no i na zdrowie, a potem wyjechaliśmy z Izraela, bo Dieter odziedziczył mały browarek pod Kolonią, ja ten interes rozkręciłam, okazało się, że mam głowę do interesów, daj Boże każdemu Żydowi. Zgodny z prawem czy niezgodny - mówię o naszym ślubie - ale są dzieci, są wnuki - wie ksiądz, te paczki dla pani Eulalii to były od tych wnuków i to one zaprosiły ją do Ameryki. Rodzina jej się rozrosła, bez uroku: ona miała swoje wnuki i nasze wnuki, nasze lepsze, bo one wiedziały, za co ją szanować. Pewnie dlatego u moich mieszkała na Florydzie do śmierci. On tu jutro będzie.

- Kto?

- Dieter. Głuchy jak pień, łysy jak kolano, porusza się na wózku, ale jak się porusza - jakby to było ferrari albo bugatti. Dzisiaj przylatuje do Warszawy z panią pielęgniarką. Marianna, góralka. Dobrze, co? On miał zawsze szczęście do pielęgniarek.

Zaśmiała się, i wtedy, jakby tym śmiechem to wywołała, usłyszeli sygnał samochodu.

- To po mnie - powiedziała Ilana. - Taksówka z Warszawy. Ksiądz wybacz. Zobaczmy się jutro. *Adieu!*

Michalina podała jej kapelusz z ogromnym, przyozdobionym kwiatami rondem. Mike przyglądał się, nie ukrywając podziwu.

- Podoba ci się? - Uradowana Frajndla przeglądała się z upodobaniem w nieoświetlonym lustrze. - Jutro będę w nim na uroczystości, a potem mogę ci go podarować. Dla twojej czarnej żony. Nie dziękuj - ty wiesz, ile ja mam takich kapeluszy? Wiesz ile?

- Domyślam się. Frajndla, a po diabła się tak obsypałaś tą kosztowną biżuterią? Nie mogłaś trochę skromniej?

- Skromniej? Gadanie! Po co? Niech patrzą i pękają z zazdrości.

*Bye-bye!*

Został po niej zapach perfum, a prócz tego Mike'owi wydawało się, że

w komnacie jest tłoczno od jej opowieści, że wciąż tu są ci niezwykli ludzie, o których wspominała.

- Ja ją ochrzciłem - odezwał się ksiądz Ziemowit.

W kuchni Michalina dzwoniła naczyniami.

- Nie wspomniała o tym - zauważył Mike.

- Bo dla niej to nic ważnego nie było. Jeden kamuflaż więcej, na wszelki wypadek. Co innego dla mnie. Przyszedł do mnie Antek i mówi: niech ksiądz pozwoli do nas, niech ksiądz zabierze ze sobą wszystko, co trzeba, musi ksiądz kogoś ochrzcić. Czy to ktoś umierający? - pytam. A on: Zobaczy ksiądz. Przemykamy się na tyłach ogrodów do jego obejścia. Prowadzi do stodoły, a tam zrywa się z siana właśnie ta dziewczyna, Frajndla, czarnowłosa, starannie uczesana, chyba przez Eulalię, bo skoro chrzest, to ma wyglądać porządnie, oczy ma to dziewczę opuszczone, ale ja wiem, że czarne, oczy, które zdradzają. Stoi z pochyloną głową, a Antek mówi: Proszę księdza, trzeba ją ochrzcić. Niby dlaczego? - pytam. - I co jej matka by na to powiedziała? Bo widzi ksiądz, ona na pewno zginie, a jak zginie nieochrzczona, to nie pójdzie do nieba. No, myślę, skoro on w to wierzy - niebo, piekło i tam dalej - to ja ksiądz, który go w pewnym stopniu o tym przekonałem, nie mogę być gorszy. Ale trochę się jeszcze buntowałem. Stawiasz mnie, Antek, w przymusowej sytuacji. Bo taki mamy czas, proszę księdza, mus to mus. Dokonałem obrzędu. Dałem imię: odtąd będziesz Franciszka. I wróciłem na plebanie, rozmyślając. Antek szedł kilka kroków za mną, dla ostrożności, Frani, jak zauważyłeś, to nie obeszło. Ale ja... Od tego się zaczęło.

- Co się zaczęło? - spytał Mike.

Ksiądz nie odpowiedział. Obracał jeszcze chwilę kartkami z wydrukiem faksu od biskupa.

- Zrobisz coś z tym? - spytał Mike.

- Jeszcze się zastanawiam. Choćby dlatego, że on właśnie się wypowiedział. Jeśli Żydzi będą wokół Cheremca hałasować, to Polacy zaczną bić na odlew.

- Język bojówkarza.

- Co, co powiedziałeś?... Nie słyszałem. Jego poprzednik w diecezji, przedwojenny, ogłosił kiedyś list pasterski, że dziewczętom nie wolno ćwiczyć w kostiumach gimnastycznych. Bo to gorszące.

- Chyba przegrał - domyślił się Mike.

- Przegrał. Gołe nogi zwyciężyły. Ojcu Świętemu, wielkiemu miłośnikowi sportu, jemu do głowy by nie przyszło zajmować się czymś takim. A teraz na stadionach lekkoatletki całemu światu pokazują swoje pępki, podobno obowiązkowo.

- A ty co na to?

- Niektóre wyglądają całkiem estetycznie. - Ksiądz Ziemek

zachichotał. - Z młodością się nie wygra.

Mike czytał faks.

- Jak widzę - powiedział - kończy się przypomnieniem, że Chrystus naucza miłości bliźniego. To akurat mógłbyś powtórzyć.

Ziemek wyrwał mu kartki z ręki.

- Nigdy nie mówię o miłości bliźniego! Od lat. Nie pamiętam już, kiedy przestałem.

- Co ci szkodzi?

- Bo wiem, co to jest warte. Zwłaszcza tutaj, w Cheremcu. Obaj wiemy. Paplanina. Coś niby hasło wyborcze. Obietnica bez spełnienia. - Czuło się, że miał ochotę podrzeć te kartki, ale nie zrobił tego, odsunął je tylko niecierpliwie od siebie. - Zdarzało mi się słyszeć, jak zapienieni od nienawiści kaznodzieje pouczali właśnie o tym, o miłości. Zupełnie jakby wykrzykiwali: miłujcie bliźniego, łajdaki, bo jak nie, to pełen miłosierdzia Pan dobierze się do was! Jak u Gałczyńskiego: „Kochajcie, dziewczęta, wróbelki, kochajcie, do jasnej cholery...” Śmiejesz się.

- Chyba jakoś o tym mówić trzeba.

- Nie mówić. Czynić. Tak jak ty tam, u siebie - orzekając.

- Bez przesady. Zresztą, dylematy, przed którymi tam stoję, są inne.

Trochę jakby niezupełnie moje. To tutaj nie czuję się w porządku.

Zapada milczenie. Wreszcie ksiądz:

- Wszystko na miarę ludzką, Mike, tylko ludzką, nie herosa. A co ja mam powiedzieć? Księdza tam nie było. - Po chwili: - Ale i Boga nie było. Odwrócił się. Jemu też zabrakło odwagi.

Szukał czegoś wokół siebie niewidzącymi oczyma. Mike domyślił się, podał mu szklankę z wodą mineralną. Ksiądz trochę wypił, zwrócił sędziemu szklankę, ten spytał:

- Lepiej?

Ksiądz kiwnął głową.

- Cóż ja? Pokorny sługa swoich parafian. Na więcej mnie nie stać i więcej oni nie potrzebują. Chociaż... może się myłę.

- Na pewno się mylisz - powiedział Mike. - Jest wielka różnorodność ludzkich egzemplarzy. Ale nie w tłumie - w tłumie tracą suwerenność. Po rozpadnięciu się tłumu - wracają do siebie. Często zdumieni sobą.

- Powiem ci coś, panie sędzio, w najgłębszej tajemnicy - jeśli do niej nie dotarłeś sam: mordują ci, co lubią mordować. Lubią zadawać śmierć, lubią huk wybuchów, płonące samochody, rozwalające się domy. Jest to dla nich samospełnienie, w pewnym sensie - nie zrozum mnie źle - akt seksualny.

- Jak ty to wszystko znosiłeś? - zdumiał się sędzia. - Tyle lat!

Ksiądz Ziemowit obruszył się.

- A kto ci mówił, że znosiłem? - Odczekał, żeby powiedzieć: - Nie będę się uzalał nad sobą. Nie zasłużyłem na to.

Mike dźwignął się z miejsca.

- Wymęczyliśmy cię - powiedział.

Ksiądz odprowadzał go do furtki, całkiem rześki.

- Powiem ci coś na ucho, tylko mnie nie wydaj: ja się zdążyłem chwilę zdrzemnąć, kiedy Frania tak gadała. I chcę ci jeszcze powiedzieć, że czasem można by pęknąć ze śmiechu, gdyby to nie było takie groźne.

Przy furtce zatrzymali się. Ksiądz Ziemowita zaniepokoił widok mężczyzny żującego trawkę po drugiej stronie uliczki, wydawało się, że na kogoś czeka albo kogoś obserwuje.

- Zdaje się, że ten osobnik na ciebie czyha - zauważył.

- Ten osobnik uparł się, że będzie mnie chronić.

- Kto to jest? Znam go?

- Znasz. To syn Waldka Butryma.

- Chyba go nie widywałem w kościele. Jest w stanie cię chronić?

- Ma pistolet.

- Oho ho, prawdziwy bodyguard. Lepiej, żeby go nie użył. Do jutra, Michałku.

- Do jutra.

Mike bez pośpiechu podszedł do Bola.

- Dziękuję ci za towarzystwo - powiedział na przywitanie. - Ale chyba mi nic nie grozi.

- Nie wiadomo - odpowiedział jego bodyguard. - On koniecznie chce się z tobą zobaczyć.

- A ja z nim. Tak, ja też. Do spotkania dojdzie. I najlepiej bez świadków.

## 10

Po obiedzie, który Gustaw sam zrobił z jakichś odgrzewanych wczorajszych resztek i który mu nie smakował - jadł, bo jeść trzeba, skoro nadeszła pora obiadu, córka by nakrzyczała, że się zaniedbuje, i kto wie, czy nie ma gdzieś tu jej oczu, słyszy ją niemal: Tato, zjedz wreszcie coś porządnego - otóż po tym byle jakim obiedzie poczuł, że mięśnie zmęczone krzątaniną na cmentarzu są obolałe, nic dziwnego, dawno nie ćwiczył, powinien się położyć, odpocząć. A może jednak poćwiczyć - Wisienka by mu tego nie darowała. Zanim popadła w swoją galopującą chorobę, biegali razem, prawie codziennie, robił to dla niej, bo on sam z joggingu sobie kpił, ale ona śmiała się: dzięki mnie jesteś w dobrej formie - i co z tego? - bieganie ani o jeden dzień nie przedłużyło jej życia. Gdyby nie ten urząd, przyznawał w duchu, gdyby nie ta konieczność przychodzenia do biura w czystej koszuli i w krawacie, zaniedbałbym się całkowicie, byłbym co najmniej nieschludny... Przypomniał sobie przyjaciela - tak o Tymonie mógł mówić: przyjaciel - utalentowanego scenografa, który, opuszczony z dnia na dzień przez żonę, ratował się



przed depresją pedantyczną dbałością o wygląd zewnętrzny, dbałością staroświecką, wszystko miał na sobie w najlepszym gatunku. I wciąż mu się zdawało, zwierzał się, że ona go podpatruje i myśli sobie: drań, elegancki, nic go to nie obeszło! To by się zgadzało z tym, co chyba Ortega Gasset twierdził, że zakochany odczuwa stałą obecność ukochanej, także tej - a może przede wszystkim tej - która nim wzgardziła. Wszystko, co robi, to dla niej - i przeciw niej. Staralem się, mówił Tymon, błysnąć jakimś niezwykłym rozwiązaniem scenicznym, ona to zobaczy, myślałem, będzie podziwiała. (Nie wziął pod uwagę, że jeśli ktoś podchodzi do czyjejs pracy z uprzedzeniem, nie ma prawie możliwości, by wzniósł się ponad swoją niechęć.) Ale nigdy na żaden mój spektakl nie przyszła, nigdy nie dała znaku życia. Gdyby jednak wróciła, gdyby powiedziała, stojąc w drzwiach: oto jestem, mówił, przyjąłbym ją, powiedziałbym: bądź ze mną, zostań, taka jaka jesteś, ze wszystkimi słabostkami, z twoją próżnością, pewnością siebie, złośliwymi uwagami, na które spoglądałbym bardziej pobłażliwie, może nawet z rozczuleniem. Nie przyjdzie. Obrażona, bo zawiniła. Gustaw wspominał przyjaciela i myślał: współuczestnictwo - to jest to, co wyczuwałem, będąc z Wisienką. Nie rozprawiała, nie częstowała słowami, ale czułem się tak, jakby mówiła: jestem z tobą, cieszę się, kiedy ci się powodzi, kiedy mówią o tobie dobrze, martwią mnie twoje porażki, pamiętaj: jestem przy tobie. Nie ma jej przy mnie. Nie śledzi mnie, nie odwiedza, czasem tylko we śnie. Jestem sam. Stał przed półką z książkami felczera Ehrlicha - same arcydzieła - i poczuł, rzecz dziwna, że na żadną nie ma ochoty. *Czerwone i czarne? Szkoła uczuć? Zbrodnia i kara?* Słowacki? Wydało mu się, że zna to na pamięć - a może naprawdę znał - nic nowego mu nie powiedzą. Obcować z genialnością? Pomyślał, że może lepiej obcować z kimś nie tak genialnym, a bardziej bliskim. Nie, to nie ich wina, to jego stan ducha, że ostatnio wszystko go niecierpliwi, nic nie karmi nieustannego głodu. Sięgnął po wybór opowiadań Lwa Tołstoja. „*Skolko czelowieku ziemi nado?*” Ile człowiekowi ziemi potrzeba? Czytał, leżąc z głową opartą na podniesionej poduszce. Stary naprawdę był genialny, pomyślał z ulgą, nareszcie coś sprawdzalnego, położył otwartą książkę na piersi i uspokojony przymknął powieki.

Kiedy się obudził, było jeszcze widno. Przemyć twarz, wypłukać usta. Zaparzyć herbatę. Właśnie tym się zajmował, kiedy usłyszał, że pod dom zajeżdża samochód. Pisk hamulców. Motor zgasł. Trzasnęły drzwiczki. Do mnie? Kto, u diabła? Zalał herbatę wrzątkiem. Delikatne pukanie do drzwi. Zawołał „otwieram” i otworzył drzwi.

Pani Maryjka. Chyba jakoś odmieniona. Przyciska do piersi biało-czarne futerko, coś niby mufkę, ale to przecież lato, początek lipca.

- Przyniosłam kota - powiedziała i rozwarła ręce. Kot zeskoczył, rozejrzał się, miauknął przymilnie, pewnie na przywitanie, i pobiegł do

sypialni, na tapczan, gdzie od razu zwinął się w kłębek. - Jest u siebie - powiedziała pani Maryjka i nadstawiła policzek. Gustaw pocałował. - Podoba się panu ten zapach? Dagmara mi dobrała. A to? - Dotknęła głowy.

- Podcięła pani włosy?
- Radykalnie. Niedobrze?
- Dobrze. Jest więcej miłej buźki.
- Dziękuję.
- Chociaż szkoda mi tamtej burzy na ciemieniu.
- Znudziła mnie.

Zrzuciła z siebie plecak. Doktor spostrzegł:

- Ukradła pani córce?
- Mój własny. Ma pan mleko dla kiciusia? - Nie czekając na odpowiedź, zajrzała do lodówki. - Jest. A ja mam dla niego kolację w puszcze.

Nalała mleka do spodeczka, wysypała gruzelki z paczuszki do miseczki. Kiedy się przy tym pochylała, pomyślał, popatrując na rozpychający spódnicę zad, że wygląda wcale ponętnie i że on nie może od tego widoku oderwać oczu i wszystko to razem wzbudza w nim falę ciepła, pożądanie i tkliwość zarazem. Coś się zaczyna, zrozumiał, coś się kończy.

- Kiciu! - zawołała ona i kot natychmiast zeskoczył z tapczanu, przybiegł i oddał się rozkosznemu siorbaniu. - A dla pana mam to - powiedziała, wyjmując z torebki nożyczki. - Ostrzygę panu te loczki nad karkiem. Musi się pan ich absolutnie pozbyć. - Podsunęła mu krzesło. - Proszę siadać i nie wiercić się zanadto. Ma pan coś w rodzaju grzebienia?

- W łazience.
- Znajdę. Herbatę może pan popijać.

Stojąc za krzesłem, nie przestawała podczas strzyżenia mówić.

- Czy ten kiciuś nie jest rozkoszny?
- Jest.
- Trzeba go jakoś nazwać. Ma pan pomysł?
- Mam. Kiciuś.
- To łatwizna. Ale miła - przyznała. - Ojciec jest panem zachwycony.
- Z wzajemnością - odpowiedział Gustaw.
- Gucio zawsze na poziomie.
- Co prawda nie bardzo wiem, skąd ten jego zachwyty.
- Ja też nie.

(Pomyślał: kiedy go słuchałem, wyczuwał zrozumienie; i dyskrecję, „jesteś największą pomyłką mojego życia”; ja nie komentowałem.)

- Mama po prostu oczarowana - powiedziała pani Maryjka. -

Kwitować pan tego nie musi.

- A panna Dagmara? - spytał Gustaw.

Maryjka roześmiała się.

- Oho, czego mu się zachciewa... Ona żyje w nieustającym zachwycie - wszystkim i wszystkimi.

- Szczęśliwa.

- Szczęśliwa - potwierdziła pani Maryjka. - Proszę powiedzieć, panie dyrektorze, jak ułożył pan sobie życie? Czy nikt się panem nie zajął? Ma pan przecież sekretarkę od podawania kawy.

- Asystentkę - sprostował Gustaw. Poskarżył się na nożyczki: - Szczypie.

- Przepraszam. Ta asystentka - na pewno piękna?

- Bardzo sprawna i oddana.

- Ale z problemem loczków się nie uporała.

- Całe szczęście. Jest zasadniczo lojalna. Donosi na mnie w sposób umiarkowany.

- Nie odpowiedział pan, czy jest piękna.

- Pięknej nigdy bym nie zatrudnił. Piękna - to od razu zapowiedź katastrofy.

- Jest pan nieodporny?

- One są nieodporne. Na siebie.

- Zgłaszały się takie?

- Zdarzało się. Bez szans. Nie tylko u mnie.

Zawołała:

- Ależ to dyskryminacja!

- Za wszystko w życiu trzeba płacić. Za urodę też.

Nagle kot odskoczył od miski i rzucił się ku schodom. Dopiero po chwili otworzyły się drzwi i ukazał się w nich zwalisty Każko Dusiciel, w skórzanej kurtce i ze sznurem, którym groźnie wywijał.

- Wyczuł nadejście wroga - szepnęła Maryjce Gustaw. Stała obok niego, nie wypuszczając z rąk nożyczek.

- Gdzie kot? - zachrypiał Dusiciel.

Gustawowi wydał się bardziej ponury niż ostatnio - patrzy złowrogo spod nastroszonych brwi, sznurem wywija leniwie i groźnie.

- Nie ma żadnego kota - odpowiedział Gustaw. - I dlaczego pan się wdziera do mojego mieszkania?

- Mieszkanie Snopków! - zakrzyknął Dusiciel. - I był w nim kot!

- Nie ma już kota, uciekł - odezwała się Maryjka.

- Ukrywacie go! Kota z żydowską duszą!

- To niech pan doniesie na żandarmerię! - krzyknęła. - No, śmiało.

Robił pan to nieraz!

- Sprawdźmy!

Dusiciel ruszył ciężkim krokiem w stronę schodów. Maryjka i Gustaw zatarasowali mu drogę. Maryjka pomachała nożyczkami.

- Popatrz, draniu! Popatrz na to! Gardło ci przebiję!

Dusiciel wycharczał kilka wyzwisk, a potem:

- Zobaczmy! Z drogi, żydowska ścierko, bo...
- Ciszej, ciszej - rozległ się spokojny męski głos. Bol Butrym. -

Obrażasz kobietę, powinieneś za to w pysk dostać.

Dusiciel obrócił się. Zobaczył wymierzony w siebie pistolet.

- Widzisz to? - spytał Bol. - Pójdiesz teraz z nami.

- Kino! - zakrzyknął oburzony Każko. - Z parabelką na własnego stryja! Z taką maszyną to jesteś mocny.

Bol wsunął pistolet za pas.

- Nie ma sprawy - powiedział. - Pójdiesz po dobroci.

- Najpierw załatwię tego kota.

- Najpierw mój Hubert ciebie załatwi. Synku, zajmij się nim.

Zanim chłopiec się przybliżył, Każko podniósł krzyk:

- Coś ty! Coś ty, Bolciu? Napuszczasz młodego na starca?

- Hubert, zostaw go - powstrzymał syna Bol.

- Zwiążę mu ręce - powiedział Hubert.

- Nie trzeba, Nie uciekniesz, Każku, prawda? Młody starego dogoni, tyle to i ty wiesz. Pójdiesz z nami cichutko i łagodnie jak owieczka.

Bol ujął stryja pod ramię i podprowadził do drzwi.

- Dokąd? - zaniepokoił się stary Dusiciel. - Dokąd ty mnie tak?

- Do Waldka. Niech on się z tobą rozliczy.

- Waldek... - zamruczał stary Dusiciel. - Co on wie? Czy on co widzi?

Jakby oczów nie miał!

Gustaw otworzył im drzwi i kiedy spoglądał za odchodzącymi, usłyszał narzekanie Każka:

- Nie mogę sobie z nimi poradzić, Bolciu. Nie mogę. Nie ma na nich rady.

- O kim mówisz? - spytał Bol.

- Ty wiesz o kim. Podły świat, Bolciu. Ja ci to mówię: podły.

Odpowiedzi bratanka Gustaw już nie słyszał. Zamknął drzwi.

Inspektor policji, który siedział z dwoma innymi funkcjonariuszami przy tym samym stoliku w kacie, przy którym kobieta handlująca miłością piła dwa wieczory temu herbatę, podniósł się z miejsca, gdy zobaczył, że do baru wkuśtykuje starzec o lasce, znany mu z komputerowego zapisu najstarszy z Butrymów.

Dwaj funkcjonariusze gotowi już byli zastąpić drogę starcowi, ale usłyszawszy, jak wykrzykuje: Miszka! Michaś! uśmiechnęli się pobłażliwie i na znak dany przez inspektora siedli. Inspektor, pomyślał profesjonalnie Mike, powinien zrzucić z brzucha parę kilogramów, dobrze by mu to zrobiło. Waldek, drobiąc scherlałymi nogami, szedł do stolika sędziego, wykrzykując:

- Michaś, jak pragnę zakwitnąć! To ty, nie? Kopę lat! - Wyciągnął przed siebie ręce i laska zakołysała się w powietrzu. - Chodź, kurde, chodź,

niech cię uściskam.

Mike, zupełnie jak w boksie, wysunął lewą prostą, by utrzymać przeciwnika na dystans.

- Bez uścisków, Herr Butrym. Nie wydaje mi się, by łączyło nas jakieś uczucie.

- Jak to? Nic nie łączy? - zdumiał się, a może nawet oburzył stary Waldek. - Zawdzięczasz mi życie!

- Ja - panu?

- A jak? Już nie pamiętasz?!

- Pamiętam, bądź pewny. Ani na chwilę nie zapomniałem.

- No? Przecież mogłem cię rąbnąć. Rąbnąłem? Nie! Żyjesz. Pytali mnie o ciebie: rąbnąłeś go czy nie? A należało ci się, sam wiesz dobrze. Mieli do mnie o ciebie pretensję, już nie pamiętam kto. Żyjesz! I jak jeszcze. Bogacz z walizką pełną dolarów. Świetnie wyglądasz, niech skonom. A popatrz, co się ze mną stało.

- Wciąż pan żyje.

- Żyję, dziękować Bogu.

- To pan z Bogiem jest w komitywie?

Starzec chyba nie dosłyszał. Zaskrzypiał:

- Były czasy, co? Czego ty tak się we mnie wpatrujesz? Nie rozpoznajesz?

- Rozpoznaję - powiedział Mike, wciąż usiłując przeniknąć, co się w tej mózgowicy dzieje. - Pan też nic się nie zmienił.

- Twoja mama przeżyła? Przeżyła! No widzisz. A chcieli się do niej dostać, żydowska służka, mówili, no i tam w ogóle, a ja: panowie, mąż w oflagu, oficer, no i odpuścili. Widzisz? A jak wyjeżdżała, to dom poszedł z dymem, taka zawzięta, chyba to nasz Józwa dla niej zrobił, za dwie butelki plus jakieś łachy po mężu. A ty tu czego? Uroczystości organizujesz, tak?

- Biorę udział.

- To ja ci powiadam, że kto w tym bierze udział, jest zdrajcą sprawy narodowej. A może chciałbyś, żebym i ja tam popełzał, poczołgał się na kolanach przed ich pomnikami, co?

- Specjalnie mi, panie Butrym, na tym nie zależy. Umarłym też wszystko jedno. Ale może by się to i przydało. Żywym.

- Stary Waldek na kolanach?

- Czemu nie? Jakies poruszające zakończenie. Akt desperackiej skruchy.

- Skruchy? Za co? Za co, kurde!

- Pańska ostatnia szansa. W obliczu śmierci.

- Jakiej znowu śmierci? Ja się na tamten świat nie wybieram.

- Nie znamy dnia ani godziny, panie Butrym.

- To ja ci mówię, że bez woli bożej włos z głowy nikomu nie spadnie. Jak zginęli w tym ogniu, to znaczy, że Bóg tak chciał.

*Jesus Christ*, to bydlę przypisuje sobie, że było narzędziem boskiej woli.

Mike odezwał się:

- Waldek, posłuchaj i zrozum mnie dobrze. Ja wcale nie chcę, żebyś ty się tam jutro pojawił. Mnie to do niczego niepotrzebne. Może to być potrzebne im. - Wskazał za okno. - Ale przede wszystkim tobie.

- Mnie? Czyś ty z choinki się urwał? To ja ci powtarzam, że mam to w dupie! Fersztanden?

Zabrzączał dzwonek nad otwieranymi drzwiami. Bol i jego syn, dzudoka Hubert, wepchnęli do baru Każka, dusiciela kotów. Inspektor i jego dwaj pomocnicy wstali i poprawili pasy na biodrach. Już nie siadali.

Bol dopchał Każka do stolika, przy którym Mike siedział z Waldkiem.

- Uspokój go! - zwrócił się gwałtownie do ojca.

- Włamał się do mieszkania doktora Wiernika.

- Pewnie był tam kot - domyślił się Waldek.

- Był, nie był - co za różnica.

- Pewnie, że żadna - na to stary ojciec. Wytarł wierzchem dłoni zwisające z nosa smarki. - Ty nas, Kazik, kompromitujesz - mówił, ocierając nos.

- Kurde, znowu kapie, co to ja chciałem, aha, że ty nas, kurde, kompromitujesz. Żeby rycerz narodowej sprawy uganiał się za kotami... Chyba ty nie masz w głowie po kolei.

Każko Dusiciel przyznał ponuro:

- Nie po kolei, Waldek, tak to jest, ja to czuję. Coś niedobrego się tu dzieje. - Dotknął głowy. - Oni wciąż mnie nachodzą.

- Ci tam? - Waldek wskazał na stojących pod ścianą policjantów.

Dusiciel potrząsnął głową.

- Nie, nie, skąd. Tamci.

- Jacy tamci?

- No wiesz. - Każko zniżył głos. - Żydzi.

- Żydzi? Oni cię nachodzą? Skąd ich wzięłeś?

- Są.

- I ty ich się boisz?

- Waldek, jak się nie bać. Stoją w kącie pokoju i popatrują.

A oczy takie. Jak latarnie. Nic z nimi nie poradzisz. Umarli. Nie ma na nich mocnych.

- Rozpoznajesz ich?

- No! Flinkierowa z dziećmi. Nic nie mówią, tylko wpatrują się we mnie. A ja mokry od potu. Dre-je, ten zegarmistrz, i jego brat, nauczyciel. Adam-sbaum z Adamsbaumową. Pamiętasz ich?

- Zwariowałeś - mruknął starszy brat.

- Pewnie zwariowałem. Ale oni mnie nachodzą. To nie jest w porządku, Waldek, mówię ci, to nie jest w porządku.

Policjanci zbliżyli się. Inspektor zwrócił się do Waldka:

- To pański brat?

- Brat. Bo co?

- Proszę wstać, kiedy pana o to pytam.

- Kurde, wstaję, o co chodzi...

- Butrym Kazimierz Ignacy?

- Zgadza się.

- Zabieramy go!

- A nakaz?

- Jest nakaz - powiedział inspektor. - Na czterdzieści osiem godzin.

Chłopcy, nie zapomnijcie sznura. - Zwrócił się do Bola: - Dowód rzeczowy.

Czterdzieści osiem godzin, a później jazda do Łomży na badania psychiatryczne. Zrozumiał pan? - spytał Kaźka.

- To ma być szpital?

- Szpital. Zamknięty.

- Fajnie. To może ta Flinkierowa się tam nie dostanie.

Inspektor odpowiedział poważnie:

- Wykluczone. - Zwrócił się do Mike'a: - Wszystko pod kontrolą, panie sędzio.

- Tego się spodziewałem - pochwalił Mike.

Inspektor zwrócił się do Waldka:

- A pana poproszę - to do Waldka - żebyś jutro nie opuszczał domu.

Nie chcemy żadnych kłopotów.

- Słyszałeś, Miszka? Nie mogę się pokłonić przed pomnikiem?

- Nie może pan - potwierdził inspektor.

- Kurde, w jakim kraju my żyjemy?

Inspektor pchnął leciutko Kaźka.

- Idziemy. - Dał znak policjantom. - Kajdanków nie trzeba.

Dusiciela wyprowadzono. Bol i jego syn usiedli przy oddzielnym stoliku. Mike zauważył, że pani Filomena, przyjmując zamówienie, uwodzicielsko uśmiechała się do Huberta. Kobiety handlującej miłością nie ma. Zajęta, domyślił się Mike. Spytał mordercy swojego przyjaciela:

- Zrozumiałeś, co się przydarzyło Kaźkowi?

- Zwariował. Głowa osłabła. U jednych łeb pracuje do końca, drugim wszystko się miesza.

- On podejrzewa, że to kara boża. Nie przyznaje się do tego, ale tak myśli.

- Zawsze był durny. Bez charakteru. I gdyby nie ja...

- Waldek, nie boisz się potępienia?

- Czego mam się bać? Jestem dobrym katolikiem.

- Narodowym.
- Tym lepszym. Katolik patriota - to się liczy, nie? Zapytaj księdza

Ziemowita.

- Nie muszę pytać.
- A popatrz, jak mnie sąd potraktował! Co orzekli? Rozbój! Jak jakiegoś złodziejzka, grabieżcę. Jakby nic się nie stało. A przecież stało się! Więcej ich wykończyłem, niż mam palców u rąk.

- Ale przed sądem tego nie powiedziałeś.
- A kto by powiedział? Tobie mówię!
- Wolałbyś, żeby cię oskarżyli o morderstwa?
- Proszę bardzo, niech oskarżają, Ja bym wszystkiemu zaprzeczył.

Dowody! - krzyczałbym. Macie, kurde, dowody?

- Byłaby kara śmierci.
- A co by na to ludzie powiedzieli? Za Żydów zginął! Jak

Niewiadomski, o którym pieśni układali.

- Zabił prezydenta - uściślił Mike.
- Męczennik narodowej sprawy. Świeczki by na moim grobie palili.
- Nie siedziałbyś tu u pani Filomeny. Kwiatki by nad tobą rosły,

a ty byś nie mógł ich nawet powąchać.

- No właśnie. Lepiej żyć, nie? Jak jest to jest, ale jakoś jest.
- Wytrzymaj nos.
- Michaś, ja płacę!

Mike podniósł się z krzesła.

- Mowy nie ma. Pogadaliśmy, spojrzeliśmy sobie w oczy i na tym koniec. Zapomnij, że istnieję.

- Co ty tak? Jakbyś był kimś lepszym. Paniczyka odstawiasz. A to przecież ja...

- Powtarzam: zapomnij, że istnieję.

Starzec dźwignął się i pokuśtykał do wyjścia. Mike słyszał, że mruczy coś pod nosem. Pewnie o tym, jakie to czasy, kurde, były.

Bol przysiadł się do Mike'a.

- I co ci dała ta rozmowa?
- Coś dała. Wydawało mi się, że wiem wszystko o aberracjach.

Okazało się, że nie ma końca takiej wiedzy. Zabawne...

- Co jest zabawne? - zachnął się Bol.
- Twój ojciec, on jest zabawny.
- Zabawny?! Co ty wygadujesz? To ponury zbrodniarz.

- Bol, posłuchaj, co ci powiem. Zbrodnia jest ponura, ale zbrodniarze są komiczni. Wiem coś o tym. Chaplin dawno to zauważył. Komiczny jest ich fanatyzm. Ich parademarsze, kiedy dorosłe chłopcy wyrzucają rytmicznie nogi jak girdlaski na estradzie. Ich orgie nienawiści. Ich płonące oczy. Ich wiara, że w przyszłości Bóg, Allah, naród - wystawią im pomniki.



- Nie mam twojego poczucia humoru.
- Trzeba się przed nimi bronić. Oni by chcieli uwznioślić siebie.

Uwznioślić swoją zbrodnię. Nie powinniśmy im na to pozwolić. Nie ma w nich nic wzniosłego! Są bohaterami tragifarsy.

Bol Butrym westchnął:

- No cóż. Można i tak.

Kiciuś u szczytu schodów rozejrzał się, nabrał pewności, że nic mu nie grozi, i miauknąwszy, zbiegł miękko na dół. Czekala na niego miseczka z wodą.

Pani Maryjka kilkoma cięciami dokończyła strzyżenia.

- Proszę się przejrzeć. Czy nie młody bóg? - Otrzepała mu włosy z karku, wciąż nie wypuszczając z zaciśniętej dłoni nożyczek. - Guciu, słoneczko, czy myśmy zdążyli przejść na ty?

- Odpowiem, jak pani odłoży to narzędzie mordy.

- Spokojnie, nic panu nie grozi. - Położyła nożyczki na etażerze inkrustowanej kamyczkami, na pewno pamiętającej czasy pana Ehrlicha.

- Wymierzyła je pani w naszego dusiciela. Zabiłaby go pani?

- Zabiłabym. Ale pan nie odpowiedział: przeszliśmy na ty?

- Chyba nie. Nie zapomniabym.

- Piliśmy - przypomniała.

- Pani więcej.

- Całowaliśmy się.

- O nie. To Maryjka mnie całowała. Teraz ja.

- Okulary - powiedziała.

Zdjął je posłusznie i położył na stole.

- Zamglone - zauważył.

- Moje też.

Jej lekkie okularki na stole obok jego ciężkawych.

- Widzi mnie pan? - spytała.

- Widzę zachwycającą niebieskość po okularach!

- Uwodziciel.

- Chciałem tylko powiedzieć, że kiedy zdejmę okulary, jesteś całkiem niczego sobie.

- Zniszczę cię - zagroziła i otoczyła go ramionami.

Pożądał jej, chyba ona to czuje. Mógł się teraz przyjrzeć jej odwiniętym, mięsistym wargom, rozchylonym w oczekiwaniu. Dotknął ich palcami.

Szepnął:

- Rozkoszne.

Uśmiechnęła się.

- Dopiero się przekonasz.

Długi pocałunek. Spytała, odrywając usta:

- I jak?

- Tak jak się spodziewałem.

Wyjęła z torebki pakuneczek w srebrnej folii.

- Przyniosłam kolację. Pieczony kurczak. Zdaje się, że masz kawałek starego chleba.

- Ale nie mam alkoholu.

- Alkohol mam tu - wskazała na głowę. I od razu, może żałując tych słów: - Pewnie od wczoraj.

Po obgryzieniu kości i wymyciu solidarnie rąk nad umywalką zapytał:

- Co masz w plecaku?

- Niezbędnik inteligentki.

- Książki?

- Ręcznik.

- Mogę ci dać swój.

- I nocną koszulę.

- Z koronką?

- Zdaje się, że wytrzeszczyłeś oczy.

- Ani trochę.

- Guciu, kochany, nic się nie musi zdarzyć. Ja się tylko przytulę.

Wodził za nią oczyma, podczas gdy ona się krzątała. Poduszka, prześcieradło, kołdra - z miejsca się domyśliła, w którym schowku szukać. Wyjęła z plecaka porcelanowy lichtarzyk i świeczkę, zapaliła ją, wyłączyła światło. W mroku rozchybotał się płomyk. Nastrojowo. Intymnie. Kobieta, myślał ze wzruszeniem, stworzenie, które dąży do udekorowania życia (sytuacji). Sztuczne groty i ruiny - kochały się w nich hrabiny rokoka. Sztuczna swojskość, markiz w pantalonach jako pasterz Filon, przepieszczony pudełek jako wełnista owieczka. Brak tylko nastrojowej muzyki. Ależ nie, będzie i muzyka: Maryjka wyjmując z torebki miniaturowy magnetofon, nastawia go, z pomruku basów przebija się wysoki śpiew skrzypiec. Schubert.

- Odwróć się - nakazuje kobieta.

Mężczyzna odwraca się. Słyszy: suknia spłynęła na podłogę. Słyszy: po krągłościach ciała sunie z pluskiem koszula, cienkie płótno oblepia jej piersi, pięści krągłość brzucha, otula biodra. Mężczyzna słyszy:

- Już można.

W półmroku rozkołysane piersi pod bielą koszuli. Ona tańczy! Ujmuje między palce brzeg koszuli niby suknię z trenem i kołysze biodrami. Mówi zduszonym głosem:

- Zaraz cię przytulę.

Ale nie zrobiła tego, bo rozległ się dzwonek telefonu. Kobieta wyłączyła magnetofon, Gustaw ze słuchawką w ręku opadł na fotel. Jak zwykle: co u ciebie? w porządku; a u ciebie? w porządku. Dobrze, że nie powiedziała: super, generalnie w porządku. Właściwie - czemu nie?

- Jesteś sam? - dopytywała się córka.
- Jest ze mną pani Maryjka.
- O!
- Przyszła mnie ostrzec.
- Mocna rzecz - oceniła córka.
- Uznała, że mam okropne włosy. Przyniosła kolację, bo podobno

jestem niedożywiony.

- Tato, czy masz przynajmniej wyprasowaną koszulę?

Gustaw, do Maryjki:

- Córka pyta, czy mam wyprasowaną koszulę. Co ty o tym sądzisz?
- Powiedz, że wyglądasz przyzwoicie.

Gustaw, do słuchawki:

- Ona mówi, że wyglądam przyzwoicie.
- Słyszałam - na to córka ze śmiechem. - Tato, jaka ona jest?
- Wcielenie kobiecości.

Poczuł na karku ciepłą wilgoć ust Maryjki.

- Hm... Nie musi to być komplement - powiedziała córka.
- W moich ustach to komplement. - Znow pocałunek w świeżo

podstrzyżony kark. - Nie jest bez wad - mówił Gustaw. - Uważa, że powinienem zmienić okulary. Pałaca. Chociaż te papierosy są delikatne i ładnie pachną. Wczoraj byłem u jej rodziców.

- Oficjalna wizyta?
- Przypadek.
- I jak tam było?
- Wódka i fasolka po bretońsku.
- Z puszki - uzupełniła Maryjka.
- Z puszki, ale świetna. Pan mecenas bardzo mi się spodobał.
- Gucio jest słodziutki - powiedziała Maryjka i pocałowała go.
- A teściowa? - spytała córka.
- Nazywasz tak panią mecenasową? Da się wytrzymać.

Maryjka:

- Gucio jest przesłodki.
- Pojutrze wracam do pracy - poinformował córkę Gustaw.
- Uciekasz? Zostawiasz ją?
- Mówiłem: wracam do pracy. Jeśli mnie nie wywalili.
- Co z domem?
- Sprzedam. Pieniądze na jakiś cel. Jeszcze nie wiem jaki.
- Tato, ty nie chcesz tego domu, prawda?
- Nie chcę.
- Możesz mi powiedzieć dlaczego?
- Po co? Ty go przecież też nie chcesz.
- Nie chcę. Rozumiem, że masz powody, żeby nie mówić.

- Więcej gadania - więcej głupstw, jak powiedział pewien starożytny. Córkę to rozbawiło.

- Wtedy nie było komórek, łatwiej się było ustrzec. No to dobranoc, tato. Pozdrów panią Maryjkę.

Wcielenie kobiecości zbliżało się do niego w półmroku. Junona w powłóczystej szacie. Objęło go jej ciepło, zapach perfum i zapach ciała. Przytulił głowę do jej piersi. Jestem ciebie spragniony, już wiesz. Powiedział:

- Jesteś tak cudownie ciepła.

- Trzydzieści siedem z kreskami. Dla ciebie. Guciu, Boże, Guciu, słoneczko, jak mi z tobą dobrze, jak mi - wymarzony kobiecy bełkot - dobrze ci z nią, prawda, lubisz ją, lubisz - jest twoja - Guciu, powiedz, słoneczko, powiedz, co ze mną robisz - dobry jesteś, powiedz, dobry, chcę to usłyszeć, nie wstydz się - co robisz? Co ze mną robisz?!

Powiedział. Długi jęk przechodzący w skomlenie, a potem uśmiech i westchnienie:

- Skończyłam. - Znów uśmiech, tym razem figlarny: - Od tego słowa. - A potem: - Guciu, Guciu kochany, nie trzeba już słów, mam cię w sobie, moje szczęście, moje słoneczko. - Szeptala: - Już wiesz, kim jestem? Powiedzieć? Twoja - powiedzieć? Teraz ja! Twoja. Twoja... - Drzenie nozdrzy, język miota się między rozchyłonymi wargami - twoja - zabrakło tchu, osłupienie w niebieskości oczu i nagle skowyt i zwycięskie westchnienie, uśmiech - skończyłam.

Leżała oparta na łokciu i wpatrywała się w niego, pieszcząc palcami policzek.

- Leż tak - mówiła. - Nie ruszaj się. Jesteś taki piękny.

Stuknięta. Ja piękny.

- Obróć się profilem. Tak. Piękny.

Stuknięta. Stuknięte kobiety nas ratują.

O świcie Maryjka pomagała mu układać rzeczy w walizce.

- Guciu, Boże, słoneczko... Czy ty musisz wyjeżdżać?

- Wiesz, że muszę.

- Zapakuję ci moją nocną koszulę.

- Zapakuj. Stanę się fetyszystą.

- A ty mi podarujesz tę twoją niebieską. Podarujesz?

- Bierz ją.

Przytuliła jego koszulę do swoich policzków.

- Będę ją nosić - obiecała sobie. Wstrząsnęła ramionami, jakby chciała z siebie coś zrzucić. - Sentymentalna krowa. Nie śmiej się ze mnie.

- Nie śmieję się. Świetnie, że umiesz to tak przeżywać.

- No i po co mi to było?

- Żałujesz?

- Słoneczko - co ty wygadujesz? Jestem szczęśliwa!

- Powiedzieć coś? Pamiętasz, jak mówiłem, że mam okropną wadę?
- Że się przywiązujesz?
- Stało się, niestety.
- Guciu, kochanie. To wspaniale. Że ty też... Tak jak ja. Dziękuję. Oboje boimy się słów, pomyślał.

- Przecież się jeszcze zobaczymy! - wykrzyknęła. - Na pewno!
- Na pewno. Zostawię ci klucze. Udzielam ci niniejszym

pełnomocnictwa. Wejdiesz w porozumienie z burmistrzem. Sprzedacie dom.

- Może nie być chętnych.
- Jakaś firma kupi. Widziałem ogłoszenia. Sprzedacie - i pieniądze na co? - może na szpital? Może na gminę żydowską w Białymstoku?
- Jeśli taka jest...
- Książki do biblioteki szkolnej. Z wyjątkiem tych, które chcesz dla siebie. Klasykę rosyjską dla twojego taty. Meble... O meblach sama zdecydujesz.
- Guciu, to brzmi jak testament.
- Nie znamy dnia ani godziny - przypomniał sentencję i przygarnął ją do siebie.

Szepnęła: Guciu, słoneczko, i objąwszy go swoim pulchnym ciepłem, przysana do jego ust, zamilkła.

## 11

Dwa kordony policji odgrodziły uczestników uroczystości od gapiów. Dla ludzi starszych, a tacy tu przeważają, przewidziano składane krzeselka. Po przeciwległej stronie tłoczą się kamerzyści i fotografowie. Wszystko będzie zarejestrowane. - Chwileczkę, moment, *odnu minutu*, czekajcie na nas! To Ilana, dawniej Frajndla, w ogromnym kapeluszu, ze sznurem diamentów wokół szyi, pcha przed sobą wózek ze starcem w tyrolskim kapelusiku - bo czymś tę głowę w upalny dzień trzeba przykryć - a on, Dieter, bo to na pewno on, wymachuje na powitanie rękami, szczerzy rząd równych drogich zębów, wybucha śmiechem, *Mein Gott*, on się śmieje - może on jeden wie, że trzeba się śmiać, że to dzień radosny. Hosanna! Panie burmistrzu, zaczynamy! Nie, zaczekaj, popatrzcie, co się dzieje! Zajeżdża jakiś spóźniony autokar, przepuszczają go ochroniarze, salutują policjanci, autokar hamuje tuż przed kamiennymi płytami ogrodzenia - otwierają się drzwiczki - i wysypują się z nich, jak machające skrzydełkami pingwiny, dziewczęta w czerni. Nazaretanki! Są tu, z nami, ależ miło - panienki, na miejsca, spokojnie - ustawiają się w szeregi, zdyscyplinowane, wyćwiczone, pochylają nabożnie głowy. Mistrz ceremonii daje znak komuś niewidocznemu. Wszyscy milkną, rozbrzmiewa marsz żałobny. Mike rozgryza tabletkę. Ulżyło. Jestem gotów. Do mikrofonu zbliża się usztywnionym krokiem burmistrz. Dwadzieścia lat wyczekiwał tej chwili. Nadeszła - i on czuje, że kolana mu drżą, nie może nad

tym drzeniem zapanować. Mike tego nie widzi, ale wie, że tak jest.

(Wróciłem tu, Zyga, wróciłem tak, jak ci obiecałem. Przemawia burmistrz. Głos mu się łamie. Jestem stary drań, Zyga, trzeźwy i kiedy trzeba, bezwzględny, tak uważa doktor Wiernik, ale nie mogę opanować łez. Bo jestem tu dla ciebie i dla twojej matki. Premiera nie ma. Biskupów nie ma. Radnych tylko kilku. Ale jest ksiądz Ziemowit, pamiętasz go jako sukinsyna, ale on tu jest, mrucał do mnie: owieczki są bez pasterza - czy to nie sprawia ci satysfakcji? Jest przy tobie, przy Flinkierach, Adamsbaumach, Wolfowiczach, Wajnsztajnach, Drejerach. Pochyla głowę i porusza ustami. Coś szepcze. Modlitwę czy wiersze? Nie wiem. I jest tu ktoś, kto jeszcze ciężiej zawinił: milczący zabójca twojej siostry. Ona o tę śmierć go prosiła - on nie odmówił. Przyszedł tu, bo... Nie wiem, doprawdy nie wiem, nie podejmuję się orzekać, widzę, że stoi z opuszczoną głową, jak skamieniały. Twarz ma suchą. Nie chciałbym słyszeć jego szlochu, nie wytrzymałbym tego. Obok stoi tęgawy maturzysta w grubych okularach, niezgrabny, ciężko oddycha, jak w astmie, jeszcze dwa dni temu chciał odebrać sobie życie - ty go uratowałeś, pamięć o tobie, o męce twoich kolegów. Chce żyć - i zapewne coś sobą zaświadczyć. Zresztą, nie wiem, nie mogę rozstrzygać. Umarzam dochodzenie do prawdy. I jest dyrektorka tego liceum, która przedwczoraj wydała zakaz swoim uczniom. Zakazała im, ale nie sobie. O czym myśli, tu stojąc? Może o spalonych żywcem niedoszłych maturzystach? Ścisła w swojej dłoni dłoń tego chłopca, który zapragnął w końcu żyć. Może to on ją tu przyciągnął? Nie wiem. Zawieszam dochodzenie. Burmistrz skończył, ścisła dłoń prezydenta, który zbliża się do mównicy. To młody mężczyzna, ten prezydent, urodził się piętnaście lat po twojej śmierci. Powie: „Z powodu tej zbrodni winniśmy błagać o przebaczenie cienie zmarłych i ich rodziny”. Wybacz mi, Zyga. Wybacz. Nie zabiłem cię, ale i nie uratowałem. Nie zginąłem razem z tobą. Ksiądz próbuje usprawiedliwić: wszystko na miarę ludzką, Mike, nie na miarę herosa. Chyba ma rację, ale wszelka racja fałuje - wraca czasem nie-racja - wraca żal i lęk. Uratowałem siebie, żyłem, bywałem szczęśliwy, jestem szczęśliwy, ale uratowałem coś jeszcze: pamięć o tobie. Mam twojego Tuwima, Zyga, to jak obcowanie z tobą, bo są tam twoje zakreślenia, wiem, jakie strofy szczególnie do ciebie przemawiały, niektóre zaskakujące; „Dzika gra! Straszna gra! Oczy płoną! Serce gorze! Dwóch nas być nie może, Albo ty - albo ja. Na noże!” Pamiętam, jak mi to recytowałeś. Co to ma wspólnego z tym, co tu się odbywa? Nie wiem, pewnie nic. Kto wyzywał cię na noże? Nie zastanawialiśmy się wcale nad tym. Urzekł nas pewno rytmem tych słów, jakaś sytuacja ostateczna, jak walka gladiatorów. Słuchaj pana prezydenta. Powie: „Dlatego też dzisiaj, jako obywatel i jako prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, przepraszam. Przepraszam w imieniu swoim i tych Polaków, którzy czują się poruszeni tamtą zbrodnią”. Przyjmij te przeprosiny, Zyga, przyjmij je od tych, którzy „czują się poruszeni”. Od innych przeprosin nie

wymagaj, pies z nimi walca tańcował, przepraszam, że w takiej chwili myślę w takich słowach, ale wydają mi się całkiem odpowiednie, nawet teraz. Przemawia ambasador Izraela, człowiek stąd, tutaj tego chłopca uratowano, on wie, co to podłość i zbrodnia, wie, co ofiarność i odwaga, twój ojciec został zesłany na Syberię za „syjonizm”, na pewno byłby poruszony, że to państwo istnieje i jego przedstawiciel jest tu przy was. Mówi o nieobecnej pani Eulalii, która uratowała Frajndlę i Niemca, i Sowietę, chociaż z tym to nie wiadomo, co się stało. I nie ma żony twojego zabójcy, która uciekła od niego do swoich rodziców i przechowała wraz z nimi małą Rutkę o smolistych oczach, nie doczekała się oficjalnego uhonorowania, zmarła trzy lata temu na Florydzie. I nie ma męża pani Eulalii, Antka, który... Długo opowiadać. Ale jest stara pani Stanisława, która przechowała siedmioro Żydów. Do niej zwraca się pan ambasador. Przyjechała z Kanady. Nie płacze. Kolejne przemówienia - ja ich nie słyszę, jestem zatopiony w rozmowie z tobą, już kiedyś coś podobnego przeżywałem, na cmentarzu w Queens, mówiłem na głos - nie tak jak teraz, kiedy mówię językiem duszy - nikogo w pobliżu nie było, mówiłem do popiołów matki, były w ozdobnej urnie, mówiłem, spowiadałem się, skarżyłem, załamany po rozwodzie, odpowiadała mi mądrym milczeniem. Ty też gdzieś tu jesteś, Zyga, chociaż nie ma twoich popiołów, rozmawiam z tobą i wysłuchuję wszystkorozumiejącego milczenia. Kiedy myślę o swoich kolejnych klęskach, o powodzeniu i rozpaczy, o słodyczy niektórych kobiet, o chwilach szczęścia z nimi, o dumie z powodu tych dni, myślę też czasem o tym, że nie zdążyłeś ich zaznać, a chciałeś tego, tych zmagania na rykowisku - „dwóch nas być nie może” - nie doświadczyłeś nigdy, jak urok kobiety, jej uśmiech, uśmiech ust, oczu, ciała - rozjaśnia mężczyznę świat. Do mikrofonu zbliża się światowej sławy kantor. Widywałem go w Nowym Jorku, bo moja Betsy prowadziła mnie na jego recitale, moja czarnoskóra żona jest do szpiku kości zjudaizowana, jej sekta święci sobotę - i ta pieśń, to wołanie - *El mole rachamim!* Boże, pełen miłosierdzia! - jak szyderstwo, jak oskarżenie. I tym większa rozpacz. Bo tam, Zyga, gdzie Bóg się odwrócił, zostaje odwołanie już tylko do ludzi. I ludzie nie zawsze zawodzą. Daję ci słowo, nie zawsze. A może *El mole rachamim* to krzyk do Boga o miłosierdzie dla morderców? Bo to oni go potrzebują. Pewnie gorszą cię moje łzy. Miszka, co ty, bądź mężczyzną. Nic na to nie poradzę, płaczę. Zdaje się, że mnie obserwują. Roztkliwił się pan sędzia. Łzy - przecież to wiadomo - czasem uzdrawiają. I widzę, że on, ten kantor, śpiewa zapłakany - ta pieśń to nie jest dla niego numer z recitalu, nie w tym miejscu, on to przeżywa, nie ukrywa tego, śpiewa rozdzierająco, bo wie, zawsze artysta, że tak spełnia się sztuka. Szkoda, że Betsy tu nie ma. Ona dużo o tobie wie. I o naszym ostatnim meczu, kiedy ja z tobą wygrałem. Oboje myślimy tak samo: nie mogłeś wygrać, nie mogłeś się skoncentrować, piłka nie trafiała tam, gdzie powinna, ręka nie była posłuszna oku - myślami już byłeś

gdzie indziej. Już wiedziałaś, co nadchodzi. Widziałaś więcej niż ja, miałaś oczy szerzej otwarte. Bo to, co się zbliżało, dotyczyło ciebie - nie mnie, dotyczyło twojej matki - nie mojej. Wierz mi, Zyga, rewanż nie jest ci potrzebny. Zawsze byłeś lepszy. I takim na zawsze pozostaniesz.)

- Panienki, do fotografii! - zakomenderowała siostra przełożona.

Świetnie wyćwiczone pingwinki otaczają podwójnym półkolem kamienny pomnik z napisem w trzech językach, że w tym miejscu zamordowano i spalono żywcem... Chwila skupienia - pstryk. Raz jeszcze - pstryk.

- Panie prezydencie! - wołają panienki. - Czy można pana prosić?

Prezydent daje znak ochronie - pozwalają

- mówi dziewczętom coś uwodzicielskiego, staje między nimi, chwila skupienia - pstryk, pstryk.

- A ja? - Mike słyszy głos pani Aldony. Mecena-sowa toruje sobie drogę przez zbitą grupkę uczestników. - Panie prezydencie, błagam. - Prezydent daje przyzwalający znak ochronie. - Daga - słyhać panią Maryjkę - zrób babci zdjęcie z panem prezydentem. - Jak wyglądam? - niepokoi się pani Aldona. - Świetnie, babciu. - Będą widoczne perły?

- Będą. Pstryk, pstryk. Prezydent już się śpieszy, sekretarze wzywają. Mike zbliża się do niego, liżąc lody.

- Panie prezydencie - mówi - jestem wdzięczny za pańskie słowa. Czekałem na nie sześćdziesiąt lat. Od śmierci mojego przyjaciela pingpongisty.

- Ehrlich, prawda? - Prezydent jest znany z tego, że dobrze się orientuje w historii polskiego sportu.

- Ale był jeden lepszy od niego: Gutek z Tarnowa. Co się z nim stało?

- Nie wiadomo.

- Zginął?

- Nie wiadomo. - Mike chwyta spragnione spojrzenie prezydenta. -

Panie prezydencie, może lody?

Prezydent dotyka kieszeni, wzdycha:

- Jeśli pan postawi.

- Jeśli pan da znak ochronie.

Prezydent daje znak, zbliża się lodziarz z wózkiem. Mike zaprasza do lodów otoczenie prezydenta. Pięć porcji? Sześć. Waniliowe i czekoladowe. Pani Aniu - to do dziennikarki - dla pani też? Też, dziękuję.

Ruszają samochody, nazaretanki ładują się do autokaru. Siostra Melchiora jeszcze się ociąga. Stojąc u wejścia, zwraca się do Mike'a:

- Pan sędzia Murphy? Czy to z panem rozmawiałam? No i miałam za swoje. Nie spałam pół nocy: modliłam się i rozmyślałam. Aż wreszcie nad ranem... Tak, świtało, kiedy powzięłam postanowienie.

- I zasnęła siostra? - Ona kiwa z uśmiechem głową, a Mike mówi:



- Dziękuję siostrze za to postanowienie. To ważna wskazówka dla tutejszych mieszkańców.

- Tak myślę. Ale nie ta myśl przesądziła. Inna: że to coś ważnego dla moich wychowanek. Jakiś kurs historii i etyki. Doświadczenie osobiste. Co robić? Zakrywać dyskretnie przeszłość - żeby bardziej nam się podobała, czy też pamiętać o tym, co wygodniej byłoby pominąć? Nie wolno nam wychowywać w małoduszności... Mam nadzieję, że kiedyś one to docenią. Będą opowiadać: byłam tam, widziałam.

- Podziwiam odwagę siostry przełożonej.

- Chcę, żeby i one miały odwagę. Jezusowi potrzebni są odważni wyznawcy.

- Tak, siostro. Jeśli zabraknie nam odwagi, ten kraj...

Siostra Melchiora przerywa z uśmiechem:

- Tylko nie o polityce, panie sędzio. Jeszcze pytanie: czy to pan był mężem naszej Jadwigi, świeć Panie nad jej duszą?

- Nie, to pan doktor Wiernik, mój przyjaciel. Doktorze, możesz do nas?

Gustaw zbliżył się. Siostra przełożona spytała:

- Panie doktorze, a dlaczego właściwie pan sądził, że panna Jadwiga była na naszym utrzymaniu?

- Dlaczego? - Gustaw zawahał się, zanim odpowiedział. - Już nie pamiętam. Coś mi się poplątało.

- Tak bez powodu? - Siostra ogarnęła go badawczym spojrzeniem.

- Bez powodu.

- Bóg panom zapłać za pamięć - powiedziała siostra i wspięła się do autokaru.

Stary rabin, z rzadką siwą bródką, szczęśliwy, że jako chłopiec opuścił Cheremiec przed samą wojną i który długie przemówienie wygłosił po angielsku, teraz, już po polsku, zapytuje:

- Pan, mister Murphy, jest Sprawiedliwym?

- Niestety, nie, nikogo nie udało mi się uratować.

Ksiądz wtrącił:

- Pan sędzia ratuje dusze. - Mike poczuł, że oblewa go pot. Straciłem odporność. Czas na emeryturę. - Ziemek nie ustawał: - Ratuje je od potępienia, panie rabinie. Przypomina, co znaczy chrześcijaństwo.

Rabin, uniósłszy wysoko brwi, jak stary Żyd zadowolony ze swojej domyślności, powiedział:

- To znaczy, że wyręcza księdza?

- Robi to, czego ja nie zrobiłem.

(Chciałbym jeszcze przez chwilę być z tobą,

Zyga, ale widzisz, co się dzieje - nie pozwalają. A mnie to wciąż nachodzi: ty, twoje odejście - i my teraz, w tym świecie tak innym i tak

zarazem podobnym. Jaki byłbyś, gdybyś przeżył? Trzydziestoletni mistrz... Czterdziestoletni weteran... Urodziwy, utalentowany uwodziciel i krzywdziciel kobiet. Przyjaciół? Miałbyś innych przyjaciół, z większą korzyścią dla ciebie. Jesteś niewiadomą.)

- Płakałaś, Mike? - powiedziała kobieta handlująca miłością.
- Malina, jesteś tu! - wykrzyknął i od razu tego pożałował, stropiony, że jej widok go ucieszył.
- Małgosia - sprostowała kobieta.
- Małgosia - powtórzył za nią. - Podpatrywałaś mnie.
- Stale jestem w ciebie wpatrzona.
- No, no, a przecież się nie odezwałaś.
- Byłam zajęta. Mike, jeśli chcesz jutro rano jechać do Warszawy, mogę cię zawieźć swoim for-dziakiem. Wygodny. Będę w „Bristolu” - usiłowała mu zaimponować. - Apartament z szykanami.
- Gratuluję. Jakiś dyplomata?
- Pojedziesz ze mną?
- Wynająłem samochód.
- Przysiągłby ktoś, że jesteś zazdrosny.
- Przecież to byłoby bez sensu.
- A mnie by się spodobało.
- Nie zrobię ci tej przyjemności - powiedział stanowczo sędzia

Murphy.

- Panie sędzio, jesteś zazdrosny. Jesteś, jesteś - pokazuje na palcach, jak dziecko - zyg-zyg marchewka.

Mike milczał.

- Mike - odezwała się - czy ja cię już nigdy nie zobaczę? Naprawdę? Czy to koniec? Będzie tylko wspomnienie?

Mike podał jej wizytówkę.

- Jeśli przyjedziesz do Nowego Jorku, na przykład jako żona dyrektora En, zadzwoń, przyjmiemy cię z Betsy jakimiś okropnymi amerykańskimi daniami.

Małgosia-Malina:

- Język mi skołowaciał. Nie będziesz się krępował mnie pocałować? Wymienili cmoknięcia. Kobieta raptownie się odwróciła i weszła w wąską uliczkę prowadzącą do rynku.

Mike zęgnął się z burmistrzem, który trzymając pod rękę dziennikarkę Anię, kierował się w stronę autokaru. Pojadą do Warszawy, na nabożeństwo w rotundzie kościoła ewangelickiego, ma być premier, potem będzie przyjęcie u prezydenta.

- Składa pan rezygnację? - spytał Mike.

Burmistrz przystanął.

- Wie pan co? Waham się. Odwiedziła mnie delegacja. Och, nieliczna,

dwaj radni. Twierdzą jednak - Ania świadkiem - że w imieniu większej grupy. Nie wyjeżdżaj, powiadają, jest nas cała frakcja, uważamy, że zrobiłeś dla Cheremca coś dobrego.

- Kawalek asfaltowej drogi?

- To też. Że jednak te uroczystości rehabilitują jakoś miasteczko. Jeden z tych dwóch radnych - wie pan, jego ojciec brał udział w tej zbrodni. I on tutaj, przy tym pomniku, sobie uświadomił, że to jego synowski obowiązek - za ojca, rozumie pan? Przedtem tego nie odczuwał. Wszystko było w nim jakoś przytłumione. Teraz pękło.

Kierowca zatrafił. Burmistrz pobiegł do autokaru. Bol stał ze swoimi synami, nieruchomo, jakby pozowali do zdjęcia. Mike podszedł do nich.

- Obejmiemy się? - spytał Bol. Grdyka mu się ruszyła. - Kiedy ten kantor śpiewał, ja miałem przed oczyma to, co wtedy się stało, widziałem wszystko jak na filmie, ciebie z twoim przyjacielem, jak się przedzieracie przez zboże, i tego cholernego gówniarza, który krzyczy: Tato, tam! I pokazuje palcem gdzie. A palec mu nie odpadł.

Stali w uścisku. Tyczkowaty Adam przetarł zamglone okulary. Dotknął łokcia sędziego.

- Słyszał pan te głosy? Te sprzed sześćdziesięciu lat? Ja słyszałem.

Kiedy kantor śpiewał, słysząc było krzyki. - Przyjrzał się okularom. - Cholera, wciąż mi zachodzą mgłą. - Uśmiech: - Mam to po tacie.

- Mister Murphy? - zagadnął Mike'a wysoki łyśawy czterdziestolatek. - Kaminski, prawdziwe nazwisko, a *real one*.

- Kamińscy? Pamiętam - powiedział Mike. - Sklep z materiałami piśmiennymi. Wszyscy się u nich zaopatrywali.

- To pan pamięta. *I am very glad*. Pan u nich kupował?

- Wszyscy kupowali. Jedyne taki sklep w Cheremcu. Więc, rozumie pan, wszyscy.

- Zdaje się, że rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć. Pozwoli pan, że przejdę na angielski.

Zna polski, tłumaczy, ale zasób słów ma ubogi, nie zdoła wyrazić tego, co chce. Tutaj, w tej stodole, a może w innym miejscu, zginęli jego dziadkowie.

- Ojciec miał wtedy dziewięć lat - opowiadał pan Kaminski, już po angielsku - wymknął się, taki szczeniak, wyobraża pan sobie, przedostał się do lasu, do partyzantów, przydawał im się jako smarkaty szpion, a *spy*. Potem Ameryka. Zamęczał mnie opowieściami o tym, co przeżył, domagał się ode mnie tej samej pamięci, tych samych modłów. A ja grałem w koszykówkę i chyba nie było jak, jestem teraz nauczycielem gimnastyki. Ojciec zmarł rok temu i ja tu przyjechałem dla niego. Wysłuchałem tego wszystkiego za niego. I na tym koniec. Oświadczam panu, że na tym koniec! - Jakby Mike czegoś się od niego domagał. - Chcę żyć normalnie, nie jak ktoś obciążony. Bo to on

był obciążony, nie ja. Chcę być jak wszyscy. On nie ma prawa mi tego zabraniać. Oświadczam panu, że zamykam księgę pamięci.

- Życzę powodzenia - powiedział Mike i nie był pewny, czy całkiem szczerze. Dodał po angielsku:

- *Good luck.*

Mike przywitał się z mecenasem Maszkiewiczem, który stał samotnie, od czasu do czasu szukając wzrokiem żony, największej pomyłki swojego życia.

- Patrzę na to wszystko - odezwał się do Mike'a

- słucham i powiem panu, drogi sędzio, wraca do mnie to, o czym coraz częściej myślę: że nie wiem, po co żyłem. Niech pan nic nie mówi, panie sędzio, pan może tego tak nie odczuwa, może pan widzi jakiś cel w swoim życiu, ja nie mówię o panu, mówię o sobie. Zbliżam się do końca, wkrótce odejdę.

- Ojciec Maryjki poprawił aparat w uchu. - Po co żyłem? Nie wiem.

- Choćby po to, żeby bronić ludzi.

- Nie wybroniłem nikogo. Wszyscy zginęli. Po co to wszystko? Żeby dojść do starości i powiedzieć „żegnajcie”? Pieniądze!... Wciąż był niepokój, czy rośnie konto. Ambicja, żeby Aldona miała perły, klipsy, francuskie perfumy. No, ma - i co z tego? Po to żyłem? Bez sensu.

Ksiądz Ziemowit nie używał aparatu, wciąż miał jeszcze dobry słuch.

- Nie powołałam się na Boga - zastrzegł się. - Ale jestem pewny, że pańska wnuczka wie, po co pan żył.

- Bez sensu - powtórzył ojciec Maryjki, wciąż szukając wzrokiem żony.

- Sens jest - powiedział ksiądz. - Tylko my go nie znamy.

Mecenas milczał.

Ksiądz odszedł z Mikiem na stronę.

- Michał, nie uciekaj. Mam do ciebie poważną sprawę. - Odczekał chwilkę, zanim powiedział:

- Chcę się przed tobą wyświadczyć.

- Ksiądz przede mną?

- Tak, przed tobą. Sędzia - mówił z naciskiem starzec - to jest więcej niż ksiądz.

- Oczekujesz, że powiem: *ego te absolvo*?

- Oczekuję... Jeszcze nie wiem, czego oczekuję. Może tylko twojego współdziałania. Nie można bólu znosić w pojedynkę. Może jakiś święty pustelnik - ale nie ja. Nie uciekniesz, prawda?

Do przystanku autobusowego Gustaw nie szedł sam, odprowadzała go Maryjka. I to ona ciągnęła jego walizkę na kółkach. Coś nowego w moim życiu. Słoneczko, perswadowała, musisz dbać o kręgosłup, mówiłeś, że nie wszystko w porządku. No i po co się do tego przyznałem? Autobus się

spóźniał, Maryjka, wypatrując go w oddali, powiedziała:

- Guciu, nie wyjeżdżaj.

- Jeszcze raz to samo?

- Trochę inaczej. Tu masz szansę. Możesz coś zrobić. Przecież ty to lubisz. Możesz coś udowodnić.

- Co zrobić? Jak? Mam moralizować? Słuchajcie, dobro jest dobre, a zło jest złe? Wybierzcie dobro, wasz anglik was o to prosi. To ma być moja rola?

- Czy ja mówię o moralizowaniu? Mówię o tym, że ważny jest wzorzec osobowy. I to mówię jako doświadczona wychowawczyni. Zostań z nami. Niech zobaczą innego człowieka. Z innymi aspiracjami.

- Jestem tym innym człowiekiem?

- Jesteś.

- Z urzędu - powiedział Gustaw i Maryjka się uśmiechnęła. - Wierzę, że masz trochę racji, ale chyba przesadzasz. Wychować powinni się sami. Zło - to przede wszystkim sprawa własnego przyzwolenia. Takie jest moje doświadczenie. Zresztą nie nadaję się do roli, którą mi wyznaczasz. Nie jestem siłaczem.

- Słoneczko, to do kogo ja się przytulę?

Objął ją. Dwie baryłko wate, tłuste kobiety na przystanku odwróciły się ze zgorzaniem.

- Nareszcie mówisz to, co trzeba - powiedział. - Maryjeczko, ja przecież nie jadę na koniec świata.

- Powtórz: przywiązałeś się?

Szepnął:

- Będę tęsknił do twojego ciała.

- To właśnie chciałam usłyszeć.

- Moje ręce już tęsknią. Boję się swojego przywiązania.

- Dlaczego?!

- Bo kiedyś mnie rzucisz. Powiesz: słoneczko, znudziłeś mi się. I co wtedy?

- Autobus! - wykrzyknęła.

Kierowca wyszedł z kabiny i umieścił walizkę Gustawa w bagażniku. Pocałowali się i on powiedział:

- Diabli nadali. Musiałem się akurat przywiązać... Nie płacz, Maryjko, nie płacz, do stu diabłów... Doprawdy, nie ma powodu.

- Pójdziemy nad rzekę - powiedział ksiądz Ziemowit do Mike'a. - Mam tam takie tajemne miejsce. Moja świątynia dumania...

## 12

Usiedli na dwóch równo ściętych, omszałych pniach. Nieopodal, za sitowiem, płynął leniwie mulisty, porośnięty u brzegów rzęsą Cherem. Nie było nad nim dziewcząt bijących kijankami bieliznę. Ksiądz Ziemowit

uprzedził:

- Jeśli spodziewasz się, że usłyszysz jakieś pikantne zwierzenia, coś o życiu intymnym sługi bożego, to się zawiedziesz.

Na co Mike odpowiedział:

- Jeśli sądzisz, że ja będę niemyym słuchaczem, pokornie chłonnym, co sługa boży raczy mi nagadać, to się mylisz. Ja też potrzebuję słuchacza.

Ksiądz Ziemowit jakby tego nie słyszał. Nabrał tchu, żeby wypalić:

- Byłem wtedy w Narodowym Hufcu.

Urwał. Jakby chciał sprawdzić, jakie to na sędzi z Brooklynu zrobiło wrażenie.

- Słucham, słucham - popędzał go Mike.

- Hufcu Patriotycznym, jeśli zależy ci na pełnej nazwie. Oniemiałeś?

- Słucham.

- Więc ja w tym byłem. W Narodowcu, jak to w skrócie nazywaliśmy.

- Czy to grzech? - spytał Mike. Zadaję naiwne pytania, dzięki naiwnym pytaniom docierałem często do prawdy.

- Przystałem do nich jeszcze w seminarium. (Nie odpowiedział na pytanie o grzech, nie nalegam.) Pewnie dlatego, że nie chciałem się różnić od innych. Oni tu na Cheremczyźnie rządili, o czym wiesz. Przywódcą był Kostek Butrym, o tym też wiesz. Czego chcieliśmy, jaki był program, nie będę ci opowiadał - to wszystko są rzeczy znane, przewalkowane. Ja specjalnie tego nie analizowałem, wystarczyły mi hasła, jak wszystkim - Polska dla Polaków, Naród, Katolicyzm - proszę bardzo. Byliśmy rasistami, nie ma dwóch zdań, chociaż ja, tak sobie pochlebiam, do końca nie zdawałem sobie z tego sprawy. Może nie wiesz, że pobito kiedyś księdza, bo był pochodzenia żydowskiego. Więc nie o wartości chrześcijańskie szło. To pobicie powinno mi było dać do myślenia. Ale nie dało. Byłem jak wszyscy. Chciałem być jak wszyscy. Kostek z synami i jeszcze kilku z jego otoczenia, aktywiści, zawsze są jacyś aktywiści, wzniecali pogromy, rozwalali żydowskie stragany. Ja, wkrótce księżuło, w tym oczywiście udziału nie brałem, nie błogosławiłem ich też, ale się nie przeciwstawiłem. Nie bardzo mi to smakowało, ale skoro należało do programu - przejąć stragany, przejąć handel - to nie byłem przeciw, przywódca wie, co robić, stamtąd, z Niemiec, ten kult posłuszeństwa szedł, *ein Volk, ein Fuhrer*, strasznie to imponowało, zdyscyplinowanie, podporządkowanie się, ale ty o tym wiesz bez mnie, więc może niepotrzebnie przypominam. Byłem jeszcze w Narodowcu, może nawet licząc, że zostanę ich kapelanem, kiedy po Sowietach przyszli Niemcy i stało się to, co się stało; kiedy zapędzono ich na rynek, a z rynku do stodoły. Płonęła ta stodoła, a ja, sługa boży, chyba już wtedy, gdzieś w trzewiach, odczuwałem, że dzieje się Zło. Nic nie zrobiłem, żeby Złu zapobiec. Nikogo nie przygarnąłem, nikomu drzwi mojego domu nie otworzyłem. Patrzyłem spoza

zamkniętego okna, oniemiały. Dlaczego tylko tak? Wciąż byłem jednym z nich. Straszliwe zło, ale zgodne z jakąś naszą racją. Pewnie tak myślałem. Jeśli w ogóle można mówić o myśleniu. Raczej to trzeba nazwać otępieniem.

Ksiądz Ziemowit zamilkł.

- Mów, słucham.

- Zastanawiam się właśnie, w jakiej kolejności ci to opowiadać. Bo mogę od razu skomentować, wysnuć morał, a może jednak lepiej nie, najpierw trzymać się chronologii, a z myśli zwierzać się, w miarę jak zaczęły mnie nękać. W dwa czy trzy dni później odprawiałem mszę. Widziałem, co kto miał na sobie cudzego, widziałem dzieci w ubrankach swoich rówieśników. Pomyślałem sobie: Jezu, a przecież ci, którzy wzięli w tym udział, powinni czuć się niespokojni, przynajmniej tyle, jeśli nie czuli się winni i grzeszni. Kładli na tacę więcej niż zwykle, dzielili się z Kościołem swoją korzyścią. Dlaczego nikt nie wybuchnął skruchą? Dlaczego nikt nie powiedział: księżo Ziemowicie - czy Bóg mi wybaczy? Powiem ci, panie sędzio, dlaczego: te żydowskie trupy to nie były prawdziwe trupy. Bo przez lata całe uczyliśmy pogardy dla tych ludzi. Żeby móc bez zadraśnięcia sumienia zabijać, najpierw trzeba ofiary odczłowieczyć. Hitlerowcy się w to wpisali. Żydzi to tyfus. Żydowskie robactwo. Gryzonie. Kiedy tępi się gryzonie... Dodaj do tego bogobójców. - Ksiądz urwał. - Była taka francuska powieść o początkach hitleryzmu: *Czasy pogardy*. On to uchwycił, ten autor, dotknął pulsu.

- Malraux - wtrącił Mike. - Pan Ehrlich mi o niej opowiadał.

Czytałeś?

- Ja miałbym czytać jakiegoś komunistę z przegniętej Francji?

Zapamiętałem tytuł. Myślę, że przypomniał mi się wtedy, w kościele, kiedy przyglądałem się tym, którzy tak świątecznie się przystroili. Nic na tych twarzach się nie wyrysowało. Gładkie, bez szczerb, w oczach pogoda. Normalność. Ja też, choć zeszywniały wewnątrz, usiłowałem się z tym pogodzić. Jest jak jest - wojna, Niemcy wchodzą w głąb Związku Sowieckiego, Żydów, tych co zostali, pędzą do getta. Waldek Butrym, który zastrzelił twojego przyjaciela, przynosi na plebanię upolowane konspiracyjnie kaczki.

- A ty je przyjmujesz.

- A ja je przyjmuję, jak wiesz. Chociaż już wtedy czułem, że powinienem mu pokazać drzwi.

- Powiedziałeś: zabrakło mi charakteru.

- Mogę to powtórzyć. Ale może zabrakło i trochę dumy; bo aż tak lepszy od niego się nie czułem. Szarpanina ze sobą jeszcze się nie zaczęła, jeszcze potrafiłem ją przytłumić. I wtedy pojawił się ten Antek. Zaprowadził mnie do czarnookiej dziewczyny i powiedział: Niech ksiądz ją ochrzci, bo

inaczej ona nie dostanie się do nieba. To mnie uderzyło: przecież on, Antek, wiedział, że ja jestem narodowcem, przeciw Żydom, on w ogóle się nad tym nie zastanawiał, był pewny, że nie sypnę, do głowy mu to nawet nie przychodziło, czynił dobro, nie dzieląc włosa na czworo, trzeba ratować człowieka, więc on ratuje - ja, Niemca, Sowietę - trzeba zadbać o zbawienie dziewczyny, więc on sprowadza księdza. On w to wierzył.

- A ty? - spytał zadziornie Mike.

- Temat jest inny. Ten, że Antek zmusił mnie, żebym się pochylił nad moim chrześcijaństwem. Nie nad wiarą - wiara to co innego, wiara to cud, dar - ja mówię o swoich obowiązkach. Obowiązki można spełniać różnie, ty, sędzia, dobrze o tym wiesz.

Szczęśliwi, którym zgadzają się one z wyznawaną etyką.

Ksiądz chwilę najwyraźniej borykał się ze sobą. Teraz to nastąpi, pomyślał Mike. Teraz to powie. Nie mylił się.

- Ideologia. - Ksiądz wypowiedział to słowo, jakby je z siebie wypluwał. - Ideologia - powtórzył.

- Piękne słowo, które można przypiąć do każdej obrzydliwości.

Należałoby je wyrzucić ze słownika. Używałem go nie rzadziej niż inni młodzi ludzie. Kim byłem? Narodowcem - to mało. Narodowym chrześcijaninem. Czy to jest w ogóle możliwe?

- tak by zapytał pan Antek, gdybym mu to próbował wyjaśnić.

Narodowy chrześcijanin - przecież to sprzeczność sama w sobie. *Contradictio in adiecto*, żeby powołać się na łacinę. Herr Hitler nie miał co do tego wątpliwości. Na swojej kwaterze, gdzie zamęczał otoczenie potokiem słów, on gadał, gadał, a oni musieli słuchać, czasem mogłoby się wydawać, że sięga się po władzę, żeby móc się wygadać, on tam powiedział bez ogródek: albo jesteś nazistą, albo chrześcijaninem - razem to się nie trzyma kupy. Może wyraził się inaczej. Drażnił go ten Żyd na krzyżu, który mówił: „Miłujcie nieprzyjaciół wasze”. Który mówił, że jak cię uderzą w jeden policzek, to nadstaw drugi. „A kto suknię twoją chce wziąć, puść mu i płaszcz”. I powtarzał: „Nie zabijaj!” Który wybaczył jawnogrzesznicy. A kto jest bez grzechu, niech w nią kamieniem rzuci. I że słońce Boże, mówił, wschodzi na złych i na dobrych, a deszcz Bóg spuszcza na sprawiedliwych i niesprawiedliwych. I zemstę trzeba zostawić Bogu, jego to sprawa. Co te wszystkie nakazy i zakazy mają wspólnego z „narodowym egoizmem”? Są jego zaprzeczeniem. Nie twierdzę, że nie można po chrześcijańsku kochać własnego narodu. Można, tyle że ten patriotyzm nie może być zwrócony przeciw innym, nie może być sycony nienawiścią. Nie o to chodzi, że święty Paweł powiedział, „iż nie masz Greczyna ni Żyda”. Och, on tyle rzeczy powiedział, że to nie na nasze wątle barki. Chodzi o co innego: o nienawiść. Nienawidzisz - więc nie jesteś chrześcijaninem. Wybieraj! I ja, tak mi się zdaje, wybrałem. Nie żeby przypodobać się Bogu, nie ze strachu, ale żeby



oczyścić się przed samym sobą. Bo być czystym wobec siebie, powiedzieć sobie samemu prawdę - to jest, Mike, ważniejsze niż nasze modły, zdrowaśki, pokuty.

- Takie to było proste? - spytał Mike.

- Co, co powiadasz? No tak, to nie było takie proste. Mógłbyś pomyśleć, że ja mówię: dokonał się we mnie przełom, obudziłem się innym człowiekiem - i skończona sprawa, jestem czysty. Nie, to było nieustające nękanie myśli. Podobno młoda Matka Teresa, kiedy zetknęła się ze straszliwą nędzą w Kalkucie, z tymi istotami wegetującymi bez nadziei, zaczęła mieć wątpliwości, czy Bóg istnieje. Nie czuła jego obecności. Są tego świadectwa w pewnych jej listach. Wolała jednak te swoje wątpliwości ukryć przed światem - nie dla jakichś korzyści osobistych, ale dla tych ludzi, którym niosła pomoc. To im jej wiara była potrzebna. Moja spowiedź, Mike, nie dotyczy moich wątpliwości, nie przede wszystkim w każdym razie, dotyczy naszego miejsca na ziemi. Tutaj - nie w niebiosach. Więc powtórzę trochę inaczej to, co już ci powiedziałem: obecność lub nieobecność Boga nie ma koniecznego związku z oceną własnych uczynków. Jeśli nie czynię Zła ze strachu, a nie z obrzydzenia wobec Zła, Bóg nie powinien przyjmować moich modłów.

- Próbowalesz? Błagałeś?

- Mike, nie miałem ambicji być Matką Teresą. Wiedziałem też, że nie znajdę wskazówek u hierarchów. Oni by mnie z mojej beczynności rozgrzeszyli. Skoro sam Pius XII... Wiedziałem, że odpowiedzi muszę szukać w sobie. Dużo czytałem. Nie tylko Pismo Święte, nie będę ci wyliczał lektur, niektóre by cię zdziwiły, czytałem, z niechęcią wobec siebie, że kiedyś wszystko tak lekko rozstrzygnąłem, bez próby sięgnięcia do głębszych rozważań, z pogardą dla mędrków, tak jak oni wszyscy, wiesz kto, często zresztą mało piśmienni. Czasem coś zanotowałem. Trwała wojna. Trwała okupacja. To może cię gorszyć, ale okupacja, przymusowe zmniejszenie się aktywności, sprzyja życiu duchowemu, obecności myśli.

Wojna - Hitler zajął prawie całą Europę. I oto, co zauważyłem: kolaborantami, jego najbardziej skwapliwymi współpracownikami, byli właśnie nacjonaści. Quisling w Norwegii, reksiści w Belgii, faszyci we Francji, w Chorwacji, Słowacji i w kilku jeszcze krajach. Okazało się, że ich ideałem nie było szczęście i nawet nie moc własnego narodu, ale jego zdyscyplinowanie, podporządkowanie go organizującej sile; międzynarodówka faszystowska, wszystko pod nogę, *Ordnung* z kultem Fuhrera, wodza obcego narodu. Antysemityzm oczywiście. Rozdeptywanie zgniłej kultury.

I nienawiść - danie najbardziej pożywne. U nas tego nie było - ale czy Niemcy chcieli, żeby było? Wielu narodowców nawet aresztowano. Więc nie ma odpowiedzi na pytanie, jak by było, gdyby... Nienawiść. Zastanawia mnie czasem, dlaczego nienawiść sprzymierza się z kłamstwem, dlaczego nawożona jest przez kłamstwo. Dlaczego nie jest „czysta”, nie wynika ze

znanych nienawistnikowi faktów? Dlaczego ci, którzy propagują nienawiść, zmyślają fakty, żeby tę nienawiść usprawiedliwić? Czyli nie fakty - oczywiście, po swojemu rozumiane, bo fakt można różnie rozumieć - nie one wzbudzają w tych ludziach nienawiść - to by było jakoś racjonalne - ale jest inaczej, to nienawiść jest pierwoprzyczyną, potrzebą chorej duszy. I żeby ją zracjonalizować, wzmocnić, wymyśla się niestworzone rzeczy.

- Oni nie uważają, że kłamią - powiedział Mike.
- Te brednie są prawdą tworzonej przez nich rzeczywistości.

Konstruuja własną rzeczywistość, taką, jaka im odpowiada, i tej się trzymają.

- Ja myślę często o dramacie Stwórcy, kiedy poczuł się wobec Zła bezradnym. Przeczytaj uważnie Stary Testament, te właśnie rozdziały. Pominę Kaina, który zabił, poczuwszy się skrzywdzony. Wszystko Stwórcy pięknie się udało, rozdzielił światłość i ciemność, wody i lądy, ożywił trawy, kwiaty, drzewa - i tylko charakter ludzki mu się wymknął. Rozpanoszyło się Zło, a on był bezsilny. Autorzy Starego Testamentu piszą wyraźnie, że Bóg miał poczucie porażki, kiedy uznał, że trzeba zacząć od nowa, dać Nowy Początek. Potop. I znów się nie udało. Noe sobie wypił, i wiadomo, jak zachował się Cham. Ale Bóg, zdaniem autorów, pozbył się już złudzeń i starał się jakoś dostosować do rzeczywistości. Oto Noe, przypomnij sobie, składa ofiary. „Gdy Pan - powiada Pismo - poczuł miłą woń, rzekł do siebie: Nie będę już więcej złorzeczył ziemi...”, bo wie już, że „usposobienie człowieka jest złe już od młodości”.

- Zderzenie się tych dwóch odczuć, miłego i niemiłego - zauważył Mike - wydaje mi się dosyć nieoczekiwane.

- „I żałował Pan - zacytował ksiądz Ziemowit
- że uczynił człowieka na ziemi i bolał nad tym w sercu swoim”.

Kiedy Nowy Początek zawiódł, dał wyraz swemu rozgoryczeniu, burząc wieżę Babel, mieszając budowniczym języki, a później niszcząc Sodomę i Gomorę, gdzie nie znalazło się nawet dziesięciu sprawiedliwych.

- A może byli tam jacyś sprawiedliwi - odezwał się Mike - ale woleli się nie ujawniać.

Ksiądz pacnięciem dłoni zabił komara, który przysiadł na czole Mike'a.

- Nie palisz, Mike? - spytał.

- Od jakiegoś czasu.

- Szkoda, odpędziłbyś komary. Na mnie one nie lecą, nie są łase na starczą krew. Co innego ty...

- Moja krew też nie pierwszej świeżości.

Ksiądz przez chwilę ssał trawkę, najwidoczniej starając się zebrać myśli.

- Więc uważasz, Michaś - powiedział wreszcie - że w Sodomie byli jacyś nieznani sprawiedliwi?

- Tak, jestem pewny. Tak jak tu u nas, w Cheremcu.

- W Cheremcu też?

- Tak. Więcej, niż myślimy. Sprawiedliwi często boją się ujawnić.
- No i popatrz, Abrahamowi to w ogóle nie przyszło do głowy.
- Nie miał naszego doświadczenia. Gdyby miał, trzeba by było ten kawałek Biblii napisać inaczej.

Ksiądz nie podjął wyzwania. Pewnie uznał je za nazbyt frywolne. Wrócił do swoich myśli, tych, które dręczyły go od dziesiątków lat.

- Co w nich wstąpiło? - mówił, rozkładając ręce, jak ktoś, kto nie może sobie z tym pytaniem dać rady. - Znałem niektórych jako całkiem zwyczajnych ludzi. I nagle... Skąd tyle podłości? Bies ich opętał! Diabelska sztuczka.

- Ciemnota? - podsunął Mike. - Podatna na diabelską propagandę?

- Nie wierz w to. Żądza mordu. Tego dnia i o tej godzinie.

Ciemnota, przesady, wiara w różne krzywdy, w spisek żydokomuny - to tylko preteksty. Wymówki. Ci, którzy tutaj mordowali, nie robili tego, bo wierzyli w mord rytualny - wierzyli w mord rytualny, żeby móc mordować. Tego dnia i o tej godzinie. Po kilku dniach niektórzy myśleli o samych sobie z niedowierzaniem. Więc naprawdę to było? I ja?... - Ksiądz urwał, a później powiedział, przeciągając zgłoski: - A wiesz, być może Jezus pojawił się nam powtórnie i krążył tu, w Cheremcu, między nami. - Odczekał, żeby myśl zakończyć: - I spłonął w tej stodole.

Po tym, co wypowiedział, zamilkł, wydawało się, że zamknął w ten sposób swoje zwierzenia. Ale nie, to jeszcze nie koniec, musiał przerwać, żeby podjąć inny wątek.

- Zapominamy, jakie to miało dla nich konsekwencje. Dowiedzieli się, że zbrodnia się opłaca. Że cudza śmierć - to otwarcie przestrzeni do życia. I że zbrodnia może pozostać bezkarna, nie poruszać sumienia. Tę deprawację odczuwamy w kościach po dziś. - Westchnął. - Zbyt często się o tym zapomina. Mówi się o wczorajszej deprawacji, a nie wspomina o przedwczorajszej. Okupacyjnej. Jest w tym pomijaniu pewien cel, którego się domyślam. Milczysz. Zgoda, nie jesteś tak do końca tutejszy, wolisz się nie wypowiadać.

- A wojna? - spytał Mike. - Czy to nie było zmaganie się Dobra ze Złem? Walka z Szatanem? A przecież w końcu to diabelstwo zostało zmiażdżone - i to przez zgniłą demokrację.

- Najogólniej biorąc - zgodził się ksiądz - tak.

- Przypomniał: - Z udziałem Stalina.

- W przyrodzie - powiedział Mike z uśmiechem

- mało co występuje w stanie czystym.

- Niezbyt się na tym znam - zastrzegł się ksiądz Ziemowit - ale wierzę ci. Zauważ, że bardzo rzadko się zdarzało, żeby do władzy dotarł człowiek dobry. Na ogół w rywalizacji zwyciężał Zły. W każdym razie ktoś bezwzględny. Wielbiciel szubienicy i gilotyny. Przywódcy szlachetni, mądrzy,

tolerancyjni ginęli od sztyletu lub kuli. Henryk IV, Lincoln, Narutowicz.

- Gandhi - podpowiedział Mike. - Icchak Rabin.

- Można dodać do nich i Henryka III - zginął od sztyletu, kiedy potrafił się zdobyć na decyzję zbawienną dla Francji. Opętańcy nie mogą znieść rozsądku i szlachetności - tolerancja i mądrość pobudzają ich wściekłość. Jest żrącym duszę wyrzutem. Likwidują ten wyrzut, uśmiercając jego nosiciela. Mądry biskup Krasicki świetnie to rozumiał. Ostrzegął w satyrze Stanisława Augusta: „Bądź złym!” I dalej: „Dobroć serca monarchom wcale nie przystoi, To mi to król, co go się każdy człowiek boi”. Toteż dobrego króla chcieli wieszać. Dziś również chętnych do wieszania go nie brak. Wiesz, o czym mówię?

- Trochę to dla mnie dalekie. Ale obiecuję się podciągnąć.

- Nie ma potrzeby, Michaś. Zachowaj swoją niewinną duszyczkę. Ja tutaj jednak czasem myślę tak jak ty: to wszystko nie jest takie proste. Bo jeśli człowiek przyzwoity może być kuszony przez utajone w nim zło, to czemu nie ma być odwrotnie? Może i ktoś, kogo mamy za łajdaka, jest prześladowany przez utajone w nim pokłady dobra? Pierwsi chrześcijanie w to wierzyli. W możliwość nawrócenia. Aż do świętości włącznie.

- Nie chciałbym się dowiedzieć, że Himmler się nawrócił i mógłby aspirować do świętości. Chyba jednak od tamtej wiary daleko odbiegliśmy.

- Każde pionierstwo z latami dostosowuje się do otoczenia - mówił ksiądz Ziemek. - Wiara obrasta magią, przesadami, z którymi wierzący obcuja na co dzień. Przesady: ludzie, którym dekalog jest obojętny, wierzą całkiem serio w niedobre dni, liczby, układ kart, pechową bieliznę, dobre i złe kamienie, czarnego kota, w złą koniunkcję. Powiedziano: „nie zabijaj” - to brzmi nazbyt ogólnikowo. Jestem przekonany, że gdyby powiedziano: „nie zabijaj w piątki”, liczba zabójstw w te dni znacząco by zmalała.

Mike zaśmiał się.

- Świetnie, że potrafisz o tym myśleć z humorem.

- Magiczne znaki na usługach wiary - ja tym nie pogardzam. Modły - niezależnie, co o nich myślisz - rozbudzają w ludziach pragnienie czystości. Wychodzą z kościoła pokrzepieni. Zło na chwilę zostało przewyciężone. Rozpowszechnia się chętnie taką opinię Marksa, że „religia to opium dla ludu”. Trochę się jego słowa przeinacza. Marks, człowiek zresztą prywatnie nieznośny, nie mówił o religii z pogardą. Nie mówił, że ludowi się religię narzuca - mówił, że lud potrzebuje religii dla stłumienia bólu istnienia. Nie mogę być bardziej bezwzględny od Marksa.

Mike zdobył się na pytanie:

- Ziemek, co jest po tamtej stronie?

Ksiądz nie odpowiedział. Mike nalegał:

- Przecież myślisz o tym - to niemożliwe, żebyś nie myślał. Jest coś?

Wierzysz w to? A może nie ma nic?

- Nie wiem.

- Jeśli nie ma nic - mówił Mike z uporem, prawie z gniewem - jeśli wracamy do pustki, z której wyszliśmy, jeśli jest tylko nieistnienie, to znaczy, że nie mamy nic cenniejszego od życia. Nikt nie ma prawa go nam odbierać. Nikt nie ma prawa żądać od nas, byśmy je oddali w imię czegoś, co on uważa za większą wartość od naszego istnienia. Życie jest największą wartością. Mówię, jak się domyślasz, o życiu świadomym, o tym, które się przebyło w obcowaniu ze światem. Bo wtedy utrata go jest też świadoma.

- Nie musisz mi tłumaczyć - obruszył się Ziemowit.

Usłyszeli sygnał samochodu. Ksiądz dźwignął się i otrzepał sutannę.

- To po mnie - powiedział. - Mój następca. - Pozwolił Mike'owi ująć się pod ramię i poprowadzić ścieżką do uliczki. - Młody człowiek. Ma toyotę, komputer, mikrofalówkę do podgrzewania jedzenia i odtwarzacz DVD.

Wyszli na drogę. Księżulo przy samochodzie dawał im radosne znaki.

- Gdybym mógł cofnąć czas... - powiedział Ziemowit, wzdychając - Boże mój. Gdyby tak móc cofnąć czas!...

- Co wtedy?

- Wyszedłbym naprzeciw z krzyżem. Krzyczałbym: „Stójcie! Opamiętajcie się!”

- I zostałbyś męczennikiem. O tym myślisz?

- Mike, dlaczego męczennikiem? Może by się zatrzymali? Może tylko tego było trzeba? Żeby ksiądz krzyknął: „Opamiętajcie się!” Nie zrobiłem tego, Mike. Nie zrobiłem. Nie byłem jeszcze gotów.

Kiedy się objęli, ksiądz wyszeptał:

- Dziękuję.

Potem, zanim odszedł, jeszcze spytał:

- A ty co, Michał?

- Ja wracam do moich ćpunów i szajbusów. Zdaje się, że stęskniłem się za nimi.

- Uzależniony - stwierdził z pobłażaniem stary ksiądz, odchodząc.

Uzależniony, przyznał w myśli Mike Murphy, sędzia ćpunów i szajbusów.

I kiedy stary ksiądz podszedł do swojego młodego następcy, sędzia Murphy zawołał:

- Ziemek!

Ksiądz odwrócił się ku niemu. Mike krzyknął:

- Ziemek, *ego te absolvo!*

Ziemowit zamachał z rezygnacją ręką i wsiadł do samochodu. Mike został sam.

Stał pod rozrosłą lipą, tuż koło przystanku autobusowego, chroniąc się przed drobnym deszczem, który nieśmiało kropił pokrytą kurzem jezdnię.

„Spadł deszcz i pokropił pobojuwisko” - zadźwięczało werblem

w pamięci. Zdanie z powieści, którą czytał w dzieciństwie, czytał chętnie, chociaż była to lektura obowiązkowa. Usłyszał perlący się śmiech - śmiały się dwie dziewczyny - i wyszedł na środek uliczki. One szły ku niemu, zanosząc się śmiechem, niejednakowym. Puciołowata Mariola bardziej piersiowo, jedwabistowłosa Dagmara głośniej i wyżej. Szły, sunąc biodrami jak w tańcu. Dagmarze przy każdym kroku kołysały się nad karkiem włosy. Kiedy go mijaly, przesyłając palcami buziaki, zawołał:

- Dziewczyny, skąd taka radość? Udzielcie mi jej trochę!

Mariola przystanęła, a Dagmara podbiegła ku niemu. Chwyła go za ramię i wskazała na niebo.

- Deszcz, słyszy pan? Kogo zmoczy, ten urośnie! A tam słońce! Pewnie będzie tęcza. A lipy! Czuje pan, jak pachną? A maciejka? W głowie się aż kręci. A to?

Dotknęła ustami jego ust. Trwało to trochę dłużej, niż mógł oczekiwać. Kiedy pocałunek się skończył, roześmiana podbiegła do Marioli i odwróciwszy się, krzyknęła:

- Smakowało?!

Posłał jej w odpowiedzi pocałunek powietrzny i wtedy dotarło do niego dalekie mamrotanie: „Sześćdziesiąt pięć miliardów! Sześćdziesiąt pięć miliardów!...” Jeszcze ono było dalekie, to mamrotanie, ale już można było rozróżnić w bełkocie idioty wściekłość i wrzask.

Patrzył z zachwytem za oddalającymi się dziewczynami, łowił resztki ich radosnego śmiechu. Był coraz dalszy, coraz słabszy. „Sześćdziesiąt pięć miliardów” - dosłyszał wyraźniej. Pomruk idioty był coraz bliższy.

*Konstancin, październik 2007*

JÓZEF HEN  
Pingpongista

